



AMBER  
SERIA

# MICHAEL CRICHTON



WIELKI SKOK  
NA POCIĄG



AMBER  
SERIA

**Michael Crichton**

**Wielki skok na pociąg**

**Przełożył MAREK RUDNIK**

Kiedy grzeszę, szatan mówi jak się cieszę",

I nadzieję wielką ma, że dostanę się w otchłań zła, w okowy i p łomienie i że spotka mnie cierpienie.

**WIERSZ DZIECKA Z EPOKI WIKTORIAŃSKIEJ, 1856**

Chciałem tych pieniędzy".

**EDWARD PIERCE, 1856**

**WSTĘP**

Trudno jest po upływie ponad wieku zrozumieć, dlaczego napad na pociąg w roku 1855 tak bardzo zbulwersował Anglików epoki wiktoriańskiej. Na pierwszy rzut oka nie zasługuje on na szczególną uwagę. Wprawdzie kradzież dwunastu tysięcy funtów w złotych sztabkach jest sprawą poważną, ale w tym okresie dopuszczono się kilkunastu poważniejszych rabunków. Nie dziwi także doskonałe przygotowanie przestępstwa, wymagającego udziału wielu ludzi, co zajęło ponad rok. Wszystkie większe kradzieże z połowy ubiegłego stulecia były świetnie zaplanowane i przeprowadzone. Jednak tylko o tej mówiono "Wielki Skok na Pociąg", a pisano to dużymi literami. Okrzyknięto ją także napadem stulecia oraz najbardziej sensacyjnym wydarzeniem ery nowożytnej, wszystkie zaś relacje zawierały przymiotniki o nieomal historycznej wymowie: "nieopisana", "zatrważająca" czy "ohydna". Nawet w tamtych czasach surowej moralności takie określenia dowodziły, jak wielki wstrząs przeżyło społeczeństwo.

Aby zrozumieć, dlaczego ludzie byli tak zaszokowani tym rabunkiem, należy uświadomić sobie znaczenie kolei żelaznej. Wiktoriańska Anglia była pierwszym

zurbanizowanym i uprzemysłowionym krajem na świecie, a jej rozwój przebiegał w oszałamiającym tempie. W czasach klęski Napoleona pod Waterloo król Jerzy III rządził trzynastomilionowym narodem; większość ludzi żyła na wsi. Do połowy wieku dziewiętnastego ludność niemal podwoiła się - liczba jej wzrosła do dwudziestu czterech milionów, z czego już połowa żyła w zurbanizowanych skupiskach. Anglia stała się państwem miast. Zmiana nastąpiła niemal z dnia na dzień. Proces ten był błyskawiczny i tak naprawdę nikt do końca go nie rozumiał.

Ówczesni autorzy, z wyjątkiem Dickensa i Gissinga, nie pisali o miastach, a malarze także rzadko zajmowali się tym tematem. Umysłowość społeczeństwa nie ulegała większym przemianom - niemal w całym dziewiętnastym wieku produkcja przemysłowa była postrzegana jako rodzaj szczególnie cennego zniwa, a nie jako coś nowego i bezprecedensowego. Nawet język pozostawał w tyle - "slums" oznaczał miejsce o złej sławie, a "urbanizować" rozumiano jako stawać się grzecznym i uprzejmym. Nie powstały jeszcze określenia obrazujące rozwój miast lub upadek pewnych ich części.

Działo się tak nie dlatego, że społeczeństwo nie dostrzegało zachodzących przemian lub że nie były one szeroko, a nawet z zapałem omawiane. Jednak proces ten niósł ze sobą zbyt wiele nowości, aby mógł być łatwo zrozumiany. Anglicy epoki wiktoriańskiej stali się pionierami miejskiego, związanego z przemysłem stylu życia, który później upowszechnił się w zachodniej Europie, a następnie na całym świecie.

Wprawdzie zachowanie ludzi epoki wiktoriańskiej może się nam wydawać dziwne, jednak musimy przyznać, że jesteśmy ich dłużnikami.

Nowo powstające i szybko rozwijające się miasta błyszczały bogactwem, jakiego nie znało żadne inne społeczeństwo, a jednocześnie kryły wielką nędzę, nie występującą

gdzie indziej. niesprawiedliwość i rażące kontrasty były powodem, że wielu domagało się reform. Jednak istniało także szerokie poparcie społeczne, gdyż fundamentalną zasadą wiktoriańską było twierdzenie, iż postęp, rozumiany jako lepsze warunki dla całego rodzaju ludzkiego, jest nieunikniony. Dzisiaj możemy uznać taką opinię za śmieszna, ale w roku 1805 było to stanowisko ogólnie akceptowane.

W pierwszej połowie dziewiętnastego wieku spadły ceny chleba, mięsa, kawy i herbaty. Węgiel staniał niemal dwukrotnie, ubrania o 80 procent, zaś konsumpcja wszystkich dóbr w przeliczeniu na osobę wzrosła. Prawo karne zostało zreformowane, a wolność osobista była lepiej chroniona. Parlament, przynajmniej w pewnym stopniu, stał się bardziej reprezentatywny, a co siódmy obywatel miał już prawo głosu. Podatki zostały zredukowane o połowę. Korzyści z rozwoju technologicznego były coraz wyraźniejsze: gazowe latarnie oświetlały ulice, statki parowe przepływały Atlantyk w dziesięć dni, nie zaś w osiem tygodni, a nowe usługi pocztowe i telegraficzne zapewniały zadziwiająca szybkość przepływu informacji.

Warunki życia wszystkich klas społecznych poprawiły się. Zmniejszenie cen żywności pozwoliło ludziom lepiej się odżywiać. Fabryki zmniejszyły liczbę godzin pracy z 74 do 60 w tygodniu dla dorosłych i z 72 do 40 dla dzieci. Rozpowszechnił się zwyczaj wykonywania w soboty tylko połowy dniówki. Średnia długość życia wzrosła o pięć lat. Krótko mówiąc, istniało wiele dowodów na to, iż społeczeństwo "ruszyło do przodu", że następuje poprawa, która będzie trwać jeszcze przez długi czas. Trudno nam dziś zrozumieć poczucie stabilizacji, jakie mieli ludzie epoki wiktoriańskiej. Możliwe było na przykład wynajęcie łóżka w Albert Hall na 999 lat i wielu obywateli to zrobiło.

Ze wszystkich przejawów postępu najbardziej widocznym i o największym znaczeniu była jednak kolej. W ciągu niespełna ćwierćwiecza zmieniła ona całkowicie

życie w Anglii. Przed rokiem 1830 kolej nie istniała. Podróże między miastami odbywano powozami zaprzężonymi w konie. Trwały one długo, były uciążliwe, niebezpieczne oraz drogie. Dlatego też miasta żyły w pewnej izolacji.

We wrześniu 1830 roku przedsiębiorstwo Liverpool & Manchester Railway zapoczątkowało rewolucję. W pierwszym roku jego działania przewieziono koleją między tymi dwoma miastami dwukrotnie więcej osób niż rok wcześniej powozami. Do roku 1838 corocznie przejeżdżało tą trasą ponad sześćset tysięcy osób, a więc więcej niż liczyła wtedy łącznie ludność Liverpoolu i Manchesteru.

Choć kolej robiła niezwykle wrażenie na ludziach, wielu było jej niechętnych.

Nowe linie kolejowe, całkowicie finansowane przez osoby prywatne, nastawiły się na zysk, a to wywoływało niezadowolenie. Przeciwnicy wysunęli również argument estetyki.

Ostra krytyka mostów kolejowych na Tamizie opublikowana przez Ruskina odbiła się szerokim echem. Zaczęto ubolewać nad "ogólnym zeszpeceniem" miasta i okolicy.

Właściciele ziemscy walczyli z koleją/ ponieważ spowodowała spadek wartości gruntów.

Spokój miasteczek, przez które miały przechodzić linie kolejowe, był zakłócany przez najazdy tysięcy nieokrzesanych, mieszkających w obozach niewykwalifikowanych robotników. Zanim bowiem wynaleziono dynamit i maszyny budowlane, wznoszono mosty, kładziono tory i kopano tunele tylko siłą ludzkich mięśni. Wiedzano też dobrze, że z braku pracy ci ludzie mogą łatwo się zmienić w kryminalistów najgorszego rodzaju.

Pomimo różnych protestów rozwój angielskich kolei był szybki i powszechny. Do roku 1850 kraj przecinało pięć tysięcy mil torów, zapewniających każdemu obywatelowi tani i szybki transport. Nieuchronnie kolej stała się synonimem postępu. "The Economist" tak wówczas pisał: "w poruszaniu się po kraju... nasz postęp był najbardziej zdumiewający - przewyższający wszystkie inne osiągnięcia od stworzenia rasy ludzkiej..."

W czasach Adama średnia szybkość podróży, jeśli Adam w ogóle podróżował, wynosiła cztery mile na godzinę. W roku 1828 wci ąż było to tylko dziesięć mil. Naukowcy i wszyscy rozsądni ludzie zapewniali i byli gotowi dowieść, że prędkość ta nigdy nie będzie znacznie przekroczone. W 1850 roku normalna jest już szybkość czterdziestu mil na godzinę, a osiągnęte jest i siedemdziesiąt".

Dla społeczeństwa epoki wiktoriańskiej taki postęp oznaczał podniesienie poziomu moralności i poprawę sytuacji materialnej. Według Charlesa Kingsley'a "Moralny stan miasta zależy... od jego stanu fizycznego, od wyżywienia, powietrza i warunków mieszkalnych". Postęp w warunkach życia miał prowadzić wprost do wyeliminowania w społeczeństwie zła i kryminalnych zachowań, które zostałyby zlikwidowane tak jak slumsy, dając schronienie temu złu i ludziom je czyniącym. Usunięcie przyczyny, a co za tym idzie i skutku wydawało się prostym zadaniem.

Patrząc na sprawy z tak wygodnej perspektywy nagle ze zdumieniem stwierdzono, że świat przestępczy znalazł sposób na wykorzystanie postępu do własnych celów i swą działalnością objął kolej - wizytówkę postępu. To, iż złodzieje radzili sobie z najlepszymi sejfami tamtych czasów, potęgowało przerażenie.

Wielki Skok na Pociąg uświadomił trzeźwemu obserwatorowi, że wyeliminowanie przestępczości nie nastąpi automatycznie, w toku procesów rozwojowych. Przepęstwo nie mogło być porównywane do plagi, która zniknęła wraz ze zmianą warunków socjalnych i stała się ledwie pamiętanym reliktem przeszłości. Było ono czymś innym, a wywołujące je procesy nie zniknęły.

Paru odważnych komentatorów sugerowało nawet, iż przepęstwo wcale nie wiąże się z warunkami socjalnymi, ale wynika z całkiem innych powodów. Takie opinie, mówiąc oględnie, były bardzo niepopularne.

Dziś także są one odrzucane. Choć upłynęło ponad sto lat od Wielkiego Skoku na Pociąg i przeszło dziesięć od innego spektakularnego napadu na pociąg w Anglii, przeciętny mieszkaniec miasta na Zachodzie wciąż trzyma się kurczowo poglądu, że przestępstwo wynika z biedy, niesprawiedliwości i braku wykształcenia. Wyobrażamy sobie przestępcę jako ograniczonego, wulgarnego, może nawet nie w pełni zdrowego psychicznie osobnika, który łamie prawo z powodu desperackiej potrzeby. Pewnego rodzaju współczesnym odpowiednikiem jest dla nas narkoman. Rzeczywiście, kiedy ostatnio opublikowano, że większość przestępstw ulicznych w Nowym Jorku nie jest popełniana przez ćpunów, stwierdzenie to przywitano ze sceptycyzmem i konsternacją, co porównać można do zdumienia naszych przodków z epoki wiktoriańskiej, sto lat temu.

Przestępczość stała się przedmiotem badań uczonych w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, a w latach następnych kryminolodzy odrzucili dotychczas uznawane stereotypy. Stworzyli nowy pogląd na przestępstwo, które jest zawsze traktowane jako negatywne zjawisko społeczne. Obecnie eksperci zgadzają się w następujących kwestiach:

Po pierwsze, przestępstwo nie jest konsekwencją biedy. Posługując się słowami Barnes'a i Teeters'a (1949): "Większość występków jest popełniana z chciwości, a nie z potrzeby".

Po drugie, przestępcy nie są ludźmi ograniczonymi, a wprost przeciwnie. Studia nad osobowością więźniów pokazują, że wyniki ich testów na inteligencję pokrywają się z wynikami reszty społeczeństwa, a przecież więźniowie to ludzie, którzy złamali prawo i zostali złapani.

Po trzecie, znaczna większość czynów przestępczych uchodzi póżem. Jest to dyskusyjna kwestia, ale niektóre autorytety twierdzą, że tylko od 3 do 5 procent

wszystkich przestępstw jest ujawnianych, a z nich zaledwie 15 do 20 procent jest wykrytych. Dotyczy to także najpoważniejszych zbrodni, takich jak morderstwa. Większość policyjnych fachowców śmieje się ze stwierdzenia, że "nie ma zbrodni doskonałej". Kryminolodzy zakwestionowali także tradycyjny pogląd, iż "przestępstwo nie popłaca". Już w roku 1877 amerykański badacz zajmujący się więzieniami, Richard Dugdale, stwierdził: "musimy pozbyć się przeświadczenia, że przestępstwo nie popłaca. Tak naprawdę to popłaca". Dziesięć lat później włoski kryminolog Colajanni poszedł dalej dowodząc, iż zwykle przestępstwo opłaca się bardziej niż uczciwa praca. W roku 1949 doszło do tego, że Barnes i Teeters oświadczyli stanowczo: "Tylko moralniści wciąż wierzą, że przestępstwo nie popłaca".

Nasz stosunek do przestępstwa jest ambiwalentny, jeśli idzie o samo zachowanie się przestępców. Mimo że przeraża i jest ostentacyjnie potępiane, jednak równocześnie wielu je skrycie podziwia, a nawet chciałoby poznać szczegóły głośnych "wyczynów". Takie postawy z pewnością dominowały także w roku 1855, ponieważ Wielki Skok na Pociąg był określony nie tylko jako szokujący i zatrważający, ale również śmiały, bezczelny oraz mistrzowski.

Podzielamy jeszcze jedno przeświadczenie ludzi epoki wiktoriańskiej, to jest wierzymy, że istnieje świat przestępczy rozumiany jako subkultura profesjonalnych przestępców, którzy w otaczającym ich "przyzwoitym" społeczeństwie żyją z łamania prawa. Dzisiaj tworzą oni mafie, syndykaty czy też szajki, mające własny kodeks etyczny, szczególny system wartości, swój język i wzory zachowań, które my chcielibyśmy poznać. Bezspornie określona subkultura profesjonalnych przestępców istniała także ponad sto lat temu w Anglii. Wiele jej cech ujawniło się podczas procesu Burgessa, Agara i Pierce'a - głównych uczestników Wielkiego Skoku na Pociąg. Wszyscy oni zostali



aresztowani w 1856 roku, niemal dwa lata po samym napadzie. Ich wielotomowe zeznania złożone przed sądem są przechowywane wraz ze sprawozdaniami prasowymi z tamtych dni. To na podstawie tych właśnie źródeł powstała niniejsza książka.

M.C. Listopad, 1974

CZEŚĆ I

# PRZYGOTOWANIA

Maj - Październik 1854

ROZDZIAŁ 1

# PROWOKACJA

Poranny pociąg South Eastern Railway, znajdujący się w odległości czterdziestu mil od Londynu, mijał falujące zielone pola i wiśniowe sady Kentu z zawrotną prędkością czterdziestu czterech mil na godzinę. W lśniącym niebieskim parowozie widać było maszynistę w czerwonym uniformie; stał nie osłonięty żadną budką ani nawet szybą. U jego stóp pomocnik wrzucał łopatą węgiel do paleniska. Zasapana lokomotywa ciągnęła tuż za sobą trzy żółte wagony pierwszej klasy, za nimi siedem drugiej, a na końcu szary wagon bagażowy bez okien.

Pociąg sunął z hałasem ku wybrzeżu. Nagle rozsunęły się drzwi wagonu bagażowego, odsłaniając desperacką walkę wewnątrz. Siły przeciwników były nierówne - szczupły młodzieniec w postrzępionym ubraniu nacierał na tężego strażnika kolejowego w niebieskim mundurze. Chłopak jednak, choć słabszy, radził sobie dobrze. W pewnej chwili powalił masywnego kolejarza dobrze wymierzonym ciosem. Tylko przypadek sprawił, że strażnik, padając na kolana, przechylił się do przodu i swym potężnym ciałem wypchnął przeciwnika z wagonu przez otwarte drzwi. Młodzian wylądował na ziemi, koziołkując jak szmaciana lalka.

Kolejarz, dysząc ze zmęczenia, popatrzył na szybko niknącą w oddali leżącą postać, a później zasunął drzwi. Rozległ się dźwięk gwizdka, ale pociąg nie zwolnił. Wkrótce zniknął za łagodnym zakrętem. Został po nim tylko słabnący odgłos lokomotywy, smuga szarego dymu, która wolno opadała na tory, i nieruchome ciało przy torach.

Po chwili chłopak się poruszył. Z trudem uniósł się na łokciu, jakby zamierzał wstać. Natychmiast jednak opadł znowu na ziemię. Jego ciało zadrżało w konwulsjach i zastygło w bezruchu.

Pół godziny później elegancki czarny powóz z purpurowymi kołami nadjechał

śluzką drogą, biegnącą równolegle do torów. Powóz zbliżył się do stóp wzgórza i zatrzymał. Wsiadł z niego mężczyzna ubrany modnie w ciemnozielony, aksamitny surdut i wysoki kapelusz. Wspiął się na wzniesienie, przyłożył do oczu lornetkę i omiół wzrokiem tory. Jego spojrzenie spoczęło prawie od razu na leżącym twarzą ku ziemi człowieku. Mężczyzna nie zamierzał jednak podejść bliżej czy pomóc mu w jakikolwiek sposób. Stał na wzgórzu i patrzył, dopóki się nie upewnił, że chłopak nie żyje. Wtedy odwrócił się, szedł do czekającego powozu i odjechał tam, skąd przybył - na północ, w stronę Londynu.

## ROZDZIAŁ 2

### MÓZG

Mężczyzną tym był Edward Pierce, który choć miał się stać tak sławny, że sama królowa Wiktoria wyraziła chęć poznania go lub chociaż z wzięcia udziału w jego egzekucji, pozostaje dziwnie tajemniczą postacią.

Ten wysoki, przystojny mężczyzna po trzydziestce, z bujną, rudą brodą, przyciętą zgodnie z modą, która zapanowała niedawno, szczególnie wśród kół rządowych, sądząc z mowy, manier i ubioru sprawiał wrażenie dżentelmena i osoby zamożnej. W obecności był uroczy i ujmujący. Twierdził, że jest sierotą i że pochodzi z ziemiństwa osiadłego w głębi kraju, uczył się zaś w Winchesterze, a później w Cambridge. Był postacią znaną w londyńskich kręgach towarzyskich, gdzie miał wielu znajomych ministrów, członków parlamentu, ambasadorów zagranicznych, bankierów oraz innych wybitnych osobistości. Choć kawaler, zajmował cały dom na Curzon Street pod numerem 12, w modnej części Londynu. Większość czasu spędzał jednak na podróżach i mówiono, że odwiedzał nie tylko kontynent, ale także Nowy Jork.

Znajomi bez zastrzeżeń wierzyli w jego arystokratyczne pochodzenie. W

późniejszych sprawozdaniach dziennikarskich często określano Pierce'a jako arystokratę, który zszedł na złą drogę. Stwierdzenie, iż dobrze urodzony dżentelmen stał się przestępcą, było tak zaskakujące, ekscytujące i tak pobudzało wyobraźnię czytelników, że nikt nie chciał go obalać.

Nie ma jednak dowodu na to, że Pierce wywodził się z wyższych sfer. Właściwie żadne informacje o nim pochodzące sprzed roku 1855 nie są pewne. W dzisiejszych czasach czytelnicy są przyzwyczajeni do pojęcia "absolutnie pewnej identyfikacji", i dlatego może nas dziwić, że w przeszłości Pierce'a było tyle dwuznaczności. Ale w epoce, kiedy świadectwa urodzenia były innowacją, rodząca się fotografia sztuką, a badanie odcisków palców zupełnie nieznaną, ogromnych trudności nastroczało ustalenie tożsamości, zwłaszcza że Pierce szczególnie się starał, aby niewiele o nim wiadano. Nawet jego nazwisko nie jest pewne: podczas procesu różni świadkowie twierdzili, że znają go jako Johna Simmsa, Andrew Millera lub Arthura Willsa.

Nie znano bliżej także źródła jego znacznych dochodów. Niektórzy twierdzili, że był cichym wspólnikiem w dobrze prosperującej wytwórni sprzętu do krykieta - gry, która z dnia na dzień stała się pasją wysportowanych młodych dam - i zdecydowany, młody biznesmen mógł się łatwo dorobić znacznie, inwestując skromny spadek w takie przedsięwzięcie.

Inni mówili, że Pierce miał kilka lokali i ileś tam dorozek, a majątkiem tym zarządza szczególnie groźny woźnica o nazwisku Barlow, który ma jasną szramę biegnącą przez czoło. To było już bardziej prawdopodobne, ponieważ posiadając puby i dorożki, dobrze mieć powiązania z podziemiem.

Oczywiście nie jest wykluczone, że Pierce był arystokratą, który otrzymał wszechstronne wykształcenie. Należy jednak pamiętać, że uczelnie Winchester i

Cambridge w tamtych czasach słynęły raczej z rozwiąłości i pijaństwa studentów niż z wysokiego poziomu nauczania. Najwi ększy uczonej epoki wiktoria ńskiej, Charles Darwin, za młodu zajmował się głównie hazardem i końmi, a większość wysoko urodzonych młodzieńców bardziej interesowała "uniwersyteckie przyjemności" niż zdobywanie wiedzy.

To prawda, iż wiktoriański świat przestępczy wspierał wiele wykształconych osób, którym się nie wiodło. Z czasem ludzie ci stawali się hochsztaplerami lub kryminalistami, ale w gruncie rzeczy zasługiwali raczej na współczucie niż na potępienie.

W przeciwieństwie do nich Edward Pierce przest ępstwo traktował poważnie.

Jakiegokolwiek były rzeczywiste źródła jego dochodów i pochodzenie, jedno jest pewne - ten mistrz wśród złodziei i włamywaczy przez lata zebrał kapitał wystarczający, by sfinansować operację przestępczą na wielką skalę i zostać jej mózgiem. W połowie roku 1854 miał już opracowany plan najwi ększego skoku w swej karierze - Wielkiego Skoku na Pociąg.

ROZDZIAŁ 3

# KASJARZ

Robert Agar - znany kasiarz, czyli specjalista od zamków, kluczy i otwierania sejfów - zeznał przed sądem, że kiedy spotkał Edwarda Pierce'a pod koniec maja 1854 roku, widział się z nim po raz pierwszy od dwóch lat. Agar miał lat dwadzieścia sześć i cieszył się niezłym zdrowiem, jeśli nie liczyć kaszlu, którego nabawił się w dzieciństwie, pracując w fabryce zapalek Bethnal Green na Wharf Road. Pomieszczenia były tam słabo wietrzone i białe opary fosforu przez cały czas wisiały w powietrzu. Wiadomo, że fosfor jest trujący, ale mnóstwo ludzi podejmowało każdą pracę, nawet taką, która mogła zniszczyć płuca i sprawić, że dziaśła zaczynały gnić już po upływie kilku miesięcy. Agar zanurzał drewniane części zapalek w fosforze. Miał zwinne palce i w końcu został kasiarzem, szybko odniósł w tym fachu sukces. Robił to już od sześciu lat i nigdy nie został złapany.

Wcześniej ani razu nie współpracował z Pierce'em, ale znał go jako świetnego włamywacza, który działał w innych miastach i dlatego właśnie tak często wyjeżdżał z Londynu. Słyszał także, że Pierce miał tyle pieniędzy, iż zajmował się tą profesją wyłącznie z zamiłowania.

Agar zeznał, że ich pierwsze spotkanie po tej długiej przerwie miało miejsce w gospodzie "Bull and Bear" przy Hounslow Road, na peryferiach przestępczej dzielnicy slumsów, zwanych Seven Dials. Ten powszechnie znany, hałaśliwy dom był według słów pewnego obserwatora "miejscem spotkań wszelkiego autoramentu kobiet udających damy, a także kryminalistów, których spotykało się tam na każdym kroku". Było niemal pewne, że w miejscu tak z łej sławy czai się również ubrany po cywilnemu policjant z Metropolitan Police. Ale "Bull and Bear" odwiedzali też dżentelmeni szukający tu niemoralnych rozrywek. Tak więc obecność dwóch modnie

ubranych młodych dandysów, rozwalonych przy barze i rozglądających się za kobietami, nie zwracała szczególnej uwagi.

Agar twierdził, że spotkanie nie było zaplanowane, ale się nie zdziwił, gdy zjawił się Pierce. Plotka niosła, że coś właśnie szykował. Agar przypomniał sobie, że rozmowa zaczęła się bez powitań i wstępów.

- Słyszałem, że Spring Heel Jack wyszedł z Westminsteru - rzekł Agar.

- Też o tym słyszałem - przyznał Pierce, stukając laską ze srebrną gałką, by zwrócić uwagę barmana.

Zamówił dwie szklanki najlepszej whisky, co Agar uznał za dowód, że rozmowa będzie dotyczyć interesów.

- Słyszałem, że Jack wybierał się na południe - powiedział kasiarz.

W tamtych czasach londyńscy kieszonkowcy wyjeżdżali późną wiosną na północ lub południe, do innych miast. Anonimowość zapewniała swobodę działania, nie można było pracować długo w tym samym miejscu, żeby nie zwrócić na siebie uwagi policji.

- Nie wiem nic o jego planach - odrzekł Pierce.

- Słyszałem też, że pojechał pociągiem - ciągnął Agar.

- Możliwe.

- Słyszałem - oczy kasiarza utkwione były w rozmówcy - że w tym pociągu miał wykonać robotę dla pewnego dżentelmena, który coś planuje.

- Niewykluczone.

- Słyszałem także, że ty coś knujesz - Agar nagle uśmiechnął się szeroko.

- Może.

Pierce pociągnął łyk i z uwagą wpatrywał się w szklankę.

- Kiedyś podawano tu lepszą - stwierdził w zadumie. Neddy musi ją rozcieńczać



wodą. Co niby knuję?

- Napad. Naprawdę wspaniały skok, jeśli to prawda co mówią.

- Jeśli to prawda co mówi ą - powtórzył Pierce. Wydawało się, że to stwierdzenie go rozbawiło. Odwrócił się od baru i rzuci ł okiem na kobiety w g łębi sali. Kilka z nich odpowiedziało uśmiechem na jego spojrzenie.

- Wszyscy stale mówią o największym w życiu skoku rzekł w końcu.

- Racja - przyznał Agar i westchnął. (W swych zeznaniach kasiarz relacjonował to w teatralny sposób. "Teraz wzdycham ci ężko, rozumiecie, aby pokaza ć, że moja cierpliwość jest na wyczerpaniu, bo Pierce jest ostro żny, ale chcę to z niego wyci ągnąć, więc ciężko wzdycham".)

Zapadła, cisza. Wreszcie Agar odezwał się znów.

- Minęły dwa lata, odkąd widziałem cię po raz ostatni. Byłeś zajęty?

- Podróżowałem.

- Na kontynencie?

Pierce wzruszył ramionami. Popatrzył na szklankę whisky w dłoni Agara i do połowy opróżnioną szklankę ginu z wodą, który kasiarz popijał przed jego przybyciem.

- Jak tam twoje ręce?

- Sprawne jak zawsze - odparł Agar.

Na potwierdzenie tych słów wyciągnął przed siebie dłonie i rozstawił palce. Nie przebiegło po nich najmniejsze drżenie.

- Znalazłaby się jedna czy dwie małe robótki - oznajmił Pierce.

- Spring Heel Jack nie odkrył kart. Wiem to na pewno. Puszył się jak paw, ale trzymał język za zębami.

- Jack wylądował w lawendzie - stwierdził sucho Pierce. Był to, jak później wyjaśnił

kasiarz, zwrot wieloznaczny.

Mogło to oznaczać, że Spring Heel Jack się ukrywa, ale raczej, iż nie żyje. Agar nie wypytywał dalej.

- Te roboty, o których wspomniałeś, to coś do zwinięcia?

- Owszem.

- Ryzykowne?

- Bardzo ryzykowne.

- Na zewnątrz czy w pomieszczeniu?

- Nie wiem. Kiedy nadejdzie pora, możesz potrzebować współnika lub dwóch. I masz trzymać gębę na kłódkę. Jeśli pierwsza robota pójdzie dobrze, znajdzie się ich więcej.

Agar dopił whisky i czekał. Pierce zamówił mu następną.

- Są klucze? - zapytał kasiarz.

- Są.

- Wosk czy robota od ręki?

- Wosk.

- W locie czy jest czas?

- W locie.

- A więc dobrze - stwierdził Agar. - Wchodzę. Mogę zrobić wosk w locie szybciej, niż ty zapalisz cygaro.

- Wiem o tym - rzekł Pierce pocierając zapałkę o blat baru i zbliżając ją do cygara.

Kasiarz lekko wzruszył ramionami. Sam nigdy nie palił moda na palenie wróciła niedawno po osiemdziesięciu latach - i zawsze gdy czuł zapach fosforu i siarki z zapałek, powracało do niego wspomnienie pracy w dzieciństwie.

Przyglądał się rozmówcy, gdy ten zapalał cygaro.

- Gdzie ma być ta robota?

Pierce obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

- Dowiesz się, gdy nadejdzie pora.

- Tajemniczy jesteś.

- To dlatego nigdy jeszcze nie garowałem - stwierdził Pierce, przez co należy rozumieć, iż nigdy nie siedział w więzieniu.

Podczas procesu inni świadkowie zakwestionowali te słowa, twierdząc, że spędził trzy i pół roku w manchesterskim więzieniu pod nazwiskiem Arthur Wills.

Agar zeznał, że rozmówca jeszcze raz polecił mu być cicho i odszedł.

Przechodząc przez zadymioną, gwarną knajpę nachylił się na moment do ucha pewnej pięknej kobiety, a ta się roześmiała. Agar nie obserwował go dalej i nie przypomina sobie niczego więcej z tego wieczora.

## ROZDZIAŁ 4

### NIEŚWIADOMY WSPÓLNIK

Henry Fowler, czterdziestosiedmioletni mężczyzna, poznał Edwarda Pierce'a w zupełnie innych okolicznościach. Przyznał otwarcie, iż wiedział o nim tylko to, że był sierotą, miał wykształcenie, pieniądze i wspaniały dom, wyposa żony w najnowsze, często wymyślne urządzenia.

Fowler szczególnie zapamiętał pomysłowy piec stojący w sieni, który służył do ogrzewania wejścia do domu. Miał on kształt mężczyzny w zbroi i działał zadziwiająco skutecznie. Przypominał sobie także, że widział u Pierce'a przepiękną aluminiową lornetkę polową w futerale z marokańskiej skóry. Tak go zaintrygowała, że poszukiwał podobnej dla siebie, a kiedy wreszcie ją znalazł, zdumiał się, bowiem kosztowała wprost

astronomiczną sumę osiemdziesięciu szylingów. Z pewno ścią Pierce'owi dobrze się powodziło i Henry Fowler uzna ł go za osob ę, która mogła być ozdobą okolicznościowych obiadów.

Z trudem przypomni ął sobie pewien epizod, który mia ł miejsce w domu Pierce'a pod koniec maja 1854 roku. Był tam na obiedzie z ośmioma dżentelmenami. Rozmowa koncentrowała się głównie na nowym projekcie budowy podziemnej kolei w Londynie. Fowler uznał ten temat za nudny i był rozczarowany, gdy w palarni przy brandy mówiono o tym dalej.

Później rozmawiano o cholercie, szerzącej się w pewnych dzielnicach Londynu, gdzie zaraza dziesiątkowała ludzi. Dyskusja nad propozycją Edwina Chandwicka, jednego z Komisarzy Sanitarnych, dotyczyła nowego systemu kanalizacji miejskiej i oczyszczenia zatrutej Tamizy, i także nie interesowała Fowlera. Poza tym wiedział z pewnego źródła, że "wydrenowany mózg", Chandwick, ma zostać wkrótce zwolniony, ale nie zamierzał rozpowszechniać tej informacji. Fowler pił kawę z narastającym uczuciem zmęczenia. Właściwie myślał już o wyjściu, kiedy gospodarz zapytał go o niedawn ą próbę kradzieży ładunku złota z pociągu.

Nie zdziwił się, że Pierce zwrócił się właśnie do niego. Był przecież szwagrem sir Edgara Huddlestona z firmy bankierskiej Huddleston & Bradford, z siedzib ą w Westminsterze i piastował stanowisko dyrektora generalnego tej pomyślnie rozwijającej się instytucji, która od założenia w roku 1833 specjalizowała się w transakcjach w obcej walucie.

Był to czas nadzwyczajnej dominacji Anglii w handlu światowym. To Anglia wydobywała więcej węgla i produkowała więcej ponad połowę światowej surówki niż wszystkie kraje naszego globu razem wzię te. To w Anglii szyto trzy czwarte wszystkich

bawełnianych ubrań. Jej handel zagraniczny oceniano na siedem miliardów funtów rocznie, a więc dwukrotnie więcej niż największych konkurentów, czyli Stanów Zjednoczonych i Niemiec. Jej zamorskie terytoria były największe w historii kolonii i wci ąż się powiększały, aż ostatecznie objęły niemal jedną czwartą powierzchni ziemi i trzecią część jej ludności.

Nic więc dziwnego, że Londyn stał się centrum finansowym świata, a tamtejsze banki rozkwitały. Henry Fowler i jego bank wykorzystywali ogólne tendencje ekonomiczne, zaś kontrola nad transakcjami w obcej walucie przynosiła dodatkowe korzyści. A gdy Anglia i Francja wypowiedzia ły wojnę Rosji, firma Huddleston & Bradford została wyznaczona już w marcu 1854 roku do wypl ącania żo łu brytyjskim oddziałom uczestniczącym w wojnie krymskiej. Właśnie przesyłka złota na ów żo łu była celem niedoszłego rabunku, o który pytał Pierce.

- Banalna próba - oświadczył Fowler, świadomy, iż mówi w imieniu banku.

Uczestnicy obiadu, palący teraz cygara i popijający brandy, jako prawdziwi dżentelmeni wiedzieli doskonale, czym jest dobra opinia firmy. Fowler czu ł się więc zobowiązany do obalenia wszelkich podejrzeń, które by rzuciły cień na kompetencje banku. Gotów był bronić jego reputacji za wszelką cenę.

- Doprawdy banalna i amatorska. Z góry skazana była na niepowodzenie - ciągnął.

- Napastnik zginął? - zapytał Pierce, który siedzia ł naprzeciw niego i zaci ągał się cygarem.

- Zapewne. Strażnik kolejowy wyrzuci ł go z poci ągu, który jecha ł ze znaczną szybkością. Uderzenie o ziemię musiało go natychmiast zabić.

Po chwili dodał:

- Biedaczysko.

- Czy został zidentyfikowany?

- Nie sędzę. Opuścił pociąg w takich okolicznościach, że jego rysy zostały znacznie... hm, zniekształcone. Podano że nazywał się Jack Perkins, ale nie jest to pewne. Policja nie zainteresowała się za bardzo tą sprawą, co według mnie jest rozsądne. Już samo podejście do kradzieży świadczy o zupełnej amatorszczyźnie. To nie mogło się udać.

- Przypuszczam, że bank zastosował jakieś specjalnie skuteczne środki ostrożności - powiedział Pierce.

- Mój drogi przyjacielu, w istocie rzeczy specjalnie skuteczne! Zapewniam cię, że nie przewozi się do Francji dwunastu tysięcy funtów w złocie co miesiąc bez najskuteczniejszych zabezpieczeń.

- Więc temu łajdakowi chodziło o krymski żołd? zapytał inny dżentelmen, Harrison Bendix.

Był to powszechnie znany przeciwnik kampanii krymskiej, a Fowler nie miał ochoty angażować się w dysputy polityczne o tak późnej godzinie.

- Najwidoczniej - stwierdził krótko i odetchnął, gdy głos zabrał gospodarz:

- Zapewne wszyscy są ciekawi, jakie to były środki ostrożności. A może to sekret firmy?

- Ależ to wcale nie jest sekret - stwierdził Fowler. Wyjął złoty zegarek z kieszeni kamizelki, otworzył wieczko i rzucił okiem na tarczę. Było po jedenastej, więc powinien udać się już na spoczynek. Tylko dbałość o reputację banku zatrzymywała go tu jeszcze.

- Właściwie te zabezpieczenia zostały wykonane według mojego pomysłu. I jeśli łaska, proszę usilnie, byście wytknęli wszystkie ich słabości. Jeżeli takie znajdziecie.

To mówiąc, przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

- Każdy ładunek złota pakujemy na terenie banku, a nie musimy chyba o tym wspominać, że jest on absolutnie niedostępny. Sztabki umieszcza się w żelaznych skrzynkach, które potem są pieczętowane. Każdy rozsądny człowiek już tylko to uznałby za wystarczającą ochronę, ale my posuwamy się oczywiście znacznie dalej.

Przerwał, aby łyknąć brandy.

- Co więc dalej. Uzbrojeni strażnicy przewożą zapieczętowane skrzynki na stację kolejową. Konwój rusza za każdym razem inną trasą i o różnych porach, Droga wiedzie przez ludne rejony i w związku z tym nie istnieje możliwość zorganizowania zasadzki. Nigdy nie zatrudniamy mniej niż dziesięciu strażników, pracowników firmy, stałych i zaufanych, a do tego znakomicie uzbrojonych. Co więcej, na stacji skrzynki są ładowane do wagonu bagażowego kolei Folkestone, gdzie umieszczamy je w dwóch najnowocześniejszych sejfach Chubba.

- Doprawdy w sejfach Chubba? - zdziwił się Pierce, unosząc w górę brwi.

Chubb wytwarzał najlepsze sejfy na świecie, znane powszechnie z wysokiej jakości i solidności.

- Ale nie są to zwyczajne sejfy Chubba - ciągnął Fowler - bowiem wykonano je na specjalne zamówienie naszego banku. Panowie, wszystkie ściany tego sejfu są z ćwierćcalowej, hartowanej stali, a drzwi mają ukryte zawiasy, które uniemożliwiają ich sforsowanie. Co więcej, ciężar tych sejfów jest nie lada przeszkodą dla złodzieja, gdyż każdy waży około dwustu pięćdziesięciu funtów.

- Zadziwiające - rzekł Pierce.

- Już tylko to ze spokojnym sumieniem można uznać za dostateczne zabezpieczenie dla takiego ładunku. A my nie poprzestaliśmy na tym. Każdy sejf jest

wyposażony nie w jeden, ale w dwa zamki, wymagające dwóch różnych kluczy.

- Dwa klucze? Ależ pomysłowe.

- To nie wszystko. Każdy z czterech kluczy - po dwa dla każdego sejfów - jest indywidualnie chroniony. Dwa są przechowywane w samym biurze kolejowym. Trzeci znajduje się w posiadaniu prezesa banku, pana Trenta, którego niektórzy z panów być może znają jako niezwykle prawego człowieka. Przysięgam, że sam nie orientuję się dokładnie, gdzie go trzyma. Wiem jednak, gdzie jest czwarty, gdyż to mnie go powierzono, ja go strzegę.

- Ależ to nadzwyczajne - stwierdził Pierce. - To chyba wielka odpowiedzialność.

- Muszę przyznać, że uznałem za stosowne we w łasnym zakresie poczynić pewne zabezpieczenia - rzekł Fowler i zawiesił głos teatralnie.

W końcu odezwał się nieco już podchmielony pan Wyndham:

- Do diabła, Henry, powiesz nam wreszcie, gdzie schowałeś ten swój cholerny klucz?

Fowler, bynajmniej nie obrażony, uśmiechnął się lekko. Sam nie pił dużo i chyba dlatego spoglądał z wyraźną wyższością na tych, którzy ulegali swoim słabostkom.

- Trzymam go na szyi - wyją śnił i poklepał dłonią gors wykrochmalonej koszuli. -

Nigdy się z nim nie rozstaję, nawet podczas kąpieli i snu. Zawsze jest przy mnie.

Uśmiechnął się szeroko. - Widzicie więc, panowie, że amatorska próba kradzieży w wykonaniu dzieciaka ze środowiska przestępczego nie ma co martwić firmy Huddleston & Bradford, ponieważ ten łotrzyk miał nie większe szansę na kradzież złota niż ja, powiedzmy, na lot na Księżyc.

W tym miejscu Fowler zachichotał, podkreślając trafność swego porównania.

- Znajdujecie zatem jakąś skazę w naszych zabezpieczeniach?



- Żadnej - stwierdził chłodno Bendix. Pierce okazał się bardziej szczodry w pochwałach.

- Muszę ci pogratulować, Henry. To rzeczywiście najbardziej pomysłowa strategia ochrony cennej przesyłki, o jakiej słyszałem.

- Sam też jestem tego zdania - zakończył Fowler. Wkrótce podniósł się i oświadczył, że jeśli szybko nie wróci do domu, do swej żony, gotowa pomyśleć, że jej mąż figluje z jakąś panienką, "a nie mógłbym znieść cierpień związanych z karą za grzech, nie zaznawszy wcześniej słodczy grzechu". Oświadczenie to wzbudziło śmiech wśród zgromadzonych dżentelmenów. Fowler uznał moment za właściwy, aby opuścić zgromadzenie. Był bankierem, a pruderia to niezupełnie to samo co brak rozwagi, której się wymagało od bankierów.

Pierce, jak przystało na gospodarza, odprowadził go do wyjścia.

ROZDZIAŁ 5

# BIURO KOLEJOWE

Kolej angielska rozwijała się z tak fenomenalną szybkością, że Londyn został tym niemal przytłoczony i nigdy nie powstał tu główny dworzec. Zamiast tego każda z prywatnych firm, będąca właścicielem linii kolejowej, wprowadzała swe tory tak głęboko do wnętrza miasta jak tylko było to możliwe i na ich końcu budowała dworzec. W połowie wieku takie praktyki zaczęły się spotykać z coraz ostrzejszą krytyką. Przemieszczanie się biedoty, której schronienia niszczone, gdyż było to potrzebne miejsce dla torów, stanowiło tu jeden z argumentów. Zwracano tak też uwagę na niewygodę podróży, którzy chcąc jechać dalej musieli przemierzać Londyn drożkami, aby dostać się z jednej stacji na inną dla kontynuowania podróży.

W roku 1846 Charles Pearson przedstawił projekt budowy ogromnego dworca centralnego na Ludgate Hill, ale koncepcja ta nigdy nie nabrała realnych kształtów.

Zamiast tego po wybudowaniu kilkunastu dworców, z których ostatnimi były Victoria i King's Cross, zawieszono na razie tworzenie nowych z powodu protestów społeczeństwa.

W końcu koncepcja londyńskiego dworca centralnego została zupełnie zarzucona i zaczęły się znów pojawiać nowe porzucane po całym mieście. Kiedy w roku 1899 zakończono ostatni z nich - Marylebone, Londyn miał piętnaście dworców kolejowych, czyli ponad dwukrotnie więcej niż każde inne duże europejskie miasto. Oszałamiająca płatanina linii kolejowych i zawilóści rozkładów jazdy nie zostały oczywiście zgłębione przez żadnego londyńczyka, z wyjątkiem Sherlocka Holmesa, który znał je wszystkie na pamięć.

Przerwa w budowie nowych dworców w połowie wieku postawiła wiele nowych linii w niekorzystnej sytuacji. Jedną z nich była South Eastern. Wiodła z Londynu do

nadmorskiego miasta Folkestone, oddalonego o około osiemdziesiąt mil. Linia ta nie sięgała centrum stolicy aż do roku 1851, kiedy przebudowano London Bridge Terminus.

Położony na południowym brzegu Tamizy, tuż przy samej rzece, London Bridge był najstarszym dworcem kolejowym w mieście. Został zbudowany przez London & Greenwich Railway w 1836 roku. Nie podobał się nigdy, atakowano go jako "nieciekawym w projekcie i koncepcji" w porównaniu z późniejszymi, takimi jak Paddington czy King's Cross. Jednak gdy w 1851 roku zmieniono jego wygląd, Illustrated London News przypomniał, że stary dworzec był "godny uwagi ze względu na gustowny, artystyczny charakter i realizm fasady. Dlatego żałujemy, iż zniszczono to, by zrobić miejsce dla czegoś pozornie bardziej wartościowego".

Była to zmiana poglądów, która zawsze frustruje i rozwściecza architektów. Już dwieście lat wcześniej skarżył się sir Christopher Wren, że "londyńczycy pogardzają jakąś szkaradą aż do momentu, gdy ta nie zostanie zburzona, po czym dzięki swoistej magii to, co powstaje na tym samym miejscu, jest natychmiast uznane za gorsze od poprzedniej budowli, teraz wychwalanej pod niebiosa i ciepło wspomianej".

Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że wygląd przebudowanego London Bridge Terminus nie zmienił się na lepsze. Społeczeństwo epoki wiktoriańskiej uważało dworce kolejowe za "katedry nowych czasów". Spodziewano się, że będą łączyć estetykę z osiągnięciami technologicznymi i wiele spośród nich spełniało te oczekiwania, przynajmniej dzięki wysokim łukom przeszklonych sklepień. Natomiast dworzec London Bridge robił przygnębiające wrażenie. Dwupiętrowa budowla w kształcie litery L była bezbarwna, a jej wyłącznie użytkowy charakter podkreślał jeszcze rząd ponurych sklepów usytuowanych pod arkadami w lewym skrzydle. Na wprost znajdował się peron, którego jedyną ozdobą był zegar. Zasadniczy plan - główne źródło wcześniejszej krytyki -

pozostał zupełnie nie zmieniony.

To podczas przebudowy tego dworca South Eastern Railway zaplanowała, że będzie to stacja początkowa, punkt startu pociągów na trasach w kierunku wybrzeża.

Zostało to załatwione na zasadach dzierżawy. Linia South Eastern wynajęła tory, perony i powierzchnię biurową od linii London & Greenwich, której właściciele przekazali wyłącznie niezbędne wyposażenie.

Biuro nadzoru ruchu zajmowało cztery pomieszczenia w odległej części dworca: dwa pokoje dla urzędników, jeden na przechowanie wysyłek wartościowych oraz największy na biuro samego nadzorca ruchu. Wszystkie miały przeszklone ściany. Biuro mieściło się na pierwszym piętrze dworca i było dostępne tylko od strony metalowych schodów wiodących bezpośrednio z peronu. Każdy, kto wspinał się po nich, mógł być natychmiast dostrzeżony zarówno przez pracowników biura, jak i pasażerów, bagażowych oraz strażników znajdujących się poniżej na peronie.

Nadzorca ruchu nazywał się McPherson. Był to starzejący się Szkot, który stale miał swoich podwładnych na oku i pilnował, by nie marzyli podczas pracy, wpatrzni w okna. Nikt w biurze nie zwrócił więc uwagi, gdy na początku lipca roku 1854 dwaj podróżni zajęli miejsca na ławce na peronie i siedzieli tam przez cały dzień, często spoglądając na zegarki, jakby z niecierpliwością oczekiwali rozpoczęcia podróży. Nikt nie zauważył, że ci sami mężczyźni powrócili w następnym tygodniu i znów spędzili dzień na tej samej ławce, przyglądając się ruchowi na stacji i często sprawdzając, która godzina, na swoich kieszonkowych zegarkach.

Tak naprawdę obaj korzystali nie z zegarków, ale ze stoperów, zaś należący do Pierce'a był wyjątkowo elegancki, o dwóch tarczach i kopercie z osiemnastokaratowego złota. Prawdziwy cud techniki, używany na przykład podczas wyścigów. Właściciel

trzymał go jednak ukryty w dłoni, aby nikt nie zauważył, co to za przedmiot.

Po dwóch dniach obserwacji rozkładu zajęć urzędników, zmian strażników kolejowych, osób odwiedzających biuro i wszystkiego, co mogło mieć jakieś znaczenie, Agar spojrział wreszcie na żelazne schody prowadzące na górę, do biura i stwierdził:

- To cholerne samobójstwo. Są za bardzo na widoku. Właściwie czego tam szukasz?

- Dwóch kluczy.

- Co to za klucze?

- Tak się składa, że akurat ich potrzebuję - wyjaśnił sucho Pierce.

Kasiarz zerknął ukradkiem w kierunku biura. Jeśli odpowiedź rozczarowała go, nie dał tego po sobie poznać.

- No cóż - rzekł tonem profesjonalisty - je żeli chcesz dwóch kluczyków, to sądzę, że są w przechowalni - wskaza ł głową, nie ośmielając się uczynić tego ręką - tuż za miejscem dla urzędników. Widzisz tę szafkę?

Pierce przytaknął. Poprzez szklan ą ścianę widział niemal ca łe pomieszczenia. W przechowalni wisiała na ścianie płytk a, lipowa, pomalowana na zielono szafka. S ądząc z wyglądu, mogła służyć jako schowek na klucze.

- Widzę ją.

- Założę się, że są właśnie tam. Na pewno jest zamknięta, ale to nie sprawi nam większego kłopotu. Jakaś tandeta.

- A co z frontowymi drzwiami? - zapytał Pierce podnosząc wzrok.

Nie tylko szafka była zamknięta. Także drzwi do pomieszcze ń, wykonane z metalu i częściowo z matowego szkła, na których widniał znak firmowy i napis WYDZIAŁ NADZORU RUCHU, miały nad klamką potężny zamek z mosiądzu.

- Pozory - parsknął Agar. - Otworzy się je byle kawałkiem drutu, wystarczy pogrzebać w bebeczach zamka. Zrobi łąbym to nawet zadartym paznokciem. Tutaj nie będzie kłopotów. Problem z tym cholernym tłumem.

Pierce kiwnął głową, ale nic nie powiedział. To było zadanie Agara i on musiał znaleźć rozwiązanie.

- Mówisz, że chodzi o dwa klucze?

- Tak, dwa klucze.

- Dwa klucze to cztery woski. Cztery woski to jaka 5 minuta, żeby zrobić je jak należy. Ale trzeba doliczyć czas na dostanie się do nich. Razem zejdzie wi ęcej. - Kasiarz rozejrzał się po zatłoczonym peronie i spojrza ł na urzędników w biurze. - Cholerne ryzyko próbować włamania w dzień. Zbyt wielu ludzi wkoło.

- Noc?

- Tak, nocą, kiedy będzie tu spokojnie. Według mnie noc będzie najlepsza.

- W nocy krążą gliny - przypomnia ł mu Pierce. Sprawdzili ju z wieczorem, gdy stacja była pusta, że policjanci patrolowali ją w odstępach czterech, pięciu minut, przez całą noc.

- Starczy ci czasu?

Agar zmarszczył brwi i popatrzył w kierunku biura.

- Nie - stwierdził w końcu. - Chyba że...

- Tak?

- Chyba że biuro zostanie wcześniej otwarte. Wtedy wejdzę bez problemu, szybko zrobię wosk i zniknę w ciągu dwóch minut.

- Ale biuro będzie zamknięte - powiedział Pierce.

- Myślę o wężu - stwierdził kasiarz i kiwnął głową w stronę biura nadzorcy ruchu.

Dzientelmen podążył za jego wzrokiem. Przez okno widział McPhersona w samej

koszuli, z białymi włosami i jaśniejszą skórą nad czołem. Za nadzorczą znajdowało się okienko wentylacyjne o powierzchni około stopy kwadratowej.

- Widzę je - powiedział Pierce, a po chwili dodał: Cholernie małe.

- Odpowiedni wąż może się przez nie przecisnąć. Wąż był to dzieciak specjalizujący się w przeciskaniu tam, gdzie nie przecisnął się dorosły. Zazwyczaj był to były uczeń kominiarski.

- Kiedy będzie w środku, otworzy szafkę i drzwi od środka i w ten sposób przygotuje mi drogę. Wtedy robota będzie prosta jak drut i nie może się nie udać - stwierdził Agar, kiwając głową z zadowoleniem.

- Jeśli będzie wąż?

- Tak.

- I musi być diabelnie dobry, jeśli mamy dostać się do tego pomieszczenia - rzekł Pierce ponownie spoglądając na okno. - Kto jest najlepszy?

- Najlepszy? - zdziwił się kasiarz. - Najlepszy jest Clean Willy, ale on puszkuje.

- Gdzie?

- W Newgate, a stamtąd nie ma ucieczki. Będzie się dobrze sprawował i poczeka grzecznie na swoją wyjściówkę do Bóg wie kiedy. Stamtąd nie ma ucieczki. Nie z Newgate.

- A jeśli Clean Willy znajdzie jakiś sposób?

- Nikt nie znajdzie sposobu - powiedział zdecydowanie Agar. - Już próbowano.

- Porozumiem się z nim i wtedy zobaczymy. Kasiarz przytaknął.

- Może się uda, ale nie za bardzo w to wierzę.

Obaj wrócili do obserwacji biura. Pierce utkwił wzrok w szafce wiszącej w przechowalni. Uświadomił sobie, że przez cały ten czas nie zauważył, żeby ją ktoś

otwierał. A co jeśli w środku jest więcej kluczy, powiedzmy kilkanaście? Skąd Agar będzie wiedział, które z nich skopiować? - przemknęło mu przez myśl.

- Nadchodzi gliniarz - mruknął kasiarz.

Pierce obejrzał się dyskretnie i dostrzegł policjanta patrolującego swój rewir.

Zatrzymał stoper: minęło siedem minut i czterdzieści siedem sekund, odkąd widzieli go poprzednio. W nocy zapewne przechodził jednak tę samą trasę szybciej.

- Widzisz jakąś kryjówkę? - zapytał Pierce.

Agar wskazał głową stojak na bagaże, niedaleko schodów.

- Wystarczy.

Dwaj mężczyźni zostali na ławce aż do siódmej, kiedy to urzędnicy zaczęli się rozchodzić do domów. Dwadzieścia minut później wyszedł nadzorca ruchu i zamknął za sobą drzwi wejściowe. Agar mimo sporej odległości zdołał rzucić okiem na klucz.

- Jaki to rodzaj zamka? - zapytał Pierce.

- Wystarczy byle jaki wytrych.

Pozostali na miejscu jeszcze godzinę, ale dalsza obecność dwóch mężczyzn na stacji mogła wydać się podejrzana. Odjechał ostatni pociąg, a więc zanadto rzucali się w oczy. Byli tu już wystarczająco długo, aby stwierdzić, że policjant na nocnej zmianie przechodził obok biura nadzoru ruchu co pięć minut i trzy sekundy.

Pierce nacisnął przycisk stopera i przyjrzał się wskazówce sekundnika.

- Pięć i trzy - odczytał.

- Robota dla złotodzioba.

- Jesteś w stanie ją wykonać?

- Oczywiście, że tak. Pięć i trzy?

- Mogę szybciej wypalić cygaro - przypomniał Pierce.



- Dam radę załatwić sprawę, jeśli będę miał węża takiego jak Clean Willy - rzekł zdecydowanie Agar.

Opuścili dworzec. Zapadał już zmrok. Pierce skinął na swój powóz. Woźnica ze szramą biegnącą przez czoło zaciął konia i podjechał pod wyjście ze stacji.

- Kiedy to załatwimy? - zapytał Agar.

- Dam ci znać - odparł Pierce, wręczając mu złotą gwineę.

Następnie wsiadł do powozu i odjechał, znikając w gęstniejącym mroku.

## ROZDZIAŁ 6

### PROBLEM I JEGO ROZWIĄZANIE

Do połowy lipca roku 1854 Edward Pierce poznał miejsce przechowywania trzech z czterech kluczy, potrzebnych do otwarcia sejfów. Dwa z nich znajdowały się w zielonej szafce w biurze nadzoru ruchu South Eastern Railway, trzeci zaś wisiał na szyi Henry'ego Fowlera. Pierce nie sądził, aby dotarcie do nich sprawiło poważniejszy kłopot. Istniała oczywiście kwestia ustalenia najodpowiedniejszego czasu na włamanie, w celu wykonania odcisków kluczy w wosku. Należało także wziąć pod uwagę trudności ze znalezieniem dobrego węża, który pomógłby w tym włamaniu. Były to jednak przeszkody łatwe do pokonania.

Prawdziwą trudność stanowiło dotarcie do czwartego klucza. Pierce wiedział, że ów klucz ma prezes banku, pan Trent, ale nie miał pojęcia, gdzie Trent go przechowuje.

To było ogromne wyzwanie, które zajęło jego myśli przez najbliższe cztery miesiące.

Przydać się tu może kilka słów wyjaśnienia. W roku 1854 Alfred Nobel był

zaledwie początkującym naukowcem. Szwedzki chemik miał wynaleźć dynamit dopiero w następnym dziesięcioleciu, a możliwość użycia nitrogliceryny była kwestią jeszcze odleglejszej przyszłości. Tak więc złodziej w połowie dziewiętnastego wieku wiedział, że

każdy niedawno skonstruowany sejf przedstawiał dla złodzieja prawdziwy orzech do zgryzienia.

Prawda ta była tak powszechnie znana, iż producenci sejfów poświęcali większość wysiłków, aby swym wyrobom zapewnić ogniotrwałość. Utrata pieniędzy i dokumentów z powodu zwęglenia była bowiem znacznie bardziej prawdopodobna niż ich kradzież. W okresie tym wydano mnóstwo patentów dotyczących ferromanganu, gliny, pyłu marmurowego i gipsu sztukatorskiego, które służyły jako okładziny ognioodporne sejfów. Złodziej stojący przed sejfem miał trzy wyjścia. Po pierwsze - mógł wynieść całą skrzynię i rozpruć ją w bezpiecznym miejscu. Było to niemożliwe, jeśli dużo ważyła i była wielka. A wytwórcy starali się wykorzystywać jak najcięższe materiały i tworzyć jak najnieporęczniejsze konstrukcje, aby zniechęcić do takiego działania.

Złodziej mógł także się posłużyć kataryną, czyli świdrem, który służył do rozwiercenia zamka. Przez powstały otwór można było manipulować mechanizmem i odsunąć rygle. Ale takiego świdra używał tylko prawdziwy specjalista. Było to narzędzie głośnie, wolne i niepewne, drogie a poza tym niewygodne jako bagaż podczas skoku. Była też trzecia możliwość: popatrzeć na sejf i poddać się. Taki był najczęściej finał kradzieży. W ciągu następnych dwudziestu lat sprawa sejfów miała się przeobrazić z przeszkody nie do pokonania w jeden z wielu problemów, które złodziej musi rozwiązać. W tamtych czasach jednak sejfy były praktycznie nie do sforsowania.

Chyba że posiadało się klucz... Zamków szyfrowych jeszcze nie wynaleziono.

Najpewniejszym więc sposobem sforsowania sejfu było posłużyć się wcześniej zdobytym kluczem. To tłumaczy zainteresowanie kryminalistów z połowy dziewiętnastego wieku właśnie kluczami. W literaturze kryminalnej z epoki wiktoriańskiej - tej urzędowej, lecz i beletrystyce - można zauważyć fascynację kluczami, jakby nic innego nie miało

znaczenia. W czasach tych jednak, jak powiedzia ł na swym procesie w roku 1848 mistrz wśród kasiarzy, Neddy Sykes: "klucz jest w robocie wszystkim: problemem i jego rozwiązaniem".

Tak więc planując skok, należało przede wszystkim zaopatrzyć się w kopie wszystkich potrzebnych kluczy. W tym celu trzeba było dotrzeć do ich oryginałów. Istniała wprawdzie nowa metoda, polegająca na korzystaniu z woskowych szablonów, które wkładało się do zamka w sejfie, ale nie był to pewny sposób. Nic więc dziwnego, że pozostawiano sejfy praktycznie nie strzeżone.

Uwaga przestępców koncentrowała się zatem na kluczach do nich i miejscach, w których je przechowywano. Skopiować klucz nie było trudno - odwzorowanie w miękkim wosku trwało zaledwie kilka chwil. Do pomieszczenia, w którym przechowywano klucze, można się było włamać stosunkowo łatwo.

Jeśli jednak zastanowić się nad tym głębiej, to klucz, przedmiot raczej ma ły, można ukryć w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu: przy sobie lub w jakim ś wnętrzu, a już szczególnie we wnętrzu urządzonym zgodnie z modą epoki wiktoriańskiej, gdzie każdy sprzęt nawet zwyczajny kosz na śmieci bywał zazwyczaj pokryty sukniem, warstwami frędzli i przeróżnymi ozdobami.

Musimy pamiętać, z jakim przepychem meblowano wtedy pokoje. Zapewnia ły one niezliczoną ilość kryjówek. Co wi ęcej, ludzie uwielbiali wówczas sekretne schowki i skrytki. Biurko z połowy wieku reklamowano jako "mające 110 przegródek, w tym wiele kunsztownie zabezpieczonych przed wykryciem". Nawet ozdobne kominki, znajdujące się w każdym pokoju, oferowały mnóstwo zakamarków, które mog ły się przydać, gdy ktoś chciał ukryć tak ma ły przedmiot, jak klucz.

Informacja zatem o miejscu przechowywania klucza dawa ła złodziejom niemal

gwarancję sukcesu. Złodziej, który miał zamiar zrobić kopię, mógł dokonać włamania, jeśli dokładnie wiedział, gdzie lub choćby w którym pomieszczeniu ukryto klucz. Je śli jednak nie miał o tym pojęcia, przeprowadzenie skrupulatnych poszukiwa ń po cichu, w domu pełnym mieszkańców (w tym służących), tylko przy małej latarni, było tak trudne, iż nie było sensu nawet próbować.

Dlatego Pierce skoncentrował teraz całą uwagę na tym, żeby odkryć, gdzie Edgar Trent, prezes firmy Huddleston & Bradford, trzyma swój klucz.

Należało się dowiedzieć, czy Trent przechowuje klucz w banku. To był podstawowy problem. Młodszy urzędnicy jedli lunch o trzynastej w pubie "Horse and Rider" naprzeciwko siedziby firmy. Pub był mały, w godzinach obiadowych zatłoczony i duszny. Właśnie tu Pierce nawiązał rozmowę z jednym z urzędników, młodym człowiekiem o nazwisku Rivers.

Zwykle młodszy urzędnicy banku zachowywali rezerwę wobec przygodnych znajomych. Nigdy nie wiadomo, czy nie rozmawia się z przestępcą. Tym razem Rivers nie wykazywał zwykłej ostrożności wiedząc, iż jego bank jest nie do zdobycia dla złodziei, a poza tym widocznie nie żywił sympatii do swego pracodawcy.

Warto tutaj przedstawić "Zasady obowi ążujące personel biurowy" sformułowane przez pana Trenta na początku 1854 roku. Brzmiały one następująco:

- . Pracownika dobrego przedsiębiorstwa winny cechować pobożność, czystość i punktualność.
- . Firma ogranicza dzień roboczy do godzin od 8.30 rano do 7.00 wieczorem.
- . Codzienne modlitwy b ędą się odbywać w głównym biurze. Personel ma być na nich obecny.
- . Ubiory mają być skromne. Urzędnicy nie mogą się stroić w ubrania o krzykliwych

barwach.

. Piec jest zainstalowany dla wygody personelu. Zaleca się, by wszyscy

pracownicy przynosili w chłodne dni 4 funty węgla.

. Żaden urzędnik nie może opuścić pomieszczenia bez pozwolenia pana

Robertsa. Potrzeby fizjologiczne są dozwolone i personel może korzystać z ogrodu za

drugą bramą. Teren ten musi być utrzymywany w porządku.

. W godzinach pracy żadne rozmowy prywatne nie są dozwolone. \

. Używanie tytoniu, wina lub innego alkoholu świadczy o słabości człowieka i

dlatego jest zabronione urzędnikom.

. Członkowie personelu biurowego sami mają sobie zapewnić przybory do

pisania.

. Dyrekcja firmy oczekuje od urzędników znacznej poprawy wyników pracy, jako

świadczenia, iż doceniają idealne warunki, które im stworzono.

To przez te "idealne" warunki pracy w Huddleston & Bradford Rivers si ę nie

krępował mówić o panu Trencie bez ogródek.

- Jest bezduszny. Dokładnie o ósmej trzydzie ści sprawdza, czy wszyscy s ą na

swoich miejscach. Nie ma żadnych wymówek. Bo że, dopomóż człowiekowi, którego

omnibus opóźnił się w godzinach natężenia ruchu.

- Pewnie w dodatku formalista, co?

- Rzeczywiście, i to mściwy. Bardzo oficjalny. Robota musi zosta ć wykonana, i

tylko to go interesuje. Zaczyna si ę starzeć, ale jest pró żny - zapuścił bokobrody dłuższe

od pańskich, bo traci włosy na czubku głowy.

W tym czasie prowadzono poważne debaty na temat stosowności bokobrodów u

dżentelmenów. Moda była nowa, a zdania podzielone. Podobną nowość stanowiło

palenie papierosów. Najbardziej konserwatywni mężczyźni nie palili, zwłaszcza w towarzystwie, a nawet i w domu. Zawsze też gładko się golili.

- Ma szczotkę, taką elektryczną szczotkę doktora Scotta, prosto z Paryża - ciągnął Rivers. - Wie pan, jaka jest droga? Dwanaście szylingów i sześć pensów, dokładnie tyle.

- A do czego to służy?

- Leczy bóle głowy, łupież i zapobiega łysieniu, tak przynajmniej mówią ludzie.

Dziwna szczoteczka. Trend zamyka się w swym biurze i szczotkuje dokładnie co godzinę.

Rivers zaśmiał się ze słabostki pracodawcy.

- Musi mieć duże biuro - ciągnął go za język Pierce.

- A jakże, duże i na dodatek wygodne. To ważna figura.

- Utrzymuje je w czystości?

- Tak, sprzątacze jest tam co wieczór. Pan Trent zawsze, kiedy wychodzi, mówi:

"miejsce na wszystko, wszystko na miejsce" i opuszcza biuro punktualnie o siódmej.

Pierce nie zapamiętał reszty rozmowy, ponieważ nie miała ona dla niego żadnego znaczenia. Wiedział już to, co chciał - Trent nie trzymał klucza w biurze. Gdyby trzymał, nigdy by nie pozwolił, żeby sprzącano tam pod jego nieobecność. Sprzątacza można było bowiem łatwo przekupić, a dla niewprawnego oka nie istniała różnica między dokładnym posprząaniem a przeszukaniem.

Jeśli nawet klucza nie było w biurze, Trent mógł go przechowywać w innej części banku, choćby w podziemiach. Pierce mógł się starać nawiązać rozmowę z innym urzędnikiem, żeby to sprawdzić, ale wolał tego unikać. Wybrał inny sposób.

ROZDZIAŁ 7

# DOLINIARZ

Dwudziestoczteroletni Teddy Burke pracował na Strandzie o drugiej po południu, kiedy panował największy ruch. Jak inni dżentelmeni był wystrojony w cylinder, ciemny surdut, wąskie spodnie i jedwabny żabot. Taki strój kosztował go niemało, ale stanowił wyposażenie niezbędne w jego profesji, gdyż Teddy był jednym z najzdolniejszych doliniarzy.

W tłumie dżentelmenów i dam sunących wzdłuż witryn eleganckich sklepów strandu, który Disraelii nazywał "pierwszą ulicą w Europie", nikt by nie powiedział, że Teddy Burke nie jest sam. Właściwie działał jak zwykle. On był robotnikiem, obok miał świecę i dwóch blokierów z przodu i z tyłu - razem czterech mężczyzn, każdy ubrany równie wykwintnie. W takim szyku prześlizgiwali się przez tłum, nie zwracając niczyjej uwagi.

Tego pięknego, wczesnoletniego dnia powietrze było ciepłe i przesycone wonią końskiego nawozu, choć tuzin sprzątaczy ulicznych ciężko pracowało. Wokół panował duży ruch: turkotały furmanki, platformy transportowe, jaskrawo oznakowane, omnibusy, cztero- i dwukołowe dorożki, a od czasu do czasu przejeżdżał elegancki powóz z woźnicą w uniformie i sługą w liberii z tyłu. Ob szarpane dzieci rzucały się w tę plątaninę pojazdów, przebiegając przed kołami lub między końskimi kopytami ku rozbawieniu tłumu, z którego rzucano w ich stronę miedziaki.

Teddy Burke nie interesował się ruchem ulicznym ani bogactwem dóbr w witrynach sklepowych. Cała jego uwaga skupiona była na klientce - wytwornej damie, ubranej w ciężką krynolinę z falbankami w kolorze głębokiej purpury, która powoli szła ulicą. Za chwilę miał ją okraść.

Jego gang zajął już pozycje. Jeden blokier trzy kroki przed, a drugi pięć kroków za

nim. Jak sama nazwa wskazuje, blokierzy mieli blokować dostęp do robotnika i ewentualnie wywoływać zamieszanie, gdyby cokolwiek się nie udało podczas kradzieży.

Ofiara była w ruchu, ale to nie martwiło Teddy'ego. Zaplanował obrobienie jej "w locie", gdy będzie przechodzić od jednego sklepu do drugiego - najtrudniejszą metodą.

- Dobra, idziemy - rzekł, a świeca ruszył obok niego.

Zadanie świecy polegało na skupieniu na sobie powszechnej uwagi, gdy Burkę już obrobi klienta - gdyby wszczęto pogoń lub gdyby go złapał policjant.

Złodziej przysunął się do kobiety tak blisko, że czuł zapach jej perfum. Podchodził z prawej strony, gdyż jedyna kieszeń w jej stroju znajdowała się właśnie tutaj.

Przewieszony przez lewą rękę płaszcz służył mu za tyć. Wyjątkowo podejrzliwą osobę mogło zdziwić, dlaczego w tak ciepły dzień nosi ze sobą płaszcz. Wątpliwości te nie trwałyby długo, ponieważ płaszcz wyglądał na nowy, jakby przed chwilą został zakupiony w pobliskim sklepie. A był potrzebny jedynie po to, żeby zasłonić ruch ręki, którą Teddy sięgnął do spódnicy kobiety. Delikatnie pogładził materiał, aby sprawdzić, czy w kieszeni znajdują się pieniądze. Palce wyczuły kształt sakiewki. Wziął głęboki oddech, modląc się, aby monety nie zadźwięczały, i wyjął ją z kieszeni.

Natychmiast odsunął się od ofiary, przerzucając płaszcz na drugą rękę i równocześnie przekazując łup świecy, który błyskawicznie zniknął w tłumie. Obaj blokierzy oddalili się w różne strony. Tylko Teddy Burkę, już czysty, szedł dalej Stranem, aż w końcu zatrzymał się przed wystawą sklepu z ciętym szkłem i kryształowymi karafkami importowanymi z Francji.

Wysoki dżentelmen z rudą brodą podziwiał naczynia na wystawie. Nie spoglądając nawet na Teddy'ego rzekł:

- Niezła robota.



Kieszonkowiec podniósł brwi, zdziwiony. Dżentelmen był zbyt dobrze ubrany,

żeby być policjantem w cywilu, a tym bardziej kapusiem.

- Mówi pan do mnie, sir? - zapytał ostrożnie Teddy.

- Tak. Powiedziałem, że to była ładna robota. Nieźle sobie radzisz z haczykiem.

Burkę poczuł się głęboko ura żony. Drucianym haczykiem posługiwali się podrzędni kieszonkowcy, aby wyci ągnąć pieni ądze, jeśli ich palce by ły za mało sprawne do takiej roboty.

- Proszę wybaczyć, sir. Nie wiem, o co panu chodzi.

- Sądzę, że dobrze wiesz - rzekł mężczyzna. - Przejdziemy się?

Doliniarz wzruszył ramionami i zrównał się z nieznajomym. Był przecież czysty.

Nie miał się czego obawiać.

- Ładny dzień - zagaił.

Dżentelmen nie odpowiedział. Szli przez jakiś czas w milczeniu.

- Czy sądzisz, że mógłbyś być dobrym partaczem? - zapytał wreszcie mężczyzna.

- Co ma pan na myśli?

- To, czy możesz napędzić strachu klientowi i nic nie gwizdnąć?

- Specjalnie? - Teddy zaśmiał się. - Mogę pana zapewnić, że to i tak zdarza się dosyć często.

- Dostaniesz pięć funtów, jeśli sprawdzisz się jako partacz.

Oczy kieszonkowca zwały się. Roiło się od przestępców, którzy często zatrudniali bezmyślnych współników, przeznaczonych do wystawienia w zaplanowanej robocie.

Teddy Burkę nie był taki głupi.

- Pięć funtów to niewiele.

- Dziesięć - rzucił mężczyzna znudzonym głosem.

- Muszę myśleć o swoich chłopakach.
  - Nie, zrobisz to sam.
  - Więc jaka to robota? - zapytał kieszonkowiec.
  - Mnóstwo zamieszania i lekkie dotknięcie: takie żeby ofiara, zaniepokojona, pomacała się po kieszeniach.
  - I chce pan, żebym nic mu nie gwizdnał?
  - Zupełnie nic.
  - Kim jest więc ofiara?
  - Dżentelmen o nazwisku Trent. Spartaczysz robotę przed jego biurem.
  - Gdzie jest to biuro?
  - Bank Huddleston & Bradford. Teddy Burke zagwizdał.
  - Westminster. Gorąca okolica. Jest tam tyle glin, że można by z nich utworzyć całą cholerną armię.
  - Ale ty będziesz czysty. Masz go tylko postraszyć.
- Kieszonkowiec szedł w milczeniu przez kilka chwil, rozglądając się, wciągając głęboko powietrze i rozmyślając nad propozycją.
- Kiedy?
  - Jutro rano. Punktualnie o ósmej.
  - W porządku.
- Rudobrody dżentelmen wręczył mu banknot pięćofuntowy i powiedział, że resztę dostanie po wykonaniu roboty.
- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Burke.
  - To sprawa osobista - odrzekł mężczyzna i zniknął w tłumie.

# HOLY LAND

Między rokiem 1801 a 1851 Londyn powiększył swój obszar trzykrotnie, liczba jego mieszkańców zaś osiągnęła dwa i pół miliona. Było to zdecydowanie największe miasto na świecie i każdego przybysza zadziwiało swymi rozmiarami. Nathanielowi Hawthorne na jego widok odebrało mowę. Henry James był zafascynowany i zatrwożony jego "przerazającym zaludnieniem", a Dostojewski stwierdził, iż jest "tak niezmierny jak ocean... biblijny obraz, prorocstwo z Apokalipsy, które spełniło się na naszych oczach".

A jednak Londyn wciąż jeszcze się rozrastał. W połowie wieku jednocześnie budowano cztery tysiące mieszkań, a miasto dosłownie eksplodowało na zewnątrz. Ta ekspansja została nazwana "ucieczką na przedmieścia". Przyległe tereny, które zanim nastał dziewiętnasty wiek były wioskami - Marylebone, Islington, Camden Town, St John's Wood czy Bethnal Green - zostały zabudowane i zasiedlone przez nowobogacką klasę średnią wynoszącą się z centrum miasta w poszukiwaniu miejsca, gdzie hałas dokuczał mniej, powietrze było czystsze, zaś atmosfera na ogół przyjemniejsza i bardziej "prowincjonalna".

Oczywiście niektóre starsze dzielnice Londynu wyróżniające się elegancją i zamożnością zachowały swój charakter, ale inne zamieniały się w ponure i odrażające slumsy. Sąsiedztwo wielkiego bogactwa i głębokiej nędzy wywierało ogromne wrażenie na przybyszu, zwłaszcza że slumsy i dzielnice ruder stały się azylem i domem dla świata przestępczego. W Londynie istniały dzielnice, gdzie złodziej mógł okraść mieszkanie, bez obawy przejść przez ulicę i zniknąć w labiryncie zaułków i zrujnowanych domów, tak niebezpiecznych, że nawet uzbrojony policjant nie ośmielał się tam zapuścić.

W owych czasach nie zastanawiano się nad przyczynami powstawania slumsów.

Określenie "slumsy" weszło do powszechnego użycia dopiero po 1890 roku. Wiadomo

było jednak, jak powstają: najpierw jakaś część miasta zostawała odcięta od reszty przez nowo zbudowane arterie komunikacyjne. Następnie opuszczał ją biznes, a jego miejsce zajmowały

niechciane gdzie indziej zakłady przemysłowe, hałaśliwe i zanieczyszczające powietrze, co jeszcze bardziej obniżało atrakcyjność takich terenów.

Ostatecznie nikt, kto miał środki, by żyć gdzie indziej, nie chciał tu mieszkać dłużej.

Dzielnica podupadała, coraz gorzej zarządzana i coraz bardziej zatłoczona przez ściągającą tu licznie biedotę.

Wtedy, tak jak i teraz, dzielnice nędzy istniały po części dlatego, iż przynosiły korzyści właścicielom kamienic. Czynnizówka z ośmioma pokojami mogła pomieścić setkę mieszkańców, a każdy z nich płacił szylinga lub dwa tygodniowo za prawo do życia w brudzie, bałaganie i prawo do snu, powiedzmy, z dwudziestoma współlokatorami obojga płci w jednym pokoju. (Chyba najdrastyczniejszym przykładem panujących tu warunków był sławny nadbrzeżny "wieszak za pensa". Pijani marynarze spędzali tam noc za pensa, leżąc na linach rozciągniętych na wysokości piersi, zawieszeni jak pranie na sznurku).

Niekiedy właściciele wynajmowanych domów lub ruder sami w nich mieszkali i często przyjmowali kradzione przedmioty za czynsz. Ale byli i tacy, którzy żyli gdzie indziej jako zamożni obywatele. Ci zatrudniali bezwzględnych twardych administratorów, zbierających zapłatę i stwarzających pozory porządku.

W połowie dziewiętnastego wieku było kilka takich dzielnic ruder, na przykład Seven Dials, Rosemary Lane, Jacob's Island i Ratcliffe Highway. Żadna nie cieszyła się jednak tak złą sławą jak sześć akrów w samym sercu Londynu, które obejmowała slumsy St Giles nazywane Holy Land. Było stąd niedaleko do teatrów na Leicester Square, centrum prostytucji w Haymarket i modnych sklepów przy Regent Street. Slumsy St Giles

były więc dobrym punktem strategicznym dla ka żdego przestępcy, który chciał "iść na robotę".

Ówczesne zapiski przedstawiają Holy Land jako "g ęstą masę domów tak starych, że wyglądają jakby zaraz mia ły się zawalić, między którymi wij ą się w ąskie i kręte uliczki. Nie ma tu żadnej prywatności i ktokolwiek odważy się zapuścić w ten rejon, znajdzie ulice (nazywane tak tylko przez kurtuazję) pełne włóczęgów, a przez brudne okna ujrzy pomieszczenia tak zatłoczone, że ludzie w nich muszą się chyba dusi ć". Można także znaleźć wzmianki o "zapchanych rynsztokach... nieczystościach zawałających ciemne zaułki... ścianach pokrytych sadzami i drzwiach wypadających z zawiasów... oraz dzieciach rojących się wszędzie i załatwiających potrzeby fizjologiczne tam, gdzie mają na to ochotę".

Takie plugawe, cuchnące i niebezpieczne miejsce powinno być omijane z daleka przez dżentelmenów, szczególnie po zapadnięciu zmroku w mglisty letni wieczór.

Jednak w końcu lipca 1854 roku rudobrody mężczyzna w modnym stroju kroczył bez obawy przez pełne dymu wąskie uliczki. Obserwujący go włóczędzy z pewnością zauważyli, że jego laska ze srebrną główką, wyglądająca na bardzo ciężką, mogła skrywać w sobie ostrze, a wybrzuszenie świadczyło o ukrytym pistolecie. Ju ż to mogło odstraszyć niejednego śmiałka, który miałby chętkę zasadzić się na niego, a przecież w dodatku ten zuchwały szaleniec nie bał się wtargnąć do Holy Land.

Sam Pierce powiedział później: "Takie zachowanie wzbudza szacunek w śród tych ludzi. Rozpoznają, czy ktoś się ich boi czy nie, a każdy kto nie da się zastraszyć, sam wzbudza w nich strach".

Pierce, wędrując z jednej cuchnącej ulicy na drugą, wypytywał o pewną dziewczynę. Wreszcie znalazł zataczającego się pijaka, który ją znał.

- Chcesz Maggie? Małą Maggie? - zapytał mężczyzna opierając się o żółtą latarnię gazową.

Jego twarzy nie można było rozpoznać w mroku i gęstej mgle.

- To lala Cleana Willy'ego.

- Znam ją. Zwija prania, prawda? Tak, dachuje bielidło, jestem tego pewien.

Pijany mężczyzna zamilkł wymownie, patrząc zezem na rozmówcę.

Pierce wręczył mu monetę.

- Gdzie ją znajdę?

- Pierwsza przecznica, pierwsze drzwi na prawo. Dżentelmen ruszył przed siebie.

- Nie warto się kłopotać! - zawołał za nim mężczyzna. - Willy garuje teraz, i to w Newgate.

Pierce nie obejrzał się. Szedł dalej ulicą, mijał niewyraźne cienie we mgle, a od czasu do czasu pracownicę fabryki zapalek z plamami fosforu na sukni, która świeciła w nocy. Poprzez mgłę dobiegało szczekanie psów, płacz dzieci, szepty, jęki i śmiechy.

Wreszcie dotarł we wskazane miejsce. Światło przy wejściu oświetlało koślawy napis na drzwiach: NOCLEK DLA PODRUŻNYCH. Pierce rzucił nań okiem i wszedł do środka, przeciskając się przez zgraję brudnych, obszarpanych dzieci zgromadzonych przy schodach. Szturchnął jedno energicznie na znak, że nie życzy sobie żadnego pociągania za kieszenie. Wspiął się po skrzypiących schodach na piętro i zapytał o dziewczynę imieniem Maggie. Powiedziano mu, że jest w kuchni, więc zszedł do sutereny.

Kuchnia stanowiła centrum każdego domu czynszowego, a o tej porze, gdy szara, zimna mgła kłębiła się za oknami, było to ciepłe i przytulne miejsce. Kilku mężczyzn stało przy ogniu, rozmawiając i pijąc. Przy stole parę osób grało w karty, inni siorbali z misek parującą zupę. Pod ścianami stały i leżały instrumenty muzyczne, kule żebraków oraz

koszyki i pudełka domokrażców. Znalazł Maggie - brudne dwunastoletnie dziecko - i odciągnął ją na bok. Dał jej złotą gwineę, którą natychmiast spróbowała zębami, po czym uśmiechnęła się.

- Co ma być, proszę pana? - Spojrzała na jego elegancki ubiór poważnym wzrokiem osoby, która jest dorosła. - Ma pan ochotę na zabawę?

Pierce puścił propozycję mimo uszu.

- Jesteś z Cleanem Willym. Wzruszyła ramionami.

- Byłam. Willy puszkuje.

- W Newgate?

- Tak.

- Widujesz się z nim?

- Od czasu do czasu. Przychodzę jako jego siostra. Pierce wskazał na monetę, którą ścisnęła w dłoni.

- Dostaniesz jeszcze jedną, jeśli przekażesz mu wiadomość.

Oczy dziewczyny błysnęły.

- Co to ma być?

- Powiedz Willy'emu, że ma uciec podczas najbliższej egzekucji. To będzie Emma Barnes, morderczyni. Na pewno powiesz ją publicznie. Powiedz mu: uciekaj podczas najbliższego huśtania.

Zaśmiała się. Był to dziwny śmiech - chrapliwy i szorstki.

- Willy~jest w Newgate. Nie ma ucieczki z Newgate, podczas huśtania czy nie.

- Powiedz mu, że on może - polecił Pierce. - Powiedz mu, żeby poszedł do domu, gdzie po raz pierwszy spotkał Johna Simmsa, i wszystko będzie w porządku.

- Czy pan to John Simms?

- Jestem przyjacielem. Powiedz mu, że jeśli podczas tej egzekucji nie znajdzie się na wolności, to nie jest Cleanem Willym.

Pokręciła głową.

- Jak może uciec z Newgate?

- Powiedz mu tylko to - powtórzył dżentelmen i skierował się ku wyjściu.

Przy drzwiach do kuchni raz jeszcze spojrzął na nią chude, zgarbione dziecko w poszarpanej zabłoconej sukni, z poplątanymi i tłustymi włosami.

- Powiem - rzekła i wsunęła monetę do buta. Wyszedł i tą samą drogą, którą przybył, opuścił Holy Land. Wprost z wąskiego zaułka skierował się na Leicester Square i wmieszał się w tłum przed Mayberry Theatre.

## ROZDZIAŁ 9

### ROZKŁAD ZAJĘĆ EDWARDA TRENTA

W "porządnym" Londynie w nocy panował spokój. W czasach przed wynalezieniem silnika spalinowego ciszę nocną dzielnicy finansowej mąciły jedynie odgłosy kroków funkcjonariuszy Metropolitan Police, pojawiających się w tym samym miejscu regularnie co dwadzieścia minut.

O świcie ciszę przerwało pianie kogutów i ryczenie krów odgłosy wsi, które dzisiaj szokowałyby londyńczyka. Wówczas jednak w centrum rozbudowywanego miasta można było znaleźć niejedno gospodarstwo, a ważniejsza niż przemysł była hodowla zwierząt, które stanowiły problem dla ruchu ulicznego. Nieraz się zdarzało, że szlachetny dżentelmen musiał czekać w powozie, aż pasterz przeprowadzi swe stado przez ulicę.

Londyn był największym zurbanizowanym obszarem na świecie, ale granica między miastem a wsią nie była tam wyraźnie zarysowana. Jednak tylko do chwili, gdy zegar Horse Guards wybijał siódmą i pierwsi zdążający do pracy, oczywiście pieszo, opuszczali



swe domy; była to głównie armia kobiet i dziewcząt zatrudnionych jako szwaczki w fabrykach ubrań na West Endzie, gdzie pracowały po dwanaście godzin dziennie za kilkuszylingową tygodniówkę.

O ósmej w sklepach przy głównych arteriach zdejmowano okiennice, a uczniowie i asystenci ozdabiali witryny przed całodniowym handlem. Wystawiali to, co pewien sarkastyczny obserwator nazwał "fatałaszkami mody".

Godzina szczytu przypadała między ósmą a dziewiątą. Wówczas ulice obejmowali w posiadanie mężczyźni. Wszyscy, od urzędników państwowych po kasjerów bankowych, od maklerów giełdowych po cukierników i mydlarzy, zdążali do pracy: pieszo, w omnibusach, powozach i dwukółkach. Tworzyli hałaśliwy, gęsty tłum, przez który przedzierali się woźnice, klnąc, wrzeszcząc i smagając batami konie.

Pośród tego zamieszania brali się do roboty sprzątacze ulic. Krążąc między pojazdami w powietrzu nasyconym amoniakiem, zbierali pierwsze końskie odchody. A mieli ręce pełne roboty - przeciętny londyński koń według Henry'ego Mayhewa pozostawiał rocznie na ulicach sześć ton gnoju.

Na tle szarego tłumu wyróżniały się eleganckie powozy z błyszczącego ciemnego drewna, o wysokich, delikatnych resorach i kołach z koronkowymi szprychami. W tych luksusowych warunkach udawali się do swych miejsc pracy szacowni obywatele.

Pierce i Agar, ukryci na dachu budynku naprzeciw siedziby banku Huddleston & Bradford, dostrzegli w pewnym momencie jeden z takich wytwornych powozów. Podjeżdżał pod bramę wejściową.

- Teraz to on - rzekł Agar. Pierce przytaknął.

- ósma dwadzieścia dziewięć. Punktualny jak zawsze. Pozycję na dachu zajęli o wschodzie słońca. Obserwowali ruch uliczny, wzmagający się z każdą minutą. Przyglądali

się uważnie kasjerom i urzędnikom, którzy przybywali do pracy. Powóz zajechał przed drzwiami banku, a woźnica zeskoczył z kozła, by je otworzyć. Edgar Trent stanął na chodniku. Miał niemal sześćdziesiątkę. Jego broda była już siwa, a brzuch proporcjonalny do interesów świetnie prosperującej firmy. Z dachu nie można było stwierdzić, czy łysieje, ponieważ czaszkę osłaniał cylinder.

- Niezły z niego grubas - stwierdził kasjarz.

- Patrz teraz.

Dokładnie w chwili gdy Trent postawił nogi na ziemi, dobrze ubrany młody mężczyzna potrącił go, rzucił przez ramię krótkie przeprosiny i zniknął w tłumie. Pan Trent zignorował zajście. Przeszedł kilka kroków w stronę masywnych dębowych drzwi banku. Nagle zatrzymał się w pół kroku.

- Zdał sobie sprawę z tego, co się stało - wyjaśnił Pierce. Prezes banku spojrzał w ślad za młodym człowiekiem i natychmiast pomacał się po kieszeni surduta, jakby czegoś w niej szukając. Najwidoczniej to coś wciąż znajdowało się na swoim miejscu, bo opuścił rękę i spokojnie ruszył dalej.

Powóz odjechał, a drzwi banku zostały zamknięte.

Pierce uśmiechnął się i odwrócił do Agara.

- Cóż, to tyle.

- Co tyle?

- Tego chcieliśmy się dowiedzieć.

- Czego więc chcieliśmy się dowiedzieć? - zapytał kasjarz.

- Tego, że Trent przyniósł swój klucz ze sobą, ponieważ jest to dzień...

Urwał nagle. Nie wtajemniczył jeszcze współnika w swe plany i nie widział powodu, by uczynić to już w tej chwili. Człowiek, lubiący alkohol tak jak Agar, mógł się

wygadać. Ale nikt po pijanemu nie powie tego, czego nie wie.

- Dzień czego - dopytywał się kasiarz.

- Dzień rozliczenia.

- Czy to nie Teddy Burkę próbował go obrobić?

- Kto to jest ten Teddy Burkę? - zdziwił się Pierce.

- Doliniarz. Robi na Strandzie.

- Nie domyśliłbym się - powiedzia ł dżentelmen i obaj mężczyźni opuścili swój posterunek na dachu.

- Cholera, ale sznurujesz gębę - rzekł Agar. - To był Teddy Burkę.

Pierce uśmiechnął się tylko.

W ciągu następnego tygodnia Pierce dowiedział się wiele o Edgarze Trencie i jego codziennym rozkładzie zajęć. Był to raczej spokojny i pobo żny dżentelmen. Rzadko pi ł, a nigdy nie palił i nie grał w karty. Miał pięcioro dzieci. Pierwsza żona zmarła mu kilka lat temu podczas porodu, druga zaś, Emily, o trzydzie ści lat młodsza od niego, wyróżniała się niezwykłą urodą, ale była tak samo obojętna na wszelkie pokusy jak jej mąż.

Rodzina Trentów mieszkała na Brook Street pod numerem 17 w Mayfair, w dużym domu o dwudziestu trzech pokojach (nie licząc pomieszczeń dla służby), pamiętającym czasy króla Jerzego III. Zatrudniali dwanaście osób: woźnicę, dwóch lokajów, ogrodnika, odźwiernego, majordomus, kucharkę, dwóch kuchcików oraz trzy pokojówki. Trójką młodszych dzieci zajmowała się guwernantka.

Najmłodszy syn miał cztery lata, najstarsza córka zaś liczyła sobie dwadzieścia dziewięć lat. Wszyscy mieszkali razem. Najmłodsze dziecko miało skłonności lunatyczne, więc często w nocy powstawa ło takie zamieszanie, że wszyscy domownicy zrywali si ę na równe nogi.

Pan Trent hodował dwa buldogi, wyprowadzane przez kuchcików na spacer o siódmej rano i dwudziestej piętnaście. Psy przebywały na wybiegu z tyłu domu, nieopodal wejścia dla dostawców.

Ojciec rodziny dokładnie przestrzegał swego rozkładu zajęć. Codziennie wstawał o siódmej, jadł śniadanie o siódmej trzydzieści i wychodził do pracy o ósmej dziesięć, do banku zaś docierał o ósmej dwadzieścia dziewięć. Niezmiennie o trzynastej jadał lunch u Simpsona, co trwało równo godzinę. Opuszczał bank punktualnie o siódmej wieczorem, a do domu wracał nie później niż o siódmej dwadzieścia. Choć był członkiem kilku klubów, rzadko je odwiedzał. Wraz z żoną wychodził wieczorem dwa razy w tygodniu. Zazwyczaj raz w tygodniu wydawał obiad, a czasami urządzał wystawne przyjęcie. Wtedy dodatkowo zatrudniano pokojówkę i lokaja, którzy służyli w sąsiednim domu. Byli to ludzie zaufani i nie można ich było przekupić.

Dostawcy, którzy wchodzili do domu bocznym wejściem, od dawna zaopatrywali całą ulicę i bardzo uważali, by nie nawiązać znajomości z potencjalnym złodziejem. Dla domokrażców taka "grzeczna ulica" była właściwie niedostępna.

Kominiarz o nazwisku Marks obsługiwał okolicę. Znano go z tego, że informuje policję o każdym podejrzanym typie, który się o coś dopytuje. Sprzątacze byli niespełna rozumu i nic nie dało się z niego wydobyć.

Policjant patrolujący ulicę, Lewis, obchodził rewir w ciągu siedemnastu minut. O północy zmieniał go Howell, który pokonywał tę samą trasę w szesnaście minut. Obaj byli stuprocentowo pewni, nigdy nie chorowali, nie pili i nie podejrzewano ich o przekupstwo.

Służący mieli powody do zadowolenia. Wszyscy pracowali tu od wielu lat i nie mieli żadnych konfliktów ze swymi chlebodawcami. Byli przez nich dobrze traktowani i

lojalni, szczególnie wobec pani Trent. Woźnica był mężem kucharki, a jeden z lokai sypiał z pokojówką. Pozostałym dwóm, też urodziwym, nie brakowało męskiego towarzystwa - znalazły sobie kochanków wśród służących z pobliskich domów.

Państwo Trent co roku, w sierpniu, wyjeżdżali na wakacje nad morze. W tym roku nie było to mo żliwe, ponieważ obowiązki zawodowe pana Trenta nie pozwala ły mu na opuszczenie miasta na całe lato. Rodzina od czasu do czasu spędzała weekendy na wsi, u rodziców pani Trent, ale podczas tych wyjazdów prawie cała służba zostawała w domu. Nigdy nie przebywało w nim mniej niż osiem osób.

Pierce zdobywał wszystkie te informacje powoli i ostrożnie, często ryzykując.

Podczas rozmów ze służącymi w pubach i na ulicy występował w różnych przebraniach.

Obserwując dom musiał także kręcić się po okolicy, a to nie było bezpieczne. Mógł oczywiście opłacić świece, żeby zbadali dla niego teren, ale im więcej osób by zatrudnił, tym bardziej prawdopodobne było, że rozejdą się plotki o planowanym skoku na dom Trentów. A wtedy problemy z przygotowaniem włamania jeszcze by się zwiększyły.

Dlatego też znaczną część rozpoznania przeprowadzi ł sam, przy niewielkiej pomocy Agara.

Według złożonych później zeznań, przez miesiąc nie posunął się ani o krok.

- Ten człowiek był zupełnie nieprzystępny - charakteryzowa ł Pierce Trenta. -

Żadnych wad, żadnych słabości ani dziwactw, a żona jakby żywy wzorzec, pełna troski o szczęście rodziny.

Było jasne, że nie ma sensu w łamywać się do dwudziestotrzypokojowego domu, licząc na przypadkowe znalezienie ukrytego klucza. Pierce musiał uzyskać więcej informacji, a im dłużej prowadził obserwacje, tym bardziej stawa ło się oczywiste, że ich źródłem może być tylko sam Trent, który jako jedyny znał miejsce ukrycia klucza.

Pierce'owi nie powiodła się żadna z prób nawiązania znajomości z prezesem banku. Henry Fowler zagadywany na temat Trenta podczas towarzyskich spotkań, stwierdził, że człowiek ten jest pobożny, przyzwoity i raczej nudny w rozmowie. Dodał także, iż żona Trenta, choć ładna, jest równie nudna (te oceny, które Pierce powtórzył w czasie składania zeznań przed sądem, wprawiły pana Fowlera w znaczne zakłopotanie, ale w dalszej części procesu zakłopotanie to miało jeszcze wzrosnąć).

Pierce w żaden sposób nie mógł nawiązać bezpośredniego kontaktu z tak nietowarzystką parą. Nie mógł także zbliżyć się do Trenta pod pretekstem załatwiania jakichś interesów z jego bankiem, gdyż Henry Fowler byłby obrażony, gdyby pominął jego pośrednictwo. Pierce nie znał osobiście żadnego innego znajomego prezesa banku.

Krótko mówiąc, poczuł się bezsilny i po pierwszym sierpniu zaczął rozważać kilka zgoła desperackich posunięć. Myślał na przykład o zainscenizowaniu wypadku, w którym zostałby przejechany przez dorożkę przed domem Trentów lub przed bankiem. Był to jednak zbyt ryzykowny plan, aby go zrealizować, gdyż Pierce musiałby doznać poważnych obrażeń. Zrozumiał więc, iż odrzucił ten pomysł jako bezsensowny.

Nagle, wieczorem trzeciego sierpnia pan Trent zmienił ustalony rozkład zajęć. Wrócił do domu jak zwykle siódmej dwadzieścia, ale nie wszedł do środka. Zamiast tego skierował się prosto do zagrody psów za domem i wziął jednego ze swych buldogów na smycz. Pogłaskał zwierzę, wrócił do czekającego powozu i odjechał.

Gdy Pierce to ujrzał, wiedział już, że go ma.

ROZDZIAŁ 10

# TRESOWANY PIES

Stajnia Jeremy Johnson & Son znajdowała się niedaleko od Southwark Mint. Był to niewielki budynek, na oko ło dwadzieścia koni, które sta ły w trzech drewnianych zagrodach, z sianem, siod łami, uzdami i innym sprzętem wiszącym na krokwiach. Przypadkowy przechodzień mógłby się zdziwić, słysząc zamiast rżenia koni odgłosy szczekania, skomlenia i warczenia psów. D źwięki te nie były jednak niczym nadzwyczajnym dla ludzi często odwiedzających to miejsce i nie wywoływały szczególnych komentarzy. W Londynie było wiele znanych firm zajmuj ących się pokątnie tresowaniem psów do walki.

Jeremy Johnson senior - jowialny starszy pan, któremu brakowa ło większości zębów - poprowadził rudobrodego klienta wzdłuż boksów, gdzie stały konie.

- Straciło się trochę ząbków - rzekł chichocząc. - Nie przeszkadza to jednak w picciu.

Mówię panu. - Klepnął konia po zadzie, by usun ął się im z drogi. - Ruszaj, no już! - wykrzyknął i obejrzał się na Pierce'a. - To czego pan sobie życzy?

- Najlepszego.

- Tego chcą wszyscy dżentelmeni - stwierdził Johnson z westchnieniem. - Nikt nie chce żadnego innego, tylko najlepszego.

- Ja jestem wyjątkowym klientem.

- Och, widzę. Rzeczywiście. Szuka pan ucznia, żeby samemu go ułożyć?

- Nie! - zaprzeczył Pierce. - Chcę w pełni wyszkolonego psa.

- To będzie drogo kosztować, wie pan o tym.

- Wiem.

- Bardzo drogo - zamruczał Johnson.

Otworzył skrzypiące drzwi i wyszli na małe podwórze na tyłach. Znajdowały się tu

trzy okrągłe wybiegi z drewnianą podłogą, każdy o średnicy około sześciu stóp, które otaczały klatki z psami. Zwierzęta na widok ludzi zaczęły skamleć i szczekać.

- Taki wytrenowany pies jest bardzo drogi - powiedział Johnson. - Trzeba dużo czasu, żeby wytresować dobrego psa. A robi się to tak: najpierw pies codziennie jest bijany, żeby się zahartował, wie pan.

- Rozumiem - rzekł Pierce niecierpliwie - ale...

- Później - ciągnął Johnson - umieszczamy ucznia ze starym bezzębniakiem albo z młodym, tak jak tutaj. Straciliśmy naszego bezzębniaka dwa tygodnie temu, więc wzięliśmy tego. - To mówiąc wskazał jednego z psów w klatce. - Wybiliśmy mu wszystkie zęby i teraz jest bezzębniakiem. Dobrze się spisuje. Wie, jak złapać ucznia za gardło. Jest bardzo zwinny.

Pierce popatrzył na zwierzę pozbawione zębów. Był to młody i zdrowy pies, szczekający zajadle. Warczał i groźnie odsłaniał wargi mimo braku uzębienia. Pierce się roześmiał.

- Tak, to śmieszne - przyznał Johnson idąc wzdłuż klatek - ale niech pan podejdzie do tego tutaj. W nim nie ma nic śmiesznego. To najlepszy próbny pies w całym Londynie, zapewniam pana.

Był to kundel większy od buldoga, którego ciało w wielu miejscach nie miało sierści. Pierce wiedział, dlaczego. Młody pies najpierw brał udział w sparingach ze starym i bezzębnym weteranem. Następnie umieszczano go na wybiegu z "próbnym", który nie nadawał się już do walk, ale miał do nich jeszcze wystarczający zapał. To podczas bojów toczonych ze współlokatorem uczeń nabierał ostatecznych umiejętności zabijacki. Golenie słabych miejsc psa używanego do treningu było praktyką zwyczajną. Chodziło o to, aby przeciwnik nauczył się atakować te właśnie miejsca.



- Ten próbniak przygotował więcej mistrzów, niż zdoła pan wymienić. Zna pan psa pana Benderby'ego, tego, który w zeszłym miesiącu zagryzł mordercę z Manchesteru? To właśnie ten próbniak ćwiczył tamtego zbója. A tak że psa pana Starretta i jeszcze wiele innych, wszystkie najwyższej klasy. Jeśli chodzi o samego pana Starretta, to przyszedł do mnie i chciał kupić tego próbniaka. Powiedział, że ma ochotę złapać borsuka albo dwa. Wie pan, ile mi zaproponował? Dokładnie pięćdziesiąt kaflów. A wie pan, co ja na to? Nigdy w życiu, mówię, nawet za pięćdziesiąt.

Johnson ze smutkiem pokręcił głową.

- A przynajmniej nie na borsuki - stwierdził. - Borsuk nie jest odpowiednim przeciwnikiem dla żadnego psa bojowego. Nie, nie. Taki pies jest do walki z innymi psami, no, jeśli potrzeba, ze szczurami. - Spojrzał z ukosa na klienta. - Może chce pan psa na szczury? Mamy do tego specjalnie szkolone sztuki. Nieco tańsze, dlatego o nich wspominam.

- Chcę najlepszego tresowanego psa.

- I zapewniam, że go pan będzie miał. A ten to prawdziwy diabeł.

Johnson zatrzymał się przed jedną z klatek. W środku znajdował się buldog, który na oko ważył około pięćdziesięciu funtów. Pies warczał, ale ani drgnął.

- Widzi go pan? Jaki pewny siebie? Ma świetny chwyt i jest wspaniale wyszkolony. Nigdy nie widziałem tak zajadłej bestii. Niektóre psy mają instynkt, wie pan. Czegoś takiego nie można nauczyć, po prostu mają instynkt i natychmiast atakują najsłabsze miejsce przeciwnika. Ten tutaj, on ma taki instynkt.

- Ile? - zapytał Pierce.

- Dwadzieścia funtów. Dżentelmen zawahał się.

- Z nabijaną smyczą, obrozą i kagańcem, wszystko już wliczone - dodał Johnson.

Pierce wciąż się nie decydował.

- Będzie pan z niego dumny, zapewniam pana, bardzo dumny.

Po dłuższej chwili klient wreszcie się odezwał:

- Chcę najlepszego psa. - Wskazał na klatkę. - Ten nigdy nie walczył. Nie ma żadnych blizn. Chcę weterana z doświadczeniem.

- I będzie go pan miał - zapewnił treser bez zmrużenia oka. Przeszedł dwie klatki dalej. - Ten tutaj ma instynkt zabójcy, czuje krew i jest szybki. Och, szybszy niż pańskie oko. Skręcił kark bestii Whittingtona tydzień temu na turnieju. Może był pan na nim i widział go w akcji?

- Ile? - zapytał sucho Pierce.

- Dwadzieścia pięć kafli ze wszystkim. Dżentelmen popatrzył przez chwilę na zwierzę i stwierdził:

- Chcę najlepszego psa.

- To właśnie ten, przysięgam. Ten jest najlepszy ze wszystkich tutaj.

Pierce skrzyżował ręce na piersi i stukał butem o podłogę.

- Przysięgam, sir. Dwadzieścia pięć funtów. Wspania ły dla dżentelmena i świetny pod każdym względem.

Klient tylko mu się przyglądał.

- No cóż - powiedział z zakłopotaniem Johnson. Jest jeszcze jedno zwierzę, ale naprawdę wyjątkowe. Ma instynkt zabójcy, czuje krew, jest szybkie jak b łysskawica i ostre. Tędy.

Wyprowadził Pierce'a z dziedzińca w miejsce, gdzie znajdowały się tylko trzy psy w nieco wi ększych klatkach. Wszystkie były potężniejsze od pozosta ły ch. Wyglądało na to, że ważą po pięćdziesiąt funtów albo i więcej. Johnson zastukał w środkową klatkę.

- Ten. Ten mnie zaatakował. Chociaż właśnie ja wyszkoliłem go na mistrza. Z czystej chęci mordy. - Johnson podwinął rękaw i odsłonił rząd postrzępionych, białych blizn. - To on mnie tak urządził, kiedy zmienił się w zabójcę. Ale wybaczyłem mu i wyćwiczyłem całkiem wyjątkowo, bo on ma ducha walki, a duch to najważniejsze.

- Ile?

Johnson spojrzął na blizny na ramieniu.

- Zostawiłem go na...

- Ile?

- Proszę wybaczyć, ale nie mogę oddać go za mniej niż pięćdziesiąt kafli.

- Dam ci czterdzieści.

- Sprzedany - rzucił z pośpiechem Johnson. - Weźmie go pan teraz?

- Nie. Wkrótce po niego przyślę. Teraz proszę się nim zająć.

- Mogę się spodziewać jakiejś zaliczki?

- Owszem - rzekł Pierce i wręczył mu dziesięć funtów. Następnie poprosił o otwarcie psu pyska, sprawdził zęby i odszedł.

- Do diabła - zaklął Johnson, gdy został sam. Człowiek kupuje wytresowanego psa i zostawia go. Do czego to dzisiaj doszło?

## ROZDZIAŁ 11

### NISZCZENIE SZKODNIKÓW

Kapitan Jimmy Shaw, były bokser, prowadził najślynniejszy sportowy pub - Queen's Head na Windmill Street. Gdyby wieczorem 10 sierpnia roku 1854 wszedł tu przypadkowy klient, zobaczyłby, zaskoczony, najdziwniejsze widowisko. Choć pub miał niskie sklepienie, był obskurny i tani, tego dnia wypełnili je elegancko ubrani dżentelmeni przemieszani z domokrążcami, straganiarzami, robotnikami i innymi

członkami najniższych klas społecznych Londynu. Nikt jednak nie zauważał tych różnic, gdyż panowało ogólne podniecenie i hałaśliwe oczekiwanie. W dodatku niemal każdy miał ze sobą psa. Reprezentowały one różne rasy. Były tam buldogi, teriery szkockie i angielskie oraz rozmaite mieszzańce. Niektóre trzymano na rękach, inne stały przywiązane do nóg stołów lub do poręczy przy barze. Wszystkie stanowiły temat burzliwych dyskusji i były obiektem powszechnego zainteresowania. Dźwigano je do góry, by ocenić wagę, macano nogi, badając grubość kości, otwierano pyski i oglądano zęby.

Nawet elementy dekoracyjne w Queen's Head, których zresztą było niewiele, miały związek z psami. Wypchane psy w brudnych szklanych pojemnikach stały nad barem, skórzane obroże zwisały z sufitu, a nad kominkiem ryciny psów, w tym rysunek sławnego "cudownego psa" Tiny'ego - białego buldoga, którego wyczyny były znane w tamtych czasach każdemu.

Jimmy Shaw, tęga figura ze złamanym nosem, chodził po sali i krzyczał donośnym głosem:

- Zamawiajcie, panowie.

W Queen's Head nawet najlepiej wychowany dżentelmen pił bez słowa grzany gin. Właściwie nikt nie zauważał, w jak obskurnej spelunie przebywa. Nikt także nie zwracał uwagi na to, iż większość psów miała okropne szramy na pyskach, grzbietach i kończynach.

Nad barem widniał pokryty sadzami napis:

**KAŻDY CZŁOWIEK MA SWOJE UPODOBANIE W RZECZYWISTOŚCI TO**

# SZCZURZY SPORT

Jeśli ktoś nie rozumiał znaczenia tego napisu, jego wątpliwości rozwiąły się o dwudziestej pierwszej, kiedy to kapitan Jimmy wydał polecenie, by oświetlić wybieg. Całe towarzystwo zaczęło kierować się ku schodom na piętro. Każdy mężczyzna prowadził ze sobą psa i zanim na nie wkroczył, rzucał szylinga do ręki stojącego przy schodach asystenta.

Piętro Queen's Head to było duże pomieszczenie, równie niskie jak to na parterze, całkiem puste; znajdował się tam tylko wybieg - owalna arena o średnicy sześciu stóp, otoczona barierką z listew wysoką na cztery stopy. Przed każdą serią walk podłogę wybiegu posypywano wapnem.

Gdy widzowie dotarli na piętro, ich psy od razu się ożywiły: szczekały zajadle, szarpały się na rękach właścicieli lub ciągnęły za smycze. Kapitan Jimmy polecił surowo: - Panowie, uciszcie swoje psy!

Próbowano to uczynić, ale wysiłki spełzły na niczym, zwłaszcza że przyniesiono pierwszą klatkę ze szczurami.

Na ich widok psy zaczęły szczekać jeszcze wścieklej i warczeć. Właściciel pubu trzymał zardzewiałą drucianą klatkę nad głową, kołysząc nią w powietrzu. Wewnątrz miało się na wszystkie strony około pięćdziesięciu gryzoni.

- Same najlepsze, panowie - oświadczył. - Każdy urodzony poza miastem i nie ma pomiędzy nimi żadnych kanałowców. Kto chce spróbować?

W sali było już pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt osób. Widzowie opierali się o barierki wybiegu. Wszyscy ściskali w dłoni pieniądze. Ponad ogólnym zgiełkiem, z tyłu, ktoś krzyknął:

- Ja spróbuję z dwudziestką. Dwadzieścia najlepszych dla mojej pupilki.

- Zważcie sukę pana T. - polecił Jimmy, który znał zgłaszającego się mężczyznę.

Podbiegli asystenci i wzięli buldoga z rąk siwobrodego, łysiejącego dżentelmena.

Zważyli psa.

- Dwadzieścia siedem funtów! - ogłosili, po czym suka wróciła do właściciela.

- Dobrze więc, panowie - rzekł Jimmy. - Pies waży dwadzieścia siedem funtów i ma się zmierzyć z dwudziestoma szczurami. Cztery minuty?

Pan T. przytaknął.

- A więc cztery minuty, panowie. Znać warunki, więc możecie robić zakłady.

Zróbcie miejsce dla pana T.

Siwobrody dżentelmen podszedł do wybiegu, wciąż trzymając psa na rękach.

Zwierzę było czarno-białe i warczało, podniecone. Jego właściciel, zagrzewając ulubienicę do walki, sam wydawał podobne dźwięki.

- Zobaczmy je - rzekł.

Asystent otworzył klatkę i sięgnął do środka, by chwycić szczury gołymi rękoma.

Było to ważne: w ten sposób udowadniał, że istotnie pochodzą spoza miasta i nie są zarażone żadnymi chorobami. Asystent wybrał "dwadzieścia najlepszych" i rzucił je na wybieg. Zwierzęta pędziły po obwodzie, aż wreszcie zbiły się w skłębioną ruchliwą masę.

Gotowi? - Kapitan Jimmy wymachiwał stoperem.

Tak - odparł pan T., warcząc i mrucząc do swej suki.

Wśród widzów rozległy się krzyki zachęty:

- Roznieś je! Roznieś je!

Dobrze urodzeni, szlachetni dżentelmeni w jednej chwili zapomnieli, kim są, i wraz z pospólstwem dmuchali i fukali na gryzonie, które jeżyły sierść w nagłym napadzie furii.

- Iiii... już! - krzyknął gospodarz.

Pan T. puścił psa na wybieg. Sam natychmiast się schylił, tak że jego głowa znalazła się na poziomie krawędzi barierki. W tej pozycji zachęcał buldoga pokrzykiwaniem i warczeniem.

Suka skoczyła torując sobie drogę w kłębowisku szczurów i z rozpędu chwytając je za karki, jak przystało na wojowniczkę. Zabiła od razu trzy lub cztery.

Widzowie wrzeszczeli i wyli na równi z właścicielem, który nie spuszczał oczu z walczących zwierząt.

- Tak! - krzyczał pan T. - Ten już nie żyje! Rzuć go! Ruszaj dalej! Wrrrr! Dobrze, następny! Rzuć go! Naprzód! Wrrrr!

Pies rzucał się błyskawicznie od szczura do szczura. Nagle jeden z łapał go za nos i trzymał kurczowo. Buldog nie mógł się go pozbyć.

- Oszustwo! Oszustwo! - zawył tłum.

W końcu suka, wyjął z bólu, gwałtownym uderzeniem o barierę strząsnęła przeciwnika i popędziła za resztą. Teraz zabitych już było sześć szczurów, a ich okrwawione ciała leżały na podłodze wybiegu.

- Minęły dwie minuty - ogłosił kapitan Jimmy.

- Dalej, Lover, dobra Lover! - wrzeszczał pan T. Ruszaj, mała. Wrrrr! Masz go! Rzuć go! Dalej, Lover!

Buldog pędził po arenie w pogoni za swymi ofiarami. Tłum wrzeszczał i walił w drewniane ogrodzenie, aby rozdrażniać zwierzęta. W pewnej chwili na ciele i pysku Lover wisiały cztery szczury, ale nie powstrzymało to jej: zmiażdżyła, kolejnego w potężnych szczękach. W takim zamieszaniu nikt nie zauważył rudobrodego dżentelmena o dostojnym wyglądzie, który przepchnął się przez ciżbę. Zatrzymał się wreszcie obok pana T., którego uwaga bez reszty skupiona była na pupilce.

- Trzy minuty - obwieścił Jimmy.

W tłumie rozległy się pomruki niezadowolenia. Minęły trzy minuty, a pies zabił zaledwie dwanaście szczurów. Ci, którzy postawili na jego pełne zwycięstwo, mieli stracić swoje pieniądze.

Sam pan T. zdawał się nie słyszeć, ile czasu pozostało. Nie spuszczał oczu z buldoga. Wył, szczekał jak jego podopieczna. Wył i szczekał jak jego podopieczna. Wił się tak jak ona i skręcał na wszystkie strony, kłapał zębami i wykrzykiwał rozkazy, aż zupełnie stracił głos.

- Czas! - krzyknął gospodarz machając stoperem. Tłum westchnął i emocje opadły.

Lover została siłą sprowadzona z wybiegu. Asystenci zręcznie wyłapali trzy pozostałe przy życiu szczury.

Walka dobiegła końca. Pan T. przegrał.

- Cholernie dobra próba - stwierdził rudobrody mężczyzna na pocieszenie.

Zachowanie Edgara Trenta w pubie Queen's Head i sama jego obecność w takim otoczeniu wymagają pewnych wyjaśnień.

Przede wszystkim jako człowiekowi, który był prezesem banku, pobożnym chrześcijaninem i podporą szacownej klasy społecznej, nigdy nawet przez myśl by nie przeszło, żeby się bratać z przedstawicielami lumpenproletariatu. Wprost przeciwnie, Trent poświęcał sporo czasu i energii, aby utrzymać tych ludzi na właściwy dystans. Postępował tak na co dzień w firmie, mając na względzie uświęcony tradycją porządek. W ówczesnym Londynie istniały jednak takie miejsca, gdzie członkowie wszystkich klas przeżywali emocje wspólnie. Szczególnie dotyczyło to imprez sportowych - walk bokserskich, wyścigów konnych i oczywiście walk zwierząt. Te dziedziny sportu uznawane były za nieeleganckie lub po prostu zakazane, a kibice z rozmaitych warstw



społecznych przy takich okazjach zapominali o dzielących ich różnicach. Jeśli więc pan Trent nie widział nic niestosownego w przebywaniu pośród ludzi z najniższych grup społecznych, to oni, zwykle małomówni i onieśmieleni towarzystwem dżentelmenów, na imprezach sportowych byli swobodni i odprężeni. Głośno śmiali się, trącając łokciami ludzi, których w normalnych warunkach nie odważyliby się nawet dotknąć.

Walki zwierząt były formą rozrywki popularną w Europie zachodniej od czasów średniowiecznych. W Anglii epoki wiktoriańskiej tego rodzaju sporty zaczęły szybko zanikać delegalizowane przez ustawodawstwo. Zmieniały się także gusty społeczeństwa.

Walki byków i niedźwiedzi, powszechne na przełomie wieków, teraz należały do rzadkości, walki kogutów zaś odbywały się tylko na wsi. W Londynie w roku 4 tylko trzy sporty zwierzęce nie utraciły popularności, a wszystkie związane były z psami.

Obcokrajowiec przybywający do Anglii zauważał natychmiast przejawy ogromnej miłości wyspiarzy do psów i musiało go dziwić, iż właśnie te najdroższe angielskim sercom stworzenia odgrywały główne role w jawnie sadystycznych "imprezach sportowych".

Jeśli chodzi o psie sporty, to walki dwóch psów uważano za najciekawszą dyscyplinę. Cieszyły się one tak dużym zainteresowaniem, że wielu londyńskich kryminalistów żyło dostаточно wyłącznie z kradzieży psów. Walki te jednak organizowano stosunkowo rzadko, bowiem zazwyczaj jeden z przeciwników ginął, a dobry pies bojowy był bardzo drogi.

Jeszcze rzadsze były zmagania z borsukami. Na arenie, gdzie przywiązywano borsuka, spuszczano psa lub dwa, które swobodnie atakowały. Widowisko pełne napięcia i niezwykle atrakcyjne, gdyż borsuki są szybkie i mają twardą skórę - niestety jednak w Anglii było ich coraz mniej.

Najpopularniejsze wszakże, szczególnie w połowie wieku, były walki ze szczurami. Organizowano je przez dziesięciolecia, prawie jawnie lekceważąc prawo, które ich zabraniało. W całym Londynie wywieszano ogłoszenia: "Poszukiwane szczury" albo "Szczury kupię lub sprzedam". Istniał cały przemysł związany z łapaniem gryzoni, rządzący się swymi własnymi zasadami. Najwyżej ceniono szczury wiejskie, bo były bardzo waleczne i idealnie zdrowe. Pospolite bojaźliwe kanałowce, które łatwo było rozpoznać po zapachu, przenosiły choroby i łatwo mogły zarazić cennego psa. Nic dziwnego, że nie brakowało szczurołapów, skoro właściciel sportowego pubu z areną kupował czasem dwa tysiące szczurów tygodniowo, a dobry wiejski szczur kosztował nawet szylinga. Najsławniejszym szczurołapem był "Black Jack", Hanson. Jeździł powozem przypominającym karawan i proponował właścicielom dworów rozprawę ze szkodnikami za absurdalnie niską cenę, pod warunkiem wszakże, iż będzie mógł zabrać stworzenia żywe.

Walki psów ze szczurami fascynowały wielu z dobrego towarzystwa, jednak żaden dżentelmen nie przyznałby się do tego publicznie. Oficjalnie zjawiska tego w ogóle nie zauważano. Większość humanistów z tamtych czasów ostro krytykowała - wtedy już bardzo rzadkie - walki kogutów i potępiała ich organizatorów nie napomykając nawet o walkach psów. Nie istnieje także żadna wzmianka, żeby jakiś szczyjący się doskonałą reputacją dżentelmen był zażenowany, obserwując walki ze szczurami. Tacy uważali się bowiem za "zagorzałych zwolenników niszczenia szkodników" i nic więcej.

Jeden z takich "zagorzałych zwolenników", pan T., wycofał się właśnie do dolnego pomieszczenia pubu Queen's Head, które teraz zupełnie opustoszało. Skinął na samotnego barmana i zamówił szklankę ginu dla siebie i miętę dla psa.

Obmywał właśnie ziołami pysk ulubienicy, aby zapobiec ewentualnemu

zakażeniu, gdy po schodach zszedł rudobrody dżentelmen i rzekł:

- Mogę dołączyć do pana na szklaneczkę?

- Ależ proszę - zgodził się pan T. nie przestając opatrywać buldoga.

Odgłos tupania i wrzaski na górze oznajmiły rozpoczęcie następnej rundy

niszczenia szkodników. Rudobrody nieznajomy musiał przekrzykiwać tumult.

- Widzę, że ma pan sportową żyłkę.

- Niestety - przyznał równie głośno pan T. i pogłaskał swą sukę. - Lover nie była dzisiaj w najlepszej formie. Gdy jest, nikt jej nie dorówna, ale czasami cierpi na brak szybkości.

- Westchnął ciężko. - Dzisiaj był właśnie taki dzień.

- Przesunął dłońmi po ciele buldoga sprawdzając, czy nie ma głębokich ran, a następnie wytarł chustką krew z rąk. Wyszła z tego cało. Moja Lover jeszcze będzie walczyć.

- Z pewnością. I znowu postawię na nią. Pan T. okazał zaniepokojenie.

- Przegrał pan?

- Drobnostka. Dziesięć gwinei. To nic.

Właściciel psa był zamożnym człowiekiem, ale nie zwykł traktować dziesięciu gwinei jako drobnostki. Przyjrzał się uważnie rozmówcy i zauważył doskonale skrojony surdut i krawat z najlepszego jedwabiu.

- Cieszy mnie, że nie przejął się pan tym za bardzo oświadczył. - Pozwoli pan, że zamówię coś dla pana jako rekompensatę za niepowodzenie.

- Nigdy - oburzył się rudobrody dżentelmen - ponieważ nie uważam tego za niepowodzenie. Prawdę mówiąc, jestem pełen uznania dla człowieka, który trzyma psa i go szkoli. Sam bym to robił, gdybym tylko nie wyjeżdżał tak często w interesach za

granicę.

- Tak?

Pan T. skinął na barmana, by podał następną kolejkę.

- Niestety - powiedział nieznajomy. - Właśnie wczoraj zaproponowano mi najlepszego, wyszkolonego zabójcę: ma wszystkie talenty prawdziwego bojowego psa.

Nie mogłem go kupić, ponieważ nie mam czasu się nim zajmować.

- Jaka szkoda - rzekł pan T. - Ile zażądano?

- Pięćdziesiąt gwinei.

- Królewska cena.

- Rzeczywiście. Barman przyniósł drinki.

- Sam poszukuję tresowanego psa - niby mimochodem rzekł właściciel Lover.

- Tak?

- Owszem - przyznał pan T. - Potrzebowałbym trzeciego, aby dołączył do Lover i Shantunga. Nie przypuszczam jednak...

Rudobrody mężczyzna wahał się chwilę, zanim odpowiedział. Tresowanie, kupowanie i sprzedawanie psów do walki było przecież nielegalne.

- Jeśli chciałby pan - rzekł w końcu - mógłbym sprawdzić, czy to zwierzę jest wciąż osiągalne.

- Doprawdy? Byłoby to bardzo miłe z pana strony. Naprawdę bardzo miłe. - Panu

T. przyszła jednak do głowy nagła myśl. - Na pana miejscu kupiłbym go sam. Przecież podczas pańskiej nieobecności żona mogłaby poinstruować służących, jak obchodzić się ze zwierzęciem.

- Obawiam się - odparł nieznajomy - że przez ostatnie lata po święcałem zbyt wiele energii interesom. Nie ożeniłem się jeszcze. - Po chwili dodał. - Ale oczywiście jeszcze

nie straconego.

- Oczywiście - zgodził się pan T., a na jego obliczu pojawił się dziwny wyraz.

ROZDZIAŁ 12

# SPRAWA PANNY ELIZABETH TRENT

Anglicy epoki wiktoriańskiej byli pierwszym społeczeństwem, które zbierało o sobie informacje, a liczby statystyczne były źródłem ich dumy. Atoli począwszy od roku 1840 jedno zjawisko martwiło myślicieli tego okresu: oto w Anglii stale rosła liczba samotnych kobiet. Do roku 1851 doliczono się 765 000 kobiet zdolnych do zawarcia małżeństwa, a w znacznej mierze były to córki obywateli ze średniej i wyższej klasy. Problem zatem poważny i o wielkiej doniosłości. Kobiety z niższych warstw mogły podjąć pracę, zarabiać na życie jako szwaczki, kwiaciarki, robotnice rolne lub zająć się jakąkolwiek profesją. Na nich nie ciążyła groźba deklasacji. Były to niechlujne, ograniczone istoty bez wykształcenia. A. H. White donosił ze zdziwieniem, że rozmawiał z młodą dziewczyną pracującą w fabryce zapalek, która "nigdy nie była w kościele ani w kaplicy. Nie rozumiała słów: «Anglia», «Londyn», «morze», lub «statek». Nigdy nie słyszała o Bogu. Nie wiedziała co oznacza 'on'. Nie potrafiła określić, czy lepiej jest być dobrym, czy złym".

Oczywiście w obliczu tak kompletnej ignorancji to biedne dziecko powinno być wdzięczne losowi, iż znalazło w ogóle sposób na przetrwanie w społeczeństwie. Co innego córki rodzin z klasy średniej i wyższej. Te młode damy, wykształcone i przygotowane do życia na odpowiednim poziomie, wychowywano wyłącznie na "idealne żony". Dla nich zamążpójście było więc strasznie ważne - lecz jedynie za przedstawiciela co najmniej własnej warstwy społecznej. Niepowodzenie - staropanieństwo - niosło za sobą tragiczne dla nich skutki; panował bowiem powszechny pogląd, że "prawdziwym zadaniem kobiety jest prowadzić dom męża, być jego sprężyną działania i doradcą". Jeśli nie miała możliwości pełnić tego zadania, stawała się żalosnym dziwologiem. Problem był tym poważniejszy, że dobrze urodzona kobieta nie miała innego

wyjścia jak zamążpójście. Jeden z obserwatorów zjawisk społecznych w tamtych czasach pisze: „jakież zajęcie mogła znaleźć, bez utraty swej pozycji? Dama, by zasłużyć sobie na to miano, musiała być wyłącznie damą i nikim więcej. Nie mogła pracować dla pieniędzy ani angażować się w żadne zaj ęcie, które przynosi dochód, gdyż stawiałoby ją to w szeregu kobiet, które utrzymywały się z pracy rąk”. Stałaby się plebejką.

W praktyce niezamężna kobieta z wyższej warstwy społecznej mogła wykorzystać tylko jeden jedyny atrybut swej pozycji - wykształcenie - i zostać guwernantką. Jednak do roku 1851 zatrudniono już dwadzieścia pięć tysięcy guwernantek i nie było zapotrzebowania na więcej. Mogła też ostatecznie zostać ekspedientką, urzędniczką, telegrafistką lub pielęgniarką, lecz wszystkie te zawody były odpowiedniejsze dla ambitnych przedstawicielek niższych klas.

Jeżeli panna nie chciała się podjąć tak upokarzającej pracy, jej panieństwo oznaczało znaczne obciążenie finansowe dla rodziny. Emily Downing zauważyła, że „córki pracujących członków wyższej klasy... czują, iż są ciężarem i zawadą dla tyrających ojców, zdają sobie sprawę z ciągłego niepokoju rodziców o nie. Jeżeli nie uda się im wyjść za mąż, wcześniej czy później będą zmuszone podjąć walkę o własne życie, całkowicie do tej walki nie przygotowane i nie przystosowane”.

Krótko mówiąc, zarówno ojcowie, jak i córki dobrze wiedzieli, że małżeństwo jest konieczne - byle z przyzwoitym człowiekiem. W tych czasach związki małżeńskie zawierano stosunkowo późno, między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Córka Edgara Trenta, Elizabeth, miała już dwadzieścia dziewięć lat, spełniała „wszystkie warunki konieczne do zawarcia małżeństwa”, a więc czym prędzej należało jej znaleźć kandydata na męża. Pan Trent nie mógł nie brać pod uwagę, że dżentelmen rozgląda się za żoną. Sam zainteresowany nie okazywał niechęci do małżeństwa; sprawiał raczej

wrażenie człowieka interesu, któremu brak czasu na szukanie szczęścia rodzinnego. Tak więc wszystko wskazywało na to, że ten dobrze ubrany, najwyraźniej zamożny, młody człowiek ze sportową żyłką, powinien poznać Elizabeth. Doszedłszy do tego wniosku, pan Trent zaprosił pana Pierce'a do swego domu przy Highwater Street na niedzielną herbatę pod pretekstem omówienia spraw związanych z zakupem bojowego psa. Pierce z pewnym wahaniem przyjął zaproszenie.

Elizabeth Trent nie stanęła jako świadek na procesie Pierce'a, ponieważ z starano się chronić jej uczuciową wrażliwość. Zapiski z tamtych czasów przekazują nam jednak dokładny opis tej postaci. Była średniego wzrostu, miała nieco ciemniejszą cerę, niż było to w modzie, rysy jej, według słów sprawozdawcy "dość regularne, ale nie można by nazwać ich pięknymi". Wtedy, tak jak teraz, dziennikarze zwykli przesadnie oceniać urodę każdej kobiety zamieszanej w skandal, więc ten brak komplementów na temat wyglądu panny Trent wskazuje, że nie był on zbyt atrakcyjny.

Miała kilku pretendenta do swej ręki - ambitnych ludzi, którzy chcieli poślubić córkę prezesa banku, ale tych zdecydowanie odrzuciła, z niewątpliwym błogosławieństwem ojca. Pierce oczarował ją jednak swą "dziarską, wspaniałą postawą mężczyzny, którego wdzięk zniewalał kobiety".

Z tego, co mówili inni, Pierce był równie urzeczony młodą damą. Z zeznania służącego wynika, że ich pierwsze spotkanie wyglądało jak przeniesione z kart powieści wiktoriańskiej.

Pierce z panem Trentem i jego żoną, "znaną pięknoscią" pił herbatę na trawniku z tyłu domu. Przyglądali się murarzom wznoszącym na podwórzu stylizowaną starą budowlę, a nieopodal ogrodnik sadił malownicze chwasty. Epoka trwającej już niemal sto lat fascynacji Anglików starymi ruinami wydawała właśnie ostatnie tchnienie. Ruiny cieszyły



się jednak jeszcze tak dużą popularnością, że każdy, kogo było na to stać, na swoim terenie wznosił choćby najskromniejsze.

Pierce przyglądał się przez chwilę robotnikom.

- Co to ma być? - zapytał.

- Myśleliśmy o młynie wodnym - wyjaśniła pani Trent.

- Będzie cudowny, szczególnie z zardzewiałym kołem. Nie uważa pan?

- Ta budowa kosztuje nas niemało - dodał gderliwie pan domu.

- Koło robią z już przerdzewiałego metalu, co oszczędza nam wielu kłopotów -

dodała pani Trent. - Musimy oczywiście poczekać, aż wokół urosną chwasty i wtedy wszystko uzyska należyty wygląd.

W tej chwili zjawiała się Elizabeth ubrana w białą krynolinę.

- Och, moja droga córka - ucieszył się pan Trent i wstał, a za nim Pierce. - Oto pan Edward Pierce, a to moja córka Elizabeth.

- Muszę wyznać, że nie wiedziałem, iż ma pan córkę stwierdził gość.

Skłonił się głęboko, ujął dłoń Elizabeth i zamierzał ją ucałować, ale zawahał się.

Wyglądał na niezwykle zaintrygowanego pojawieniem się młodej damy.

- Panno Trent - zaczął, puszczał jej dłoń

- to dla mnie niespodzianka.

- Nie wiem, czy miła, czy też nie - odparła panna Trent. Szybko zajęła miejsce przy stole i wyciągnęła rękę po filiżankę herbaty.

- Zapewniam panią, że zdecydowanie miła - przyznał Pierce.

Według zeznania, przy tych słowach wyraźnie się zaczerwienił.

Panna Trent ukryła twarz za wachlarzem, a jej ojciec chrząknął. Pani domu - żona doskonała - podniosła tacę herbatników, mówiąc:

- Proszę spróbować, panie Pierce,

- Z przyjemnością, madam - odrzekł gość, częstując się.

- Rozmawialiśmy właśnie o ruinach - rzekł pan Trent nieco za głośno. - A

wcześniej pan Pierce opowiadał nam o swoich zagranicznych podróżach. Niedawno wrócił z Nowego Jorku.

Był to sygnał. Córka zareagowała natychmiast.

- Doprawdy? - zapytała wachlując się energicznie. Ależ to fascynujące.

- Obawiam się, że tego nie sposób wyrazić słowami rzekł Pierce.

Unikał wzroku młodej damy tak wyraźnie, że wszyscy dostrzegli, jak bardzo jest speszony. Na pierwszy rzut oka było widać, że go urzekła, czego ostatecznym dowodem było to, iż zwracał się jak gdyby wyłącznie do pani Trent:

- Jeśli mam być szczerzy, miasto jak każde inne na świecie, lecz pozbawione tych uroków, które my, mieszkańcy Londynu, uważamy za oczywiste.

- Słyszałam - ośmieliła się zauważyć Elizabeth, wci aż chłodząc się wachlarzem - że grasują tam jacyś miejscowi rozbójnicy.

- Byłbym zachwycony, gdybym mógł łączyć panią opowieściami o Indianach - bo tak nazywa się ich w Ameryce - ale niestety, nie przeżyłem żadnych przygód z ich udziałem. Dzikość Ameryki zaczyna się dopiero po przekroczeniu Missisipi.

- Zrobił pan to?

- Owszem - przyznał Pierce. - To ogromna rzeka, wielokrotnie szersza niż Tamiza, a przy tym stanowi granicę cywilizacji. Chociaż ostatnio rozpoczęto budowę linii kolejowej przez tę całą rozległą kolonię. - Pozwolił sobie na protekcyjną uwagę o Ameryce, skwitowaną przez gospodarza uśmiechem. - I podejrzewam, że wraz z jej ukończeniem cała ta dzikość zniknie.

- Naprawdę, osobliwe - panna Trent nie potrafiła zdobyć się na inny komentarz.

- Cóż za interesy zaprowadziły pana aż do Nowego Jorku? - zapytał pan Trent.

- Jeśli mogę pozwolić sobie na taką śmiałość - ciągnął Pierce nie zwracając uwagi na pytanie - i jeśli delikatne uszy dam to zniosą, podam przykład dzikości amerykańskiej ziemi i prymitywu tamtejszego życia, który wielu ludzi uważa za normalny. Czy wiecie państwo, co to są bizona?

- Czytałam o nich - oznajmiła gospodyni z błyskiem w oczach.

Według zeznań służących była urzeczona go ściem niemal w takim samym stopniu jak pasierbica, a jej zachowanie domownicy uznali za mały skandal.

- Te bizona to ogromne bestie, jakby dzikie krowy, tylko bardziej kudłate - dodała.

- Tak właśnie wyglądają. W zachodniej części kraju jest mnóstwo tych byczych stworzeń i wiele osób poluje na nie i żywi się nimi.

- Czy był pan w Kalifornii, gdzie jest złoto? - zapytała nagle Elizabeth.

- Tak - odrzekł Pierce.

- Pozwólmy panu skończyć tę opowieść - rzekła pani Trent nieco za ostrym tonem.

- No cóż - ciągnął Pierce - łowcom zależy na mięsie tych zwierząt, uznawanym za dziczyznę, a czasem i na skórze, która także ma pewną wartość.

- Ale kłów to one nie mają - stwierdził pan Trent.

Jego bank sfinansował ostatnio wyprawę na słonie i właśnie w tej chwili magazyn w dokach był wypełniony pięcioma tysiącami słoniowych kłów. Osobiście odwiedził to pomieszczenie w ramach inspekcji i widok biały zakrzywionych siekaczy zrobił na nim duże wrażenie.

- Nie, nie mają kłów, choć samce posiadają rogi.

- Rogi, rozumiem... Ale nie z kości słoniowej.

- Nie, nie z takiej kości.

- Rozumiem.

- Niech pan mówi dalej - poprosiła pani Trent, wpatrując się w gościa błyszczącymi oczami.

- Cóż. Ludzie, nazywani łowcami bizonów, zabi... pozbawiają życia bizony, a wykorzystują do tego celu strzelby. Czasami organizują nagonkę i pędzą stado zwierząt, aż spadnie z urwiska, najczęściej jednak pozbawiają te bestie życia pojedynczo. Zdarza się - tutaj proszę mi wybaczyć drastyczny opis, który muszę przytoczyć, by uświadomić państwu dzikość tych stron - że ledwie bestia padnie, natychmiast na miejscu usuwa się jej wnętrzności.

- Bardzo praktyczne - stwierdził pan Trent.

- Z pewnością, ale jest w tym coś szczególnego. Łowcy bizonów cenią sobie jako przysmak pewną część tych wnętrzności, a mianowicie jelito cienkie.

- Jak je przygotowują? - zapytała panna Trent. Sądzę, że pieką nad ogniem.

- Nie, madam. Tu właśnie mamy przejaw zdziczenia. Jelita te, uważane za przysmak, są spożywane od razu, bez przyrządzania.

- Czy to oznacza, że zupełnie surowe? - zapytała Elizabeth, marszcząc nos.

- Rzeczywiście, madam. Tak jak myjemy surowe ostrygi, tak ci łowcy spożywają jelita, i w dodatku jeszcze ciepłe.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła panna Trent.

- Tak więc - ciągnął gość - zdarza się, że dwóch ludzi bierze udział w polowaniu i natychmiast po ubiciu zwierzęcia rzucają się na cenne jelito. Każdy chce pożyć przysmak, zanim ubiegnie go współnik.

- Litości - jęknęła panna Trent, wachlując się szybciej.

- Nie koniec na tym. W pośpiechu łowcy połykają łup nie gryząc go. To znana sztuczka. Ale gdy konkurent ją zna, może podczas jedzenia wyciągnąć część jelita prosto z ust drugiego, tak jak ja mogę przeciągnąć sznurek między palcami. I w ten sposób może połknąć to, co drugi już zjadł, mówiąc oględnie.

- Och - szepnęła pani domu blednąc nagle. Pan Trent chrząknął.

- Nadzwyczajne - stwierdził.

- Jakże oryginalne - przyznała, jego córka odważnie, choć drżącym głosem.

- Musicie mi wybaczyć - jęknęła pani Trent wstając.

- Moja droga... - zwrócił się do niej mąż.

- Mam nadzieję, że nie uraziłem pani - rzekł Pierce także wstając.

- Pańskie opowieści są wprost nadzwyczajne - odparła odchodząc.

- Moja droga - powtórzył mąż i podążył za nią. Tym sposobem Edward Pierce i

Elizabeth Trent pozostali na krótko sami i widziano, że zamienili ze sobą kilka słów. Treść

ich rozmowy nie jest znana. Panna Trent przyznała się jednak później służącej, że pan

Pierce wydał się jej "fascynujący w sposobie bycia". W domu Trentów uznano, iż

Elizabeth trafiła się najcenniejsza "zdobycz" - starający się.

ROZDZIAŁ 12

# EGZEKUCJA

Wielokrotna morderczyni używająca topora, Emma Barnes, miała zostać publicznie stracona 28 sierpnia roku 1854. Pierwsi widzowie przybyli pod wysokie granitowe ściany więzienia Newgate jeszcze poprzedniego dnia wieczorem. Mieli tu spędzić całą noc tylko po to, aby rano zapewnić sobie dobry widok na mające nastąpić przedstawienie. Tego samego wieczora została przywieziona szubienica, którą ustawiali pomocnicy kata. Stukot ich młotków słychać było do późna w nocy.

Właściciele domów, których okna wychodziły na plac, z ochotą wynajmowali je dżentelmenom i damom, pragnącym popatrzeć na "widowisko wieszania". Pani Edna Molloy, cnotliwa wdowa, znała doskonale wartość swych pokoi i gdy elegancki pan o nazwisku Pierce zapytał o możliwość wynajęcia najlepszego z nich na noc, nie patyczkowała się. Zażądała aż dwudziestu pięciu gwinei.

Była to znaczna suma. Pani Molloy mogła żyć za nią wygodnie przez rok, ale nie uważała jej za wygórowaną. Wiedziała bowiem, że taki Pierce za dwadzieścia pięć gwinei zatrudnia lokaja na sześć miesięcy lub kupuje jedną bądź dwie szykowne suknie dla swojej damy, i to wszystko.

Prawdziwym dowodem jego zamożności był sposób, w jaki uiścił należność: od razu, bez wahania i to w złotych gwineach. Pani Malloy nie chciała ryzykować sprawdzania monet przy nim, by go nie obrazić, ale uczyniła to natychmiast, gdy odszedł. Zawsze trzeba było uważać ze złotymi gwineami. Nie raz już dała się oszukać, nawet dżentelmenowi.

Natychmiast uspokoiła się, bo monety były prawdziwe. Tak więc, gdy później, tego samego dnia, pan Pierce wraz z kilkoma osobami wszedł po schodach do wynajętego pokoju, nie zainteresowała się nimi bliżej. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn i dwie

kobiety, wszyscy ubrani w eleganckie stroje. Po akcencie zorientowała się, że mężczyźni nie są dżentelmenami, a ich towarzyszek także nie należą do wyższych sfer, chociaż zauważyła plecione koszyki z butelkami wina.

Kiedy całe towarzystwo weszło do pokoju i zamknęło za sobą drzwi, zrezygnowała z podglądania przez dziurkę od klucza. Była pewna, że nie będzie miała z nimi żadnych kłopotów.

Pierce podszedł do okna i spojrzał w dół na tłum, rosnący z każdą minutą. Plac tonął w mroku, który rozjaśniał jedynie blask pochodni wokół szubienicy. W tym ciepłym świetle widział rysującą się poprzeczkę i zapadnię.

- Nigdy mu się nie uda - stwierdził Agar za jego plecami.

Dżentelmen odwrócił się.

- On musi to zrobić, chłopcze.

- Jest najlepszym węzłem, najlepszym, o jakim ktokolwiek kiedykolwiek słyszał, ale nie zdoła stamtąd uciec rzekł kasiarz wskazując kciukiem więzienie.

Drugim mężczyzną był Barlow - krępy, gburowaty osobnik z białą szramą od noża na czole. Zwykle ukrywał ją pod rondem kapelusza. Kiedyś był pijakiem i bombiarzem działającym "na eterek", czyli złodziejem trudniącym się brutalnym rozbojem, ale przed kilkoma laty Pierce zatrudnił go jako woźnicę. Wszyscy bandyci to twardzi ludzie, a taki włamywacz jak Pierce potrzebował na koźle właśnie kogoś, kto w razie potrzeby pomoże w ucieczce lub posunie się do rękoczyn, jeśli będzie trzeba. Kryminalista okazał się lojalnym sługą. Pracował dla Pierce'a już niemal pięć lat. Boulow zmarszczył brwi i stwierdził:

- Jeśli to możliwe, ucieknie. Clean Willy zrobi to, jeżeli jest to w ogóle możliwe.

Mówił wolno, sprawiając wrażenie człowieka, który z trudnością formułuje myśli.

Jego pryncypał wiedział jednak, że potrafi szybko działać.

Pierce spojrział na kobiety. Były to kochanki Agara i Barlowa, co oznaczało, że są także ich współpracownikami. Nie wiedział, jak się nazywają, i wcale go to nie interesowało. Żałował, że się tutaj znalazły - w ciągu pięciu lat nigdy nie spotkał kobiety Barlowa - ale nie było sposobu, by uniknąć tego tym razem. Kochanka służącego była niewątpliwie pijaczką. Na odległość czuć od niej było gin. Druga kobieta prezentowała się nieco lepiej i sprawiała wrażenie trzeźwej.

- Przyniosłyście wszystko? - zapytał Pierce. Kochanka Agara otworzyła koszyk. W środku ujrzał gąbkę, medykamenty i bandaż. Znajdowała się tam także starannie złożona suknia.

- Wszystko, co pan kazał, sir.

- Ubranie jest małe?

- A jakże, sir. Ledwo co większe od dziecięcego.

- Dobrze - rzucił dżentelmen i z powrotem odwrócił się w stronę placu.

Nie patrzył jednak na szubienicę ani na rosnący tłum. Przyglądał się ścianom więzienia.

- Proszę, oto kolacja, sir - zwróciła się do niego kobieta Barlowa.

Pierce rzucił okiem na stół, na którym znajdowały się: zimny drób, słoiki marynowanej cebuli, szczypce homarów i paczka ciemnych cygar.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - powiedział.

- Odgrywasz wielkiego pana? - odezwał się Agar. Było to powiedziane w żartobliwym tonie, ale kasiarz zeznał później, że Pierce potraktował tę uwagę poważnie. Odwrócił się i odchylił połę długiego płaszcza, pokazując rewolwer zatknięty za spodnie.

- Jeśli któreś z was wyjdzie stąd, dostanie kulkę w łeb i wyląduje w lawendzie. -



Uśmiechnął się nieznacznie. Wiecie, że są gorsze rzeczy niż zesłanie do Australii.

- Proszę wybaczyć - wykrztusił Agar spoglądając na broń. - Proszę wybaczyć... To był tylko żart.

- Po co nam właściwie wąż? - zapytał Barlow. Pierce nie wykazał chęci do zmiany tematu.

- Zapamiętajcie każde moje słowo - oznajmił. - Jeżeli któreś z was ruszy się stąd, strzelę, zanim zdola zliczyć do dwóch. Nie ryzykujcie, zrobię to bez namysłu. - Usiadł przy stole. - A teraz zjem udko kurczaka, bo nie pozostaje nam nic innego, jak czekać i odpoczywać.

Pierce spał przez część nocy. O świcie obudził go gwar tłuszczy na placu.

Hałaśliwy, nieokrzesany tłum urósł do piętnastu tysięcy. Wiadomo było, że kolejne dziesięć lub piętnaście wylegnie na ulice udając się do pracy. Robotnicy nie troszczyli się zbyt o punktualność w poniedziałkowe ranki, gdy kogoś wieszano. A dzisiaj szczególnie, ponieważ wieszano kobietę.

Szubienica już stała. Stryczek dyndał w powietrzu nad zapadnią. Pierce rzucił okiem na zegarek kieszonkowy. Za kwadrans ósma. Do egzekucji pozostało niewiele czasu.

Na placu poniżej falujący tłum zaintonował śpiewnie:

"Och, nie do wiary, ja umrę! Och, nie do wiary, ja umrę!"

Wszędzie śmiano się i krzyczano. Wybuchło nawet kilka bójek, ale zaraz wygasły w ogromnym ścisku.

Wszyscy podeszli do okna, zaciekawieni.

- Jak myślisz, kiedy zdecyduje się ruszyć? - zapytał Agar.

- Chyba dokładnie o ósmej.

- Ja zrobiłbym to nieco wcześniej.

- Zacznie, kiedy uzna za stosowne - uciął Pierce. Minuty płynęły powoli. W pokoju panowała cisza. Wreszcie odezwał się Barlow:

- Znałem Emmę Barnes. Nigdy nie przypuszczałem, że tak skończy.

Dżentelmen milczał.

O ósmej dzwony St Sepulchre wybiły godzinę i tłum zaryczał z emocji. Nagle dał się słyszeć cichy odgłos dzwonka, drzwi więzienia Newgate otworzyły się: wyprowadzono więźniarkę. Ręce miała związane z tyłu. Przed nią szedł kapelan więzienny czytający Biblię, za nią zaś ubrany na czarno miejski kat.

Tłum dostrzegł skazaną i rozległ się krzyk:

- Czapki z głów!

Wszyscy mężczyźni odkryli głowy, gdy więźniarka wspinała się na platformę.

Pierce zatrzymał wzrok na skazanej. Emma Barnes była po trzydziestce i wyglądała na osobę pełną wigoru. Dziura na głowę wycięta w okryciu odsłaniała mocne jej mięśnie szyi, ale jej spojrzenie było dalekie i szkliste. Wydawało się, że niczego nie dostrzega. Znieruchomiała, a kat podszedł do niej i przesunął nieco, jakby był krawcem ustawiającym manekina. Emma Barnes patrzyła ponad tłum. Sznur został przytwierdzony do łańcucha na jej szyi.

Duchowny czytał głośno, nie odrywając oczu od Biblii. Kat miejski skrępował nogi kobiety rzemieniem. Wykorzystał ten moment, by pogmerać pod jej spódnicą; co tłum skwitował chrypliwym śmiechem.

Oprawca wstał i nasunął czarny worek na głowę skazanej. Na sygnał zapadnia otworzyła się z charakterystycznym kłóśnięciem, które dotarło do Pierce'a z zaskakującą wyrazistością. Ciało opadło, zawisło na stryczku i niemal natychmiast znieruchomiało.

- Staje się w tym coraz lepszy - stwierdził Agar.

Kat znany był z tego, że partaczył egzekucje. Bywało, iż wieszany wił się w cierpieniach przez kilkanaście minut, zanim umarł.

- Tłumowi się to nie spodoba - dodał.

Tak naprawdę gawieź nie zwróciła na to uwagi. Nastała chwila ciszy, a po niej ryk pełnych podniecenia komentarzy. Pierce wiedział, że większość ludzi pozostanie na placu przez następnych kilka godzin, dopóki martwej kobiety nie odetną i nie złożą do trumny.

- Napije się pan ponczu? - zapytała kochanka kasiarza.

- Nie - odrzekł Pierce, a po chwili dodał: - Gdzie jest Willy?

Clean Willy Williams, najślawniejszy wąż stulecia, znajdował się w więzieniu i właśnie rozpoczynał ucieczkę. Był drobnym mężczyzną i jako pomocnik kominiarza słynął ze zwinności. W późniejszych latach zatrudnili go najlepsi złodzieje, a jego wyczyny stały się już legendą. Mawiano, że Clean Willy potrafi wspiąć się po szklanej ścianie i nikt nie był pewien, czy rzeczywiście nie jest to prawda.

Strażnicy w Newgate, znając sławę swego więźnia, mieli na niego szczególne baczenie. Wiedzieli jednak, że ucieczka stąd jest absolutnie niemożliwa. Zmyślny więzień mógł zbiec z Ponsdale, gdzie była rozluźniona dyscyplina, ściany były niskie, a strażnicy skłonni przyjąć złotą monetę za spojrzenie w przeciwną stronę. W Ponsdale, Highgate i wielu innych, ale nie w Newgate.

Newgate cieszyło się złą sławą w całej Anglii. Zostało zaprojektowane przez

George'a Dance'a - „jeden z najskrupulatniejszych umysłów Czasów Smaku” - a każdy detal budynku uwydatniał surowy fakt zamknięcia. Na przykład wymiary łuków okiennych były „subtelnie pogrubione w celu podkreślenia bolesnej wprost wąskości otworów”.

Współcześni pochwalali stosowanie takich rozwiązań.

Reputacja Newgate opierała się nie tylko na specyficznej estetyce. Przez ponad siedemdziesiąt lat od roku 1782, kiedy budowa została zakończona, żaden skazany stamtąd nie zbiegł. I trudno się temu dziwić. Więzienie otaczały ze wszystkich stron granitowe mury wysokie na piętnaście stóp. Wspięcie się po precyzyjnie obrobionych kamieniach było podobno niemożliwe. Nawet jeśli ktoś poradził sobie z tą przeszkodą, nic by mu to nie dało. Na szczycie muru znajdowały się bowiem żelazne belki z obrotowymi bębniami, najeżonymi ostrymi jak brzytwa kolcami. Żaden człowiek nie mógł przedostać się przez takie przeszkody. Ucieczka z Newgate była więc nie do pomyślenia.

Mijały miesiące i strażnicy przywykli do obecności małego Willy'ego, przestali go specjalnie obserwować. Nie należał do więźniów sprawiających kłopoty. Nigdy nie złamał zasady ciszy ani nie rozmawiał z towarzyszem w celi. Przez przepisowych piętnaście minut znosił tor przeszkód oraz inne ćwiczenia bez słowa skargi. Właściwie ten niewielkiego wzrostu człowieczek z taką pogodą znoszący sytuację, w jakiej się znalazł, wzbudzał swego rodzaju podziw. Był prawdopodobnym kandydatem do otrzymania biletu wyjściowego, czyli skrócenia kary za jakiś rok.

Jednak o ósmej rano tego poniedziałku, 28 sierpnia roku 4, Clean Willy Williams przemknął do rogu więzienia, gdzie spotykały się dwie ściany. Przywarł plecami do muru, a potem zaczął się wspinać po pionowej kamiennej powierzchni. Im bliżej był szczytu, tym wyraźniej słyszał krzyki tłumu: "Och, nie do wiary, ja umrę!" Bez wahania chwycił za sztabę z metalowymi kolcami wieńczącą mur, kalecząc całe dłonie.

Clean Willy już od dzieciństwa nie miał czucia w palcach, a skórę dłoni pokrytą zgrubieniami i szramami. W tych czasach właściciele domów mieli zwyczaj utrzymywać ogień aż do chwili, gdy kominiarz ze swym nieletnim pomocnikiem zabierali się za

czyszczenie przewodów. Nieraz chłopak przypiekl ręce wkładając je do gorącego komina, ale nie zwracano na to uwagi. Je śli pomocnikowi nie podobała się taka praca, było mnóstwo chętnych na jego miejsce.

Przez lata dłonie Willy'ego były przypiekane wielokrotnie. Nie czu ł więc nic, gdy krew ściekała strumyczkiem po pokaleczonych palcach, przedramionach i kapiała na twarz. Nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Przylepiony do muru poruszał się wolno tuż obok obrotowych kołczastych bębnow.

Było to wyczerpujące. Zupełnie stracił poczucie czasu i wcale nie słyszał tłumu hałasującego po egzekucji. Podążał po więziennym murze, aż dotarł do południowej ściany. Tam się zatrzymał i odczekał, aż patrolujący strażnik odszedł nieco dalej.

Wartownik nie spojrzał w górę, choć Willy przypomniał sobie później, że krople jego krwi wylądowały mu na czapce i ramionach.

Gdy przeszedł, uciekinier podciągnął się na kolce, raniąc klatkę piersiową, kolana i nogi, tak że aż trysnęła krew, a potem skoczy ł piętnaście stóp w dół na dach najbliższego budynku za murami wi ężenia. Nikt nie usłyszał odgłosu upadku. W pobli żu nie było nikogo; wszyscy przypatrywali się egzekucji.

Z tego dachu skoczył na następny i na jeszcze dalszy, pokonując bez wahania sześć-, a nawet ośmiostopowe przerwy. Raz czy dwa nieomal ześlizgnął się na dół po gonce lub dachówce, ale jakoś udawało mu się utrzymać równowagę. Przecież większość życia spędził na dachach.

Wreszcie w niecałe pół godziny od chwili, gdy zaczął wspinać się po ścianie wi ężenia, wsunął się do domu pani Malloy przez szczytowe okno na ty łach, przemknął przez hol i wszedł do pokoju, który wynajął za znaczną sumę Pierce i jego towarzystwo.

Agar wspominał, że Willy wyglądał "upiornie, wprost przera żajaco" i dodał, że

"krwawił jak torturowany święty", choć to bluźniercze porównanie zostało wykreślone z zeznań sądowych.

Pierce nakazał prędko zająć się uciekinierem, który był półprzytomny. Dano mu do wdychania sole trzeźwiące, przyniesione w butelce ze rżniętego szkła. Kobiety rozebrały go nie okazując żadnego wstydu. Rany zostały posypane proszkiem tamującym krew, zaklejone plastrami i owinięte bandażami. Agar dał Willy'emu do wypicia łyk wina z koką na pobudzenie energii i trochę wina Burroughs & Wellcome na wzmocnienie. Zmuszono go, aby połknął dwie pigułki Cartera na nerwy i popił ich nalewką z opium, która miała uśmierzyć ból. Po takiej terapii Willy prawie doszedł do siebie. Kobiety obmyły mu twarz wodą różaną i ubrały w przygotowaną suknię.

Gdy był gotowy, dostał jeszcze łyk środka pobudzającego i polecono, by udawał osobę, która zasłabła. Na głowę naciągnięto mu damski czepek, a na stopy wysokie buty. Zakrwawione ubranie więzienne zostało wciśnięte do koszyka.

Nikt z tłumu nie zwrócił najmniejszej uwagi na dobrze ubrane towarzystwo, opuszczające kamienicę pani Malloy. Jedna z kobiet była tak słaba, że mężczyźni prawie ją wnieśli do czekającej dorożki, po czym wszyscy odjechali w świetle poranka. Ten widok był na pewno mniej interesujący niż ciało wolno huśtające się na końcu stryczka.

## ROZDZIAŁ 14

### PUBLICZNA HAŃBA

Mniej więcej siedem ósmych budynków w Londynie epoki wiktoriańskiej pochodziło z czasów georgiańskich. Oblicze miasta i jego ogólny charakter architektoniczny były spuścizną po wcześniejszych okresach. Anglicy prawie nie przebudowywali swej stolicy aż do lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Przez wiele lat nie warto było po prostu burzyć starych budowli, nawet tych, które nie spełniały

nowoczesnych wymagań. Z pewnością niechęć ta nie wynikała z poczucia piękna, ludzie nienawidzili bowiem stylu wcześniejszej epoki, której brzydotę sam Ruskin określił jako *ne plus ultra*.

Tak więc nie powinno raczej dziwić, iż "Times", donosząc o ucieczce więźnia z Newgate, zauważył, że "zalety tej budowli były widocznie przesadzone. Ucieczka stamtąd nie tylko okazała się możliwa, ale była wprost dziecinną igraszką, skoro zbieg nie jest jeszcze osobą pełnoletnią. Nadszedł czas, by zmazać tę publiczną hańbę".

W artykule poinformowano, że "Metropolitan Police wysłała grupy uzbrojonych funkcjonariuszy do dzielnic biedoty w celu wytropienia uciekiniera i istnieje znaczne prawdopodobieństwo, że zostanie on aresztowany".

Na tym skończyły się komentarze. Należy pamiętać, że w tamtych czasach ucieczki z więzień były - jak to określił jeden z dziennikarzy - "niemal tak powszechne jak nieślubne dzieci" i nie mogły zbyt długo wzbudzać powszechnego zainteresowania.

Właśnie wtedy zasłony w oknach parlamentu moczono w wapnie, aby ochronić jego członków, debatujących nad kampanią krymską, przed epidemią cholery, gazety zatem nie zwracały zbytniej uwagi na drobny epizod dotyczący jakiegoś przestępcy, któremu udało się zbiec z więzienia.

Zresztą miesiąc później w wodach Tamizy znaleziono ciało młodego mężczyzny i policja zidentyfikowała je jako zwłoki zbiega z Newgate. Doniósł o tym w jednoakapitowej notce "Evening Standard", inne zaś gazety zupełnie nie zwróciły uwagi na ten fakt.

## ROZDZIAŁ 15

### DOM PIERCE'A

Po ucieczce Clean Willy został przeniesiony w zacisze domu Pierce'a na Mayfair,

gdzie spędził kilka tygodni, lecząc rany. To z jego późniejszych zeznań przed policją po raz pierwszy dowiadujemy się o tajemniczej kobiecie, która była kochanką Pierce'a i Willy znał ją jako pannę Miriam.

Zbiega umieszczono w jednym z pokoi na piątym piętrze, a służącym powiedziano, że jest krewnym panny Miriam, który został poturbowany przez dorozkę na New Bond Street. Od czasu do czasu domniemana kuzynka zajmowała się nim. Stwierdził, że "trzymała głowę wysoko, była zgrabna, mówiła jak dama i chodziła powoli, nigdy się nie spiesząc". Podobnie scharakteryzowali ją wszyscy inni świadkowie, na których ta zwiewna postać wywarła duże wrażenie. Twierdzono, że miała szczególnie urzekające oczy, a gracia jej ruchów była określana jako "zjawiskowa" lub "fantasmagoryczna".

Wszystko wskazywało na to, że dama owa mieszkała w domu razem z Pierce'em, choć w ciągu dnia często zniknęła. Clean Willy nie był jednak w stanie powiedzieć o niej nic więcej, trochę zapewne dlatego, iż często był otumaniony opium i rzeczywiście się widział w krzywym zwierciadle.

Pamiętał tylko jedną z nią rozmowę.

- Jest więc pani jego kanarkiem? - zapytał, co miało oznaczać, że jest współniczką Pierce'a.

- Och, nie - odrzekła z uśmiechem. - Nie mam słuchu muzycznego.

Stąd wywnioskował, że nie znała planów Pierce'a, choć później okazało się, że był w błędzie. Stanowiła integralną część tego planu i prawdopodobnie została we wszystko wtajemniczona jako pierwsza.

Podczas procesu spekulowano rozmaicie na temat panny Miriam i jej pochodzenia. Wiele poszlak przemawiało za tym, że była aktorką. To wyjaśniałoby jej zdolności do zmiany akcentu i odgrywania ról kobiet z różnych klas społecznych.



Świadczyła o tym także skłonność do makijażu w dzień. Żadna szanująca się kobieta nie skalałaby swego ciała kosmetykami. W dodatku jawnie przebywała w domu Pierce'a jako jego kochanka. W tamtych czasach granica dzieląca aktorkę od kurtyzany była bardzo niewyraźna. Aktorzy jako zawodowi tułacze, często mieli powiązania ze światem przestępczym lub sami do niego należeli. Jakakolwiek była przeszłość Miriam, wszystko wskazywało na to, że żyła z Pierce'em od co najmniej kilku lat.

On sam rzadko bywał w domu, a czasami nie wracał nawet na noc. Clean Willy wspominał, że widział go raz czy dwa późnym popołudniem, w stroju do konnej jazdy, pachnącego koniem, jakby wrócił z przejażdżki.

- Nie wiedziałem, że jest pan miłośnikiem koni - rzekł pewnego razu Willy.

- Nie jestem - odparł krótko Pierce. - Nie cierpię tych cholernych bestii.

Gospodarz trzymał Willy'ego u siebie, nawet gdy jego rany już się zabiły, czekając aż odrosną mu włosy, bowiem najłatwiej można było rozpoznać uciekiniera z więzienia po krótkiej czuprynie. Pod koniec września włosy stały się już dłuższe, ale zbiegowi wciąż nie wolno było wychodzić z domu. Kiedy zapytał dlaczego, Pierce odrzekł:

- Czekam, aż cię złapią lub znajdą martwego.

Ta odpowiedź mocno zdziwiła Willy'ego, ale robił, co mu kazano. W kilka dni później zjawił się Pierce z gazetą pod pachą i oświadczył, że może wyjść. Tego samego wieczora Clean Willy poszedł do Holy Land, aby odnaleźć swą dziewczynę. Dowiedział się jednak, że Maggie jest już związana z rzezimieszkiem najgorszego autoramentu, który trudnił się "bombiarstwem", czyli rozbojem. Maggie nie okazała najmniejszego zainteresowania Willym.

Wziął więc sobie inną dwunastolatkę imieniem Louise, której głównym zajęciem

było "pajęczarstwo". W sądzie została scharakteryzowana jako "bezrozumna gnida, tylko trochę barachła dla fanciarza". Zaskoczonym sędziom trzeba było wyjaśnić znaczenie poszczególnych określeń. Wynikało z nich, że nowa dziewczyna Willy'ego parała się najpodlejszą formą złodziejstwa - kradzieżą bielizny - specjalno ść dzieci i młodych dziewczyn, które nazywano "gnidami". Dało się z tego wyżyć, jeśli zdobycz została "dopulona do fanciarza", czyli sprzedana paserowi.

Willy przeszedł na utrzymanie dziewczyny i nie wypuszczał się poza slumsy.

Pierce ostrzegł go, by trzymał język za zębami i nigdy nie wspominał, kto pomógł mu w ucieczce z Newgate. Uciekinier mieszkał ze swoją kobietą w czynszowej kamienicy, mieszczącej ponad setkę ludzi. Dom był powszechnie znaną meliną. Spał ze swoją dziewczyną w łóżku, które dzielili z dwudziestoma innymi lokatorami obojga płci. Louise opisała to w następujący sposób: "żył beztrosko, wesoło spędzał czas i czekał aż ten włamywacz da mu znak".

ROZDZIAŁ 16

# ROTTEN ROW

Żadne z miejsc, gdzie zbierała się śmietanka towarzyska Londynu, nie dorównywało popularnością podmokłej, błotnistej alejce w Hyde Parku nazywanej Ladies' Mile lub Rotten Row. Tutaj, gdy tylko pozwalała pogoda, zbierały się setki mężczyzn i kobiet, ubranych z największym na owe czasy przepychem. Dosiadali oni koni, których sierść lśniła w świetle popołudniowego słońca.

Cóż to za scena pełna ruchu i niezwykłej ekspresji: tłum mężczyzn i kobiet na grzbietach wierzchowców. Amazonki z lokajami w liberii, truchtającymi za swymi paniami, czasami zaś w towarzystwie surowych opiekunek, tak że dosiadających koni, bądź eskortowane przez kawalerów. "Bez najmniejszego trudu - pisał sprawozdawca - można odgadnąć profesję dzielnych amazonek, które dają znaki batem i spojrzeniem kilku mężczyznom jednocześnie, a czasami zmieniają pozycję jeździecką, zakładając ręce z tyłu i pochylając się z gracją, aby wysłuchać komplementów idącego obok adoratora".

Bywały tu najsłynniejsze kurtyzany. Szanowane damy, czy im się to podobało czy nie, często współzawodniczyły z tymi szykownymi kobietami z półświatka w zwracaniu na siebie męskiej uwagi. I nie tylko to miejsce było areną takiej rywalizacji. Podobnie działo się w operach oraz teatrach. Niejedna młoda panna stwierdzała, że wzrok jej towarzysza jest utkwiony nie w scenie, ale w loży, skąd wytworna kokota odpowiada na jego spojrzenia z jawnym zainteresowaniem.

Spółeczeństwo epoki wiktoriańskiej twierdziło, że przenikanie prostytutek do szacownego towarzystwa jest skandalem, ale pomimo wszystkich apeli do bojkotu, kobiety te afiszowały się bezceremonialnie jeszcze przez niemal pół wieku. To, że nie mówiono głośno o istniejącej przecież w tamtych czasach prostytutce, świadczyło o swoistej hipokryzji, ale rzecz była znacznie bardziej skomplikowana i miała wiele

wspólnego ze sposobem postrzegania kobiet w Anglii epoki wiktoriańskiej.

Była to era zdecydowanego podkreślania różnic płci, akcentowanych w strojach, zachowaniu i otoczeniu. Nawet meble i pokoje w domu dzielono na męskie i damskie. Jadalnia na przykład była męska, a salon damski. Uważano, że wszystko to ma uzasadnienie biologiczne.

"To oczywiste - pisał Alexander Walker - że mężczyzna, posiadając zdolności umysłowe, siłę mięśni i odwagę pozwalającą je wykorzystać, jest predestynowany do pełnienia roli obrońcy. Kobieta zaś, z niewielkimi zdolnościami umysłowymi, słaba i bojaźliwa, wymaga ochrony. W takiej sytuacji mężczyzna z natury dominuje, a kobieta służy".

Takie opinie - z niewielkimi modyfikacjami - powtarzano na każdym kroku.

Zdolności kobiet były niewielkie, nie umiały przewidywać, rządziły nimi emocje i wskutek tego wymagały ścisłej kontroli przez bardziej racjonalnych i inteligentniejszych mężczyzn.

Rzekomą niższość umysłową kobiet potęgowało wychowanie. Wiele dobrze urodzonych panien wyrastało na wdzięczne się, chichoczące, patologicznie delikatne idiotki. Takie postaci zapełniały strony powieści z owych czasów. Mężczyźni nie mogli się wiele spodziewać po swych żonach. Mandell Creighton twierdził, że "damy nie stanowią właściwie obiektu godnego głębszego zainteresowania. Ma się wrażenie, że nie należą do istot myślących, a jeżeli ktoś próbował je czegoś nauczyć, na koniec i tak musiał się przekonać, iż na próżno. Oczywiście w pewnym wieku, gdy ma się już źródło utrzymania i dom, trzeba zdobyć żonę, mającą stanowić jakby część jego umeblowania, i małżeństwo uznać za wygodną instytucję. Wątpię, czy istnieją w ogóle mężczyźni, którzy swoimi opiniami, spostrzeżeniami czy planami dzieliliby się z żonami, oczekując od nich

zrozumienia i uznania".

Istnieją niezaprzeczalne dowody, że obie płci były już znudzone tym porządkiem.

U kobiet, zamkniętych w ogromnych, pełnych służby domach, nie spełnione nadzieje były często przyczyną histerycznych neuroz. Cierpiały na zaburzenia słuchu, mowy i wzroku, miały ataki duszności, słabości, utraty apetytu, a bywało że pamięci. Podczas takich ataków wykonywały ruchy kopulacyjne lub wiły się w konwulsjach tak, że ich głowy dotykały pięt. Wszystkie te dziwne symptomy oczywiście wzmagają tylko ogólne przeświadczenie o niższości kobiet.

Mężczyźni sfrustrowani atmosferą domu szukali równowagi psychicznej w ramionach kokot zawsze pełnych życia, wesołych i dowcipnych. Posiadały one zalety, których brak było żonom i damom. Innymi słowy, mężczyźni lubili kurtyzany, ponieważ w ich towarzystwie mogli odrzucić uciążliwe konwenanse i odprężyć się w atmosferze "zupełnej swobody", a to było dla nich co najmniej tak samo ważne jak możliwość uprawiania nieskrępowanej miłości. Prawdopodobnie dlatego prostytutka tak rozpleniła się w społeczeństwie, a uprawiające ją kobiety śmiało wdarły się na ekskluzywny Rotten Row.

Poczynając od końca września 1854 roku, Edward Pierce zaczął spotykać się z panną Elizabeth Trent podczas konnych przejażdżek na Rotten Row. Pierwsze spotkanie sprawiało wrażenie przypadkowego, ale późniejsze już na takie nie wyglądały i odbywały się regularnie.

Życie Elizabeth Trent zostało podporządkowane tym popołudniowym spotkaniom.

Spędzała całe ranki przygotowując się do nich, a wieczory - relacjonując ich przebieg.

Przyjaciele mieli jej za złe, że nieustannie mówi o Edwardzie, a ojciec, iż wciąż domaga się nowych sukien. Twierdził, że odnosił wrażenie, iż "wymaga jako rzeczy niezbędnej

nowej toalety, a najlepiej dwóch na każdy dzień."

Ta nieatrakcyjna, choć młoda kobieta najwidoczniej nie była zdziwiona tym, że Pierce upatrzył sobie właśnie ją pośród tłumu oszałamiających piękności na Rotten Row. Oczarowały ją jego zaloty. Na procesie Pierce określił ich rozmowy jako "lekkie i banalne," a szczegółowo zrelacjonował tylko jedną z nich.

Miała ona miejsce w październiku. Był to czas politycznego i wojskowego skandalu. Naród cierpiał upokorzenie: wojna krymska przeradzała się w klęskę. Gdy wybuchła, J. B. Priestley pisał: "wyższe sfery potraktowały wojnę niby zapowiedź wielkiego pikniku w jakimś odległym, egzotycznym miejscu. Niemal tak, jakby Morze Czarne zostało otwarte dla turystów. Zamożni oficerowie, na przykład lord Cardigan, postanowili zabrać ze sobą jachty. Żony niektórych dowódców chciały jechać z nimi, w towarzystwie pokojówek. Wielu cywilów zrezygnowało z wakacji i podążyło za armią, aby przypatrywać się temu widowisku".

Ten "piknik" szybko przerodził się w klęskę. Oddziały brytyjskie były słabo wyćwiczone, źle wyposażone i niewłaściwie dowodzone. Lord Raglan - wódz naczelny - miał sześćdziesiąt pięć lat i był "stary jak na swój wiek". Często sprawiał wrażenie człowieka, któremu się wydaje, że walczy pod Waterloo i na wroga mówił Francuzi, choć ci byli teraz jego sprzymierzeńcami. Pewnego razu tak dokładnie się zagubił, że zajął stanowisko obserwacyjne poza wrogimi liniami Rosjan. Atmosfera "wielkiego chaosu" pogłębiała się w takim tempie, że w połowie lata nawet żony oficerów pisały do domu, iż "nie wygląda na to, aby ktokolwiek miał choćby mgliste pojęcie, co będzie dalej".

W październiku ta niedorzeczna wojna osiągnęła swój punkt kulminacyjny. Stała się nim błędna decyzja lorda Cardigana, dotycząca Lekkiej Brygady. W spektakularnym wyczynie, który kosztował ją trzy czwarte sił, zdobyła niewłaściwą baterię wroga.

Stało się jasne, że piknik dobiegł końca i Anglików ogarnął niepokój. Nazwiska Cardigana, Raglana i Lucana były na ustach wszystkich. Lecz tego ciepłego październikowego popołudnia w Hyde Parku Pierce umiejętnie skierował rozmowę z Elizabeth Trent na sprawy jej ojca.

- Dzisiaj rano był strasznie zdenerwowany - zdradziła.

- Doprawdy? - zdziwił się Pierce, jadąc obok niej.

- Denerwuje się zawsze w dni, kiedy wysyła ładunek złota na Krym. Od chwili gdy wstanie z łóżka, zmienia się w innego człowieka. Niczego nie dostrzega, tak go pochłania to zadanie.

- Nic dziwnego. Przecież na jego barkach spoczywa ogromna odpowiedzialność.

- Tak ogromna, że obawiam się, czy nie zacznie za dużo pić - powiedziała

Elizabeth i uśmiechnęła się.

- Nie przesadza pani?

- Cóż, nie ma wątpliwości, że zachowuje się dziwnie. Wie pan, że na co dzień jest zdecydowanie przeciwny spożywaniu jakiegokolwiek alkoholu przed zapadnięciem zmroku.

- Wiem. Ja także.

- Więc podejrzewam, że nie zawsze przestrzega tej zasady. W dzień wysyłki schodzi sam do piwniczki z winem, bez żadnego sługi, który by towarzyszył lub niósł latarnię gazową. Uparcie chodzi tam sam. Moja macocha wiele razy zwracała uwagę, że może zdarzyć się coś nieprzewidzianego na tych ciemnych, stromych schodach. Ale on nikogo nie słucha. Spędza jakiś czas w piwniczce, wychodzi z niej i jedzie do banku.

- Sądzę, że po prostu kontroluje piwnicę z jakiegoś sobie tylko znanego powodu.

Czy to nielogiczne?

- Nie, ponieważ ż w sprawach zwi ązanych z prowadzeniem domu zawsze polega na mojej macosze. Nie wtrąca się do zaopatrzenia, porządku w piwnicy, wyboru odpowiednich win do obiadu i tym podobnych rzeczy.

- Więc chodzi tu o coś szczególnego, jak sądzę - rzekł poważnie. - Może ta odpowiedzialność przewyższa wytrzymałość jego systemu nerwowego?

- Może - odparła panna z westchnieniem. - Czyż nie ładny dzisiaj dzień?

- Piękny - zgodził się Pierce. - Cudownie piękny, ale nie tak jak pani.

Elizabeth Trent zachichotała radośnie i powiedziała, że śmiały z niego figlarz, je śli schlebia jej tak otwarcie.

- Czy aby nie kryją się pod tym jakie ś nie znane pobudki - zażartowała ze śmiechem.

- Na Boga, ależ nie - zarzekał się i położył na chwilę delikatnie swą dłoń na jej ręce.

- Jestem taka szczęśliwa.

- Ja również czuję się szczęśliwy - przyznał Pierce, i była to prawda, ponieważ teraz znał już miejsce przechowywania wszystkich czterech kluczy.

## CZĘŚĆ II

KLUCZE listopad 1854-luty 1855

ROZDZIAŁ 17



# POSZUKIWANIA DZIEWICY

Henry Fowler siedział w porze lunchu w ciemnym zakątku baru i sprawiał wrażenie mocno czymś poruszonego. Zagryzał wargi, obracał szklaneczkę w rękach i z trudem zmuszał się do spojrzenia w oczy swemu przyjacielowi, Edwardowi Pierce'owi.

- Nie wiem, jak zacząć - rzekł. - Znajduję się w niezwykle kłopotliwej sytuacji.

- Zapewniam cię, że możesz mi w pełni zaufać - powiedział Pierce, podnosząc szklaneczkę do ust.

- Dziękuję ci. Widzisz... - zaczął i zawahał się. Widzisz, to jest... - urwał i pokręcił głową - ... tak kłopotliwe, że bardziej już być nie może.

- Więc mów o tym szczerze jak mężczyzna z mężczyzną - poradził mu Pierce.

Dyrektor generalny wypił drinka i odstawił szklankę na stół z głośnym brzękiem.

- Więc dobrze. Otwarcie mówiąc, mam francuską chorobę.

- Och, mój drogi.

- Obawiam się, że pozwoliłem sobie na zbyt wiele i teraz muszę za to zapłacić -

rzekł smutno Fowler. - To jednocześnie ohydne i dokuczliwe.

W tamtych czasach choroby weneryczne uważane były za konsekwencję zbyt dużej aktywności seksualnej. Brakowało skutecznych leków i lekarzy, którzy chcieliby pomóc pacjentowi. W większości szpitali w ogóle nie zajmowano się rzeżączką i kiłą.

Dobrze sytuowany mężczyzna, który nabawił się jednej z tych chorób, stawał się łatwym celem szantażu i dlatego właśnie Fowler był tak niezdecydowany.

- Jak mogę ci pomóc? - zapytał Pierce, z góry znając odpowiedź.

- Przypuszczałem... nie na darmo... mam nadzieję... że jako kawaler mógłbyś

wiedzieć... hm, że mógłbyś w moim imieniu znaleźć jakąś niedoświadczoną dziewczynę, gdzieś spoza miasta.

- To nie jest już tak łatwe jak niegdyś.

- Wiem o tym, wiem. - Zdenerwowany mówił coraz głośniej, ale po chwili opanował się i kontynuował już spokojniej. - Rozumiem trudności. Ale miałem nadzieję...

Pierce skinął głową.

- Jest pewna kobieta w Haymarket, która często ma niewinną dziewczynę lub dwie.

Mogę to sprawdzić.

- Och, proszę - rzekł dyrektor banku drżącym głosem. Po chwili dodał: - To niezwykle bolesne.

- Mogę tylko zasięgnąć informacji.

- Do końca życia będę twoim dłużnikiem. To strasznie boli.

- Postaram się. Spodziewaj się ode mnie wiadomości, może nawet już jutro. Do tego czasu nie trać otuchy.

- Dziękuję ci, dziękuję - jęknął Fowler i zamówił następnego drinka.

- To może sporo kosztować - ostrzegł Pierce.

- Palicho wydatki. Przysięgam, że zapłacę każdą cenę! - Nagle zastanowił się. -

Jak sądzisz, ile to może być?

- Sto gwinei, jeśli chce się mieć gwarancję czystości.

- Sto gwinei?

Sprawił wrażenie nieszczęśliwego.

- Niestety, i to tylko gdy uda mi się ubić korzystny interes. Są niezwykle poszukiwane, sam wiesz.

- Cóż, niech więc będzie - zgodził się Fowler, wypijając drinka jednym haustem. -

Co ma być, to będzie.

Dwa dni później, za pośrednictwem nowo otwartej poczty jednopensowej, Fowler

otrzymał list wysłany na adres jego biura w Banku Huddleston & Bradford. Najwyżej jakości papeteria i równe litery pisane niewątpliwie kobiecą dłonią rozproszyły nieco jego obawy.

listopada 1854

Sir,

Nasz wspólny znajomy, pan P., prosił, bym zawiadomiła Pana, gdy dowiem się o jakiejś dziewczycy. Miło mi polecić Panu bardzo ładną młodą dziewczynę, która właśnie przyjechała ze wsi, i sądzę, że przypadnie Panu do gustu. Jeżeli przyjmie Pan moją propozycję, może się Pan z nią spotkać za cztery dni na Lichfield Street przy St Martin's Lane o ósmej wieczorem. Będzie tam na pana czekać. Zrobimy też wszystko, aby zapewnić odpowiednie pomieszczenie w pobliżu.

Pozostaję Pańską uniżoną sługą

M. B. South Moulton Street.

Nie było żadnej wzmianki o cenie dziewczyny, ale dyrektor generalny gotów był na każdy wydatek. Jego genitalia nabrzmiały i stały się tak wrażliwe, że zasiadając do pracy za biurkiem, nie mógł skupić uwagi. Ponownie spojrzawszy na list i poczuł się pewniej. Sposób pisania i treść wzbudzały zaufanie. Fowler wiedział, że wiele dziewczyn już dawno nimi nie było, a ich "niewinność" została przywrócona przez niewielki szew w odpowiednim miejscu.

Wiedział także, że stosunek z dziewczyną nie przez wszystkich był uważany za lekarstwo na chorobę weneryczną. Wielu mężczyzn przysięgało, że to pewny sposób, ale inni powątpiewali w jego skuteczność. Często twierdzono, że niepowodzenie wynikało wyłącznie z tego, że dziewczyna nie była autentyczną dziewicą. Fowler popatrzył na kartkę jak na jedyną szansę ratunku. Następnie wysłał do Pierce'a krótki liścik z

podziękowaniami za okazaną pomoc.

## ROZDZIAŁ 18

### NUMER NA POWÓZ

Tego dnia, kiedy Fowler pisał list z podziękowaniami, Pierce przygotowywał włamanie do rezydencji Trenta. W realizację tego planu zaangażowanych było pięć osób:

Pierce, znający nieco rozkład pomieszczeń we wnętrzu domu, Agar, który miał odbić klucz w wosku, kobieta Agara w roli świecy, czyli obserwatorki, oraz Barlow - tycer, który miał umożliwić ucieczkę i ubezpieczał całość.

No i jeszcze tajemnicza panna Miriam. W planowanym włamaniu odgrywała ona znaczącą rolę: miała przeprowadzić tak zwany numer na powóz. Była to jedna z najsprytniejszych metod włamań do zamożnych domów. Opierała się na utartym zwyczaju dawania służącym napiwków.

W ówczesnej Anglii w przybliżeniu dziesięć procent całej ludności to była służba, niemal zawsze źle opłacana. Najmniej zarabiali służący, którzy mieli bezpośredni kontakt z gośćmi, głównie lokaje. Znaczna część ich dochodów pochodziła z napiwków. W efekcie lekceważyli oni niezamożnych gości, wyróżniali zaś majątnych. I ten fakt właśnie wykorzystywali ci, którzy robili numery na powóz.

Dnia 12 listopada roku 1854 o godzinie dziewiętej wieczorem wszyscy biorący udział w akcji znajdowali się na swoich miejscach. Świeca - kobieta Agara - spacerowała po drugiej stronie ulicy. Barlow - tycer - wślizgnął się w alejkę prowadzącą do wejścia dla dostawców i wybiegu dla psów, na tyłach rezydencji. Pierce i Agar skryli się w krzakach tuż obok drzwi frontowych. Kiedy wszystko było gotowe, elegancki zamknięty powóz zajechał przed dom i rozległ się dzwonek.

Lokaj Trentów otworzył drzwi. Ujrzał stojący powóz, a przewidując możliwość

napiwku, nie zamierzał stać przy wejściu, tylko pobiegł w kierunku pojazdu. Gdy mimo oczekiwania nikt się z niego nie wychylił, podszedł do krawężnika, aby się upewnić, czy może w czymś pomóc.

W powozie siedziała piękna, subtelna kobieta, która spytała, czy to rezydencja pana Roberta Jenkinsa. Lokaj odparł, że nie, ale wiedząc, gdzie mieszka pan Jenkins - jego dom znajdował się za rogiem - wskazał drogę.

W tym czasie Pierce i Agar wśliznęli się do domu otwartymi przez lokaja drzwiami. Skierowali się prosto do piwnicy. Była zamknięta, ale kasiarz posłużycywszy się agrafką, czyli wytrychem, otworzył ją niemal natychmiast. Obaj mężczyźni byli już w piwnicy, kiedy lokaj otrzymał szylinga od damy w powozie. Podrzuciwszy monetę, złapał ją w locie, wrócił do domu i zamknął za sobą drzwi. Nie podejrzewał nawet, że został wyprowadzony w pole.

Tak właśnie wyglądał numer na powóz.

W świetle latarni, rzucającej wąski snop światła, Pierce spojrzął na zegarek. Było cztery minuty po dziewiątej. Mieli więc godzinę na znalezienie klucza, zanim Barlow wywoła zamieszanie, które umożliwi im ucieczkę.

Pierce i Agar ostro zniezeszli do piwnicy po skrzypiących schodach. Ujrzeni stojaki na wino zabezpieczone żelazną kratą. Agar szybko sforsował zamki i o dziewiątej jedenaście dostali się do składziku. Natychmiast rozpoczęli poszukiwania.

Nie było sposobu, żeby rzecz przyspieszyć. Praca wymagała staranności i uwagi.

Pierce mógł założyć tylko jedno: skoro do piwniczki schodziła zazwyczaj żona Trenta i skoro prezes banku nie chciał, by przez przypadek natknęła się na klucz, ukrył go zapewne dosyć wysoko. Najpierw przeszukali górę stojaków, przesuwając po niej palcami. Wszystko było zakurzone, więc wkrótce otaczała ich chmura kurzu.

Kasiarz ze swymi chorymi p łucami miał trudności w powstrzymaniu si ę od kaszlu. Kilkakrotnie rozległy si ę tłumione chrząknięcia na tyle g łosne, że zaniepokoiły Pierce'a, ale na g órze ich nie usłyszano.

Wkrótce by ło ju ż wpół do dziesiątej. Pierce wiedzia ł, że czas dzia ł na ich niekorzyść. Szuka ł teraz z wi ększym pośpiechem i sta ł si ę niecierpliwy. Szeptem zrug a ł towarzysza, który kierowa ł snopem światła latarni.

Minęło jeszcze dziesięć minut i Pierce zaczął si ę pocić. Wtedy, nagle jego palce natrafiły na co ś zimnego na krawędzi poprzeczki stojaka. Przedmiot ów spad ł na podłogę z metalicznym brzękiem. Przez chwilę szukali go na klepisku piwnicy; wreszcie mieli klucz. Była za kwadrans dziesiąta.

Pierce podniósł klucz do światła, a Agar jęknął w ciemności.

- Co jest? <\*

- To nie ten.

- Jak to nie ten?

- To nie jest używany klucz. To nie ten. Pierce obrócił klucz w dłoni.

- Jesteś pewny? - wyszeptał, ale sam wiedział, że kasiarz ma rację.

Klucz by ł stary, pokryty kurzem. We wcięciach znajdowa ł si ę brud. Agar jakby odczyta ł jego myśli:

- Nikt nim nie otwiera ł niczego od wielu lat.

Pierce zaklął i wrócił do poszukiwań, a kasiarz przyświeca ł mu, jednocześnie krytycznie przyglądając si ę kluczowi.

- Do diabła, jaki on dziwny - wyszeptał. - Nie widzia łem czego ś podobnego. Taki mały, delikatny, że mo że otwiera ć jaki ś kobiecy drobiazg...

- Zamknij si ę!

Agar zamilkł. Pierce nie przestawała szukać. Czuł, jak serce łomocze mu w piersiach. Nie spoglądał na zegarek; przestał się interesować godziną. Nagle znów wyczuł zimno metalu. Podsunął znalezisko do światła.

Był to błyszczący klucz.

- Ten jest od sejfu - stwierdził kasiarz, gdy go obejrzał.

- Nareszcie - rzekł Pierce z westchnieniem.

Wziął latarnię z rąk Agara; teraz on przyświecał. Kasiarz wyjął z kieszeni dwie woskowe płytki. Przytrzymał je przez chwilę w dłoniach, aby się rozgrzały, a następnie przyłożył do nich klucz kolejno obiema stronami.

- Czas? - wyszeptał.

- Dziewięta pięćdziesiąt jeden.

- Zrobię jeszcze jeden odcisk.

Powtórzył tę samą operację z drugim zestawem płytek. Była to powszechna praktyka wśród najlepszych kasiarzy: płytka mogła zostać uszkodzona. Gdy mieli już oba, Pierce odłożył klucz na miejsce.

- Dziewięta pięćdziesiąt siedem.

- Jezu, niewiele czasu zostało.

Wyszli z piwniczki na wina, zamknęli za sobą kratę i podkradli się po schodach do drzwi. Tam się przyczaili.

Barlow, który ukrywał się w cieniu przy pomieszczeniach dla służby, spojrzął na zegarek i stwierdził, że jest już dziesiąta. Przez chwilę się wahał. Każda minuta spędzona przez współników w domu Trenta zwiędzała niebezpieczeństwo, ale z drugiej strony... mogli jeszcze nie skończyć roboty. Nie chciał ujrzeć ich gniewnych min, gdyby zrobił coś nie tak.

Wreszcie mruknął do siebie:

- Dziesiąta to dziesiąta.

Z torbą w ręku skierował się do psiego wybiegu. Były w nim trzy psy, licząc nowy podarunek od Pierce'a. Barlow sięgnął do torby i wypuścił z niej na wybieg cztery szczury.

Psy natychmiast zaczęły szczekać i warczeć, czyniąc straszny hałas.

Barlow umknął w cień, gdy ujrzał, że w kolejnych pokojach służby pozapalały się światła.

Pierce i Agar, słysząc zamieszanie, opuścili piwnicę, zamknęli ją za sobą i przemknęli przez hol. Z tyłu domu dały się słyszeć odgłosy kroków i pokrzykiwania.

Otworzyli zamek w drzwiach wejściowych, wybiegli na ulicę i zniknęli w ciemnościach.

Pozostawili za sobą tylko jeden ślad - wejście frontowe nie było zamknięte na klucz. Wiedzieli, że rano zauważy to lokaj, wstający jako pierwszy. Przypomni sobie epizod z powozem i uzna, że zapomniał wówczas zamknąć drzwi. Mógłby ewentualnie podejrzewać włamanie, ale gdy minie dzień, a niczego nie będzie brakować, zapomni o tym zdarzeniu.

W każdym razie policji nie zgłoszono żadnej kradzieży w domu Trentów.

Tajemniczy zamęt wśród psów wyjaśniły ciała martwych szczurów, znalezione na wybiegu. Zastanawiano się, jak mogły tam wejść, ale nikt nie miał czasu na roztrząsanie tak nieistotnych wątpliwości.

Tak więc do świtu 13 listopada 1854 roku Edward Pierce miał pierwszy klucz spośród czterech, które mu były potrzebne. Natychmiast całą uwagę skupił na zdobyciu drugiego.



## UMÓWIONE SPOTKANIE

Henry Fowler nie mógł uwierzyć własnym oczom. W bladym świetle ulicznej lampy gazowej stała cudownie młoda, delikatna istota z różowymi policzkami. Nie mogła mieć więcej niż dwanaście lat, a więc ledwie osiągnęła wiek, w którym prawo zezwalało na kontakty seksualne. Jej postawa i pełne nieśmiałości zachowanie świadczyły o całkowitym braku doświadczenia.

Podszedł do niej. Wyraźnie zażenowana, ze spuszczonej oczami, wahając się, poprowadziła go do znajdującego się nieopodal domu publicznego z pokojami do wynajęcia. Fowler przyglądał się budynkowi z pewnym niepokojem. Z zewnątrz nie prezentował się zbyt zachęcająco. Poczł się jednak mile zaskoczony, gdy dziewczynka zastukała i drzwi otworzyła niezwykle piękna kobieta, którą dziecko nazwało "panną Miriam". Stojąc w holu, dyrektor generalny zauważył, iż dom ten nie należy do tych, w których jedynym wyposażeniem pokoi jest łóżko, wynajmowane za pięć szylingów na godzinę, a właściciel chodzi i wali w drzwi, gdy godzina mija. Tutaj meble były pokryte pluszem i bogatymi draperiami, na podłogach leżały najlepsze perskie dywany, słowem wszystko urządzone ze smakiem, a nawet pewnym przepychem. Panna Miriam zachowała się niezwykle godnie, kiedy poprosiła o sto gwinei. Jej maniery były tak wyszukane, że Fowler zapłacił bez słowa, po czym został skierowany wraz z dziewczynką, której na imię było Sarah, do pokoju na piętrze.

Sarah wyjaśniła mu, że niedawno przyjechała z Derbyshire, że jej rodzice umarli, starsi bracia walczą na Krymie, a młodszy są w sierocińcu. Opowiadała o tym wszystkim niemal wesoło, gdy wchodzili po schodach. Fowler wyczuł jednak w jej głosie pewne zdenerwowanie. Bez wątplenia biedne dziecko miało przeżywać pierwszy kontakt seksualny. Doszedł do wniosku, że powinien być bardzo delikatny.

Pokój, do którego weszli, był wyposażony równie wspaniale jak salon na dole.

Dominowała w nim czerwień, a w powietrzu unosił się lekki zapach jaśminu. Rozejrzał się wkoło, bo ostrożności nigdy za wiele. Zamknął drzwi i odwrócił się do dziewczynki.

- Więc...

- Słucham?

- Więc... Mamy, hm...

- Och, ależ oczywiście, sir - powiedziała i zaczęła go rozbierać.

Uznał, że to nadzwyczajne: stoi oto na środku tego eleganckiego, niemal dekadenceckiego pokoju, a dziecko, które sięga mu zaledwie do pasa, rozpina swymi paluszkami guziki i go rozbiera. Wszystko było tak niezwykle, iż poddał się biernie i wkrótce był nagi, choć Sarah nadal pozostawała w ubraniu.

- Co to? - zapytała, dotykając klucza na jego szyi, wiszącego na srebrnym łańcuszku.

- To po prostu... klucz - wyjaśnił.

- Lepiej niech go pan zdejmie. Może mi zrobić krzywdę. Posłuchał jej. Zdmuchnął latarnię gazową i zajął się strojem dziewczynki. Następna godzina lub dwie były dla Henry'ego Fowlera niemal bajką. Doświadczenia okazały się tak niezwykle, tak zdumiewające, że prawie zapomniał o swych bolesnych dolegliwościach. Nic więc dziwnego, że nie zauważył, jak czyjaś ręka wyłoniła się ukradkiem zza czerwonej, ciężkiej, aksamitnej draperii i zabrała klucz leżący na jego ubraniach, ani że po pewnym czasie klucz wrócił na swoje miejsce.

- Och, sir! - krzyczała dziewczynka. - Och, sir!

A Henry Fowler był pełen wigoru i podniecenia bardziej niż kiedykolwiek w swym czterdziestosiedmioletnim życiu.



# ROBOTA NIE DO UGRYZIENIA

Łatwość, z jaką Pierce i jego wspólnicy zdobyli dwa pierwsze klucze, dała im pewność siebie, która wkrótce została wystawiona na powa żną próbę. Niemal natychmiast po skopiowaniu klucza Fowlera pojawiły się kłopoty, i to z powodu niespodziewanych okoliczności: South Eastern Railway zmieniła porządek panujący w biurze na dworcu London Bridge.

Gang zatrudnił pannę Miriam, aby obserwowała dworzec. Pod koniec grudnia 1854 roku przyniosła złe wieści na spotkanie w domu Pierce'a: spółka kolejowa zatrudniła strażnika, który pilnuje biura przez całą noc.

Ponieważ planowali dokonać włamania właśnie w nocy, była to rzeczywiście niepomyślna wiadomość. Ale, zdaniem Agara, Pierce łatwo pogodzi ł się z nową przeszkodą.

- Powiedz coś więcej o strażniku - poprosił.

- Przychodzi na służbę, gdy zamykają dworzec, punktualnie o siódmej wieczorem - rzekła panna Miriam.

- Co to za facet?

- To prawdziwy krypo - wyja śniła, mając na myśli, że to policjant. - Ma około czterdziestki, dobrze zbudowany, nawet gruby. Ale założę się, że nie śpi na służbie i nie pociąga z butelki.

- Jest uzbrojony?

- Tak.

- Gdzie zazwyczaj przebywa? - zapytał Agar.

- Tuż przy drzwiach. Siada na ostatnim stopniu i wcale się stamtąd nie rusza.

Przynosi ze sobą niewielką papierową torbę, zapewne z kolacją.

Panna Miriam nie była jednak tego pewna, ponieważ ż nie odwa żyła się pozostać na dworcu zbyt długo, by nie wzbudzić podejrzeń.

- Cholera - powiedział z rozgoryczeniem kasiarz. Siedzi tu ż przy drzwiach? Ta robota jest nie do ugryzienia.

- Zastanawiam się, dlaczego postawili na noc strażnika - rzekł Pierce.

- Pewnie coś zaczęli podejrzewać - stwierdził Agar, któremu przyszło do głowy, że skoro obserwowali biuro z przerwami od miesięcy, mogło to zwrócić czyjąś uwagę.

Pierce westchnął.

- Robota odpada - stwierdził Agar.

- Nigdy nie odpada - odrzekł gospodarz.

- Na pewno jest nie do ugryzienia.

- Nie. Stała się tylko nieco trudniejsza.

- Kiedy więc planujecie akcję?

- W porze obiadowej.

- W biały dzień? - zapytał zdumiony kasiarz.

- A czemuż by nie?

Następnego dnia obaj obserwowali, co się dzieje w biurze wczesnym

popołudniem. O godzinie pierwszej dworzec London Bridge był zatłoczony

przyjeżdżającymi i odjeżdżającymi pasażerami. Bagażowi dźwigali walizy za eleganckimi

podróżnymi, spieszącymi do dorożek, sprzedawcy zachwalali napoje i przekąski, a w tym

tłumie krążyło trzech lub czterech policjantów, którzy pilnowali porządku i szukali

kieszonkowców, ponieważ stacje kolejowe stały się ich nowym ulubionym miejscem

pracy. Doliniarz dopadał ofiarę, gdy wsiadała do pociągu, a ta odkrywała kradzież, kiedy

znajdowała się już daleko od Londynu.

Obecność kieszonkowców na dworcach kolejowych stała się tak powszechna, że gdy William Frith namalował w 1862 roku jeden z najślawniejszych obrazów tamtych czasów zatytułowany "Dworzec kolejowy", znalazła się tam także scena przedstawiająca dwóch detektywów chwytających złodzieja.

Na dworcu London Bridge służbę pełniło kilkunastu funkcjonariuszy Metropolitan Police, a poza tym zatrudniano także prywatnych strażników.

- Pełno tu glin - stwierdził nieszczęśliwym tonem Agar, rozglądając się po peronach.

- To nieważne.

O pierwszej urzędnicy zeszli po żelaznych schodach i udali się na lunch, żartując.

Nadzorca ruchu, srogi mężczyzna z bokobrodami - pozostał w środku. Urzędnicy powrócili o drugiej i pracowali dalej.

Następnego dnia nadzorca wyszedł na lunch, ale dwóch urzędników pozostało, widać rezygnując z posiłku.

Trzeciego dnia znali już schemat - pracownicy mieli godzinną przerwę na lunch o trzynastej, ale biuro nigdy nie zostawało puste. Wniosek był prosty.

- Robota w dzień odpada - stwierdził Agar.

- Może w niedzielę - pomyślał na głos Pierce.

W tamtych czasach, a właściwie aż do dzisiaj, brytyjskie koleje zdecydowanie ograniczały ruch w niedziele. Uważano za niepotrzebne i niestosowne, aby jakakolwiek firma robiła interesy tego dnia, a koleje szczególnie kultywowały różnego rodzaju tradycje. Na przykład palenie w pociągu było zabronione jeszcze długo po tym, jak stało się szeroko rozpowszechnionym zwyczajem. Dżentelmen, który chciał zapalić cygaro, musiał dać napiwek, a to także było zakazane. Taki stan rzeczy trwał, pomimo

zdecydowanego nacisku opinii publicznej, a ż do roku 1868, kiedy to parlament przeforsował wreszcie prawo zmuszające koleje do zezwolenia pasażerom na palenie tytoniu.

Oprócz tego, choć wszyscy przyznawali, iż nawet najbardziej religijny człowiek czasami potrzebuje pojechać gdzieś w niedzielę, a popularne były także świąteczne wycieczki za miasto, koleje uporczywie walczyły i z tą modą. W roku 1854 w niedzielę kursowały tylko cztery pociągi South Eastern Railway, a druga linia korzystająca również z dworca London Bridge - London & Greenwich Railway wysyłała jedynie sześć pociągów, czyli o połowę mniej niż w dni powszednie. Pierce i Agar sprawdzili dworzec w następną niedzielę i stwierdzili, że przed biurem nadzoru ruchu wystawiono dwóch strażników. Jeden ulokował się przy drzwiach, a drugi przy schodach.

- Dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?

Podczas późniejszych zeznań wyszło na jaw, że jesienią 4 roku linia South Eastern zmieniła właściciela. Nowym został Willard Perkins, dżentelmen-filantrop. Zatrudniał większą liczbę ludzi z niższych klas "w celu zapewnienia uczciwej pracy tym, którzy, gdyby jej nie mieli, mogliby dopuścić się samowoli lub zejść na złą drogę. Dodatkowy personel zatrudniono tylko z tego powodu. Kolej nigdy nie podejrzewała, co się szykuje, a Perkins był naprawdę zszokowany, kiedy w końcu obrabowano pociąg jego linii.

Prawdą jest także, że w tym czasie South Eastern Railway budowała nowe linie wiodące do centrum Londynu, co pociągało za sobą eksmisje i zburzenie domów wielu rodzin. Filantropijne działania miały poprawić stosunek części londyńczyków do właścicieli linii.

- W niedzielę robota odpada - skonstatował Agar, spoglądając na dwóch

strażników. - Może w Boże Narodzenie?

Pierce pokręcił głową. Możliwe, że w święta ochrona nie była tak dobrze zorganizowana, ale nie mogli na to liczyć.

- Trzeba dokładnie prześledzić tok ich zajęć.

- W dzień nic się nie da zrobić.

- Tak - przyznał Pierce - ale nie znamy pełnego nocnego rozkładu zajęć strażników. Nigdy nie obserwowaliśmy ich przez całą dobę.

W nocy dworzec był opustoszały, a włóczęgów wyrzucali patrolujący ten teren policjanci.

- Przepędzą świecę - rzekł Agar. - I pewnie na dodatek przetrzepią mu skórę.

- Myślałem o kimś ukrytym.

- Clean Willy?

- Nie. Clean Willy ma za długi język i może nawalić. To idiota.

- To prawda - przyznał kasiarz.

Clean Willy, który nie żył już podczas procesu, według zeznań kilku świadków miał "niewielkie zdolności logicznego myślenia". Sam Pierce stwierdził: "czuliśmy, że nie możemy mu ufać i powierzyć mu zwiadu. Gdyby został aresztowany, sygnaliłby nas, zdradziłby nasze plany i nawet nie zrozumiałby tego, co zrobił".

- Kogo więc weźmiemy? - zapytał kasiarz, rozglądając się po stacji.

- Myślałem o jakimś glukarzu - rzekł Pierce.

- O glukarzu?

- Tak. Sądzę, że ktoś taki załatwi sprawę jak należy. Znasz kogoś, kto by się do tego nadawał?

- Mogę znaleźć. A gdzie się ukryje?



- Wsadzimy go do klatki - wyjaśnił Pierce. Dżentelmen zamówił odpowiednią skrzynię do przewozu towarów i polecił dostarczyć ją do swego domu. Agar zwerbował samodzielnie "bardzo pewnego glukarza", czyli bezdomnego, który sypiał w ustępach, a następnie zostały poczynione przygotowania do wysłania klatki na dworzec kolejowy. Glukarz o nazwisku Henson nigdy nie został znaleziony, ponieważ niewiele wysiłku w to włożono. Odegrał zbyt małą rolę w całej akcji i nie warto było się nim zajmować.

W połowie dziewiętnastego wieku ludność Londynu w ciągu dziesięciu lat zwiększyła się o dwadzieścia procent. Każdego dnia przybywało ponad tysiąc mieszkańców i choć budowano wiele, a slumsy były coraz bardziej przeludnione pomimo budownictwa, nie każdego było stać na opłacenie dachu nad głową. Tacy ludzie spali w miejscach, skąd nie przepędzali ich policjanci. Dużym powodzeniem cieszyły się "hotele pod łukami", czyli miejsca pod wiaduktami kolejowymi, ale nie gardzono również ruinami domów, wejściami do sklepów, kotłowniami, dworcami omnibusów, pustymi kramami, spano pod płotami i wszędzie, gdzie można się było schronić przed zimnem i deszczem. Niektórzy szukali schronienia innego rodzaju: stodół lub ustępów. W tamtych czasach nawet w eleganckich domach często brakowało instalacji i urządzeń sanitarnych. Członkowie wszystkich klas społecznych korzystali więc z wygódek na zewnątrz. Włóczędzy wciskali się do nich i przesypiali tam noc.

Podczas przesłuchań Agar z dumą mówił o tym, jak znalazł godnego zaufania człowieka sypiącego w ustępach. Glukarze byli nieco bardziej przedsiębiorczy od bezdomnych obdartusów i włóczęgów, chociaż także znajdowali się na samym dole drabiny społecznej. Często pili, gdyż alkohol pomagał znieść przykre zapachy wypełniające ich "sypialnie".

Pierce postanowił zatrudnić glukarza, ponieważ tylko ktoś taki był w stanie wytrzymać w niewygodnej pozycji przez wiele godzin. Henson podobno uznał skrzynię, w której go zamknięto, za "bardzo przestronną".

Umieszczono ją w odpowiednim miejscu na dworcu London Bridge. Przez szpary między deskami Henson obserwował nocnego strażnika. Po pierwszej nocy skrzynkę zabrano, przemalowano i ustawiono ponownie na dworcu. Powtarzano ten proceder przez trzy kolejne noce. Później Hanson zrelacjonował swe spostrzeżenia. Nie były one zachęcające.

- Fest facet - poinformował Pierce'a. - Akuratny jak ten sikor. - Uniósł stoper, który mu dano, aby dokonywał pomiarów. - Przychodzi o siódmej z papierową torbą z żarciem. Siada na stopniach i przez cały czas filuje, nigdy nie kima i macha ręką glinie, który obchodzi teren.

- Co ile się zjawia?

- Pierwszy gliniarz pracuje do północy i robi rundki w jedenaście minut, czasami w dwanaście, a raz czy dwa w trzynaście, ale właściwie w jedenaście. Drugi jest od północy do świtu. Nie ma stałej trasy, tylko snuje się tu i tam. Zagląda w każdy kąt i filuje na wszystkie strony.

- A co z tym strażnikiem przy drzwiach biura? zapytał Pierce.

- Blindziarz jest fest, jak mówiłem, naprawdę fest. Przychodzi o siódmej, gada z pierwszym gliną, z drugim nie gada, tylko kikuje na niego. Ale pierwszego lubi. Uderzy z nim od czasu do czasu w gadkę, ale tamten nigdy nie zatrzymuje się na dłużej.

- Czy kiedykolwiek opuszcza swoje miejsce? - zapytał Pierce.

- Nie. Siedzi tam cały czas, a kiedy dzwonią co godzinę w Saint Falsworth, zadziera głowę i słucha. O jedenastej otwiera torbę i zaczyna wyzerkę, dokładnie o

równej godzinie. Szamie może przez dziesięć, piętnaście minut, popija bejrą z butelki i wtedy przechodzi glina. Blindziarz siada wygodnie i czeka, aż gliniarz przyjdzie jeszcze raz. Jest wpół do dwunastej albo coś koło tego. Wtedy glina przechodzi, a on idzie do kibla.

- A więc opuszcza posterunek?

- Tylko wtedy.

- Jak długo go nie ma?

- Skapowałem, że może pan chcieć wiedzieć - rzekł Henson - więc zmierzyłem to jak trzeba. Nie było go sześćdziesiąt cztery sekundy pierwszej nocy, sześćdziesiąt osiem drugiej i sześćdziesiąt cztery trzeciej. Zawsze o tej samej porze, koło jedenastej trzydzieści. I jest już na swoim miejscu, gdy glina robi ostatnią rundkę, za kwadrans północ, a później przychodzi jego zmiennik.

- I tak co noc?

- Co noc. To przez bejrę. To przez nią człowieka tak pędzi.

- Tak, piwo tak działa - przyznał Pierce. - Poza tym nie opuszcza swojego posterunku?

- Nie widziałem, żeby to robił.

- A nie spałeś?

- Co? Kiedy śpię przez cały dzień w pańskim łóżku, pan się pyta, czy przekimałem noc?

- Musisz powiedzieć mi prawdę - rzekł Pierce, ale w jego głosie nie było natarczywości.

Agar zeznał później: "Pierce zadaje mu te pytania, rozumiecie, ale go to nie obchodzi. Zagrywa jak doliniarz albo bombiarz. Olewa, bo nie chce, żeby ten glukarz załapał, co jest grane. Gdyby skapował, mielibyśmy kupę kłopotów. Mógłby podkablować

i ściągnąć nam na kark gliny, nawet za niezłą kasę, ale gdyby miał kiepele, nie byłby glukarzem, no nie?"

Zeznanie to było przyczyną niezłego zamieszania wśród sędziów. Gdy Jego

Lordowska Mość zażądał wyjaśnienia, Agar rzekł ze zdziwieniem, że wytłumaczył to najlepiej, jak umia ł. Trzeba było kilkunastu minut pyta ń dodatkowych, by sędziowie zrozumieli, że Pierce w celu wprowadzenia w b łąd udawał, iż potrzebuje informacji przydatnych dla kieszonkowca lub kryminalisty trudniącego się prymitywnym rozbojem.

Nie chciał, aby glukarz si ę zorientował, że jest zamieszany w realizacj ę większego planu.

Kasiarz powiedział także, że Henson mógł domyślić się, o co chodzi, i zadenuncjowa ć ich policji, ale był na to za głupi. Oto tylko jeden z wielu wypadków, gdy n iezrozumiały slang wstrzymał procedurę sądową.

- Przysięgam, panie Pierce - zarzekał się włóczęga. Przysięgam, że nawet nie zmrużyłem oka.

- I ten strażnik nigdzie nie odchodzi w nocy z wyjątkiem tego jednego razu?

- Tak, zawsze jest tak samo. To facet akuraty jak ten sikor. - Ponownie wskazał na stoper.

Pierce podziękował glukarzowi, zapłacił pół korony za fatygę, pozwoli ł mu trochę poskamleć i dorzucił drugie tyle, po czym odprawił go. Kiedy drzwi się zamknęły za włóczęgą, dżentelmen polecił Barlowowi nastraszyć Hensona. Dorożkarz skinął głową i wyszedł z domu tylnym wyjściem.

Pierce wrócił do kasiarza:

- No i co? Czy to robota nie do ugryzienia? - zapytał.

- Sześćdziesiąt cztery sekundy - zadumał się Agar, kręcąc głową. - A gdzie ta twoja robota prosta jak drut.

- Nigdy nie mówiłem, że taka będzie. Ale ty wciąż powtarzasz mi, że jesteś najlepszym kasiarzem w kraju, a więc przed tobą zadanie odpowiednie do twoich zdolności. Nadal uważasz, że nie da się ugryźć?

- Zobaczymy. Muszę wszystko przećwiczyć i przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie.

Możemy się tym zająć?

- Oczywiście - odparł Pierce.

## ROZDZIAŁ 21

### ZUCHWAŁY CZYN

"W ostatnich tygodniach - donosiły «Illustrated London News» 21 grudnia 1854 roku - nasilenie śmiałych i brutalnych rozbojów ulicznych, szczególnie wieczorami, osiągnęło alarmujący poziom. Wygląda na to, że nadzieja pokładana przez pana Wilsona w gazowych latarniach ulicznych, mających zapobiegać aktom przemocy, nie znajduje uzasadnienia, gdyż przestępcy coraz śmielej atakują niczego nie spodziewających się ludzi. Zaledwie wczoraj posterunkowy Peter Farrell został zwabiony w zaułek, gdzie rzuciła się na niego banda pospolitych rzezimieszków, pobiła go i obrabowała, nawet z munduru. Nie wolno nam także zapominać, że dwa tygodnie wcześniej pan Parkington, członek parlamentu, został również napadnięty w dobrze oświetlonym miejscu, w drodze z parlamentu do klubu. Władze muszą w najbliższym czasie zwrócić baczną uwagę na tę epidemię rozbojów".

W dalszej części artykułu opisano stan Farrella, który "miał się nie lepiej, niż można się było tego spodziewać". Policjant opowiedział, że został wezwany przez dobrze ubraną damę, która kłóciła się z dorożkarzem - Jakims łotrem z białą szramą biegnącą przez czoło". Gdy posterunkowy próbował interweniować, dorożkarz rzucił się na niego, klnąc i bijąc go żelaznym drągiem czy podobnym narzędziem. Nieszczęsny policjant,

odzyskawszy przytomność, stwierdził, że zabrano mu ubranie.

W roku 1854 wielu mieszkańców miast było zaniepokojonych tym, co nazywano wzrostem przestępczości ulicznej. Późniejsze okresowe "epidemie" przemocy na ulicach w latach 1854 i 1863 wywołały wprost panikę i doprowadziły do uchwalenia przez parlament odpowiedniej ustawy. Przewidywała ona niezwykle ostre kary dla przestępców, włącznie z chłostą wymierzaną na raty, aby więzień pomiędzy jedną a drugą - i późniejszym powieszeniem miał czas na odzyskanie sił. I rzeczywiście, w roku 1863 w Anglii było więcej egzekucji niż w innych latach po roku 1838.

Brutalne napady uliczne były najprymitywniejszą formą przestępstwa, pogardzał nią nawet świat przestępczy, brzydzący się aktami tego rodzaju przemocy. Na ogół odbywało się to tak: bandyta nawiązywał kontakt z ofiarą, szczególnie pijaną, zwabiał ją w jakiś zaułek, najlepiej przez współnika kobietę, tu następowała zbiorowa napaść, pobicie pałką, a po ograbieniu porzucenie w rynsztoku.

Relacja dotycząca Farrella pełna była ponurych szczegółów, nikt jednak nie zwrócił uwagi na jej absurdalność. Właściwie nie miała ona sensu. Wówczas, tak samo jak obecnie, kryminaliści starali się unikać bezpośredniej konfrontacji z policją. "Dołożenie glinie" równało się prośbie o skrupulatne polowanie na sprawców. Policja nie dawała spokoju zadzierającym z jej funkcjonariuszami, dopóki nie doprowadziła do ich aresztowania i przykładowego ukarania.

Nie było także żadnego logicznego powodu, by atakować policjanta. Potrafił przecież bronić się lepiej niż ktokolwiek inny, nie nosił w kieszeni dużych pieniędzy, a często wcale nie miał ich przy sobie.

I wreszcie, jaki sens miało pozbawianie go odzieży? W tamtych czasach ten proceder był dość powszechny, ale zwykle trudniły się nim stare kobiety, które czaiły się

na dzieci, rozbierały je i sprzedawały ubrania w sklepach ze starzyzną. Z policyjnym mundurem nie można było tego zrobić. Takie sklepy znajdowały się pod obserwacją i często oskarżano ich właścicieli o skupowanie kradzionych przedmiotów. Żaden paser nie przyjąłby uniformu policjanta. Był to prawdopodobnie jedyny rodzaj ubrania, który nie miał w Londynie żadnej wartości.

Tak więc atak na Farrella wydawał się nie tylko niebezpieczny, ale także bezsensowny. Żaden jednak dziennikarz nie próbował nawet dociekać, dlaczego w ogóle się zdarzył.

## ROZDZIAŁ 22

### HOŁOCIARZ

W końcu grudnia 1854 roku Pierce spotkał się w pubie King's Arms na Regent Street z Andrew Taggertem, mężczyzną dobiegającym sześćdziesiątki, który był postacią dobrze znaną w okolicy. Jego długą karierę warto przypomnieć, ponieważ jest to jedna z nielicznych osób związanych z Wielkim Skokiem na Pociąg, której przeszłość jest znana. Urodził się około roku 1790 pod Liverpoolem i na przełomie wieków przyjechał do Londynu z niezamężną matką, która parała się prostytutką. W wieku dziesięciu lat zaczął się zajmować handlem zwłokami polegającym na odgrzebywaniu niedawno pochowanych nieboszczyków i sprzedawaniu ich szkołom medycznym. Wkrótce zdobył reputację szczególnie odważnego. Mówiono, że kiedyś w biały dzień przetransportował trupa przez cały Londyn, wioząc go na wozie jako zwykłego pasażera.

Ustawa wydana w 1838 roku zlikwidowała ten proceder i Andrew Taggert przerzucił się na "robotę na fryko", czyli płaćenie fałszywymi pieniędzmi. Polegała ona na tym, iż oszust wręczał sprzedawcy autentyczną monetę wyższej wartości niż cena zakupu, zaglądał do sakiewki, stwierdzał, że ma potrzebną właśnie sumę, więc odbierał pieniądze

z rąk sprzedawcy. Po chwili mówił: "Nie, nie mam" i wręczał fałszywą monetę zamiast prawdziwej. Było to banalne zajęcie, toteż wkrótce znudzi ło Taggerta. Zajął się poważniejszymi robotami i do połowy lat czterdziestych stał się mistrzem w złodziejskim fachu. Dobrze mu się wiodło. Zajął porządne mieszkanie w Camden Town, choć nie była to szczególnie polecana dzielnica. Piętnaście lat wcześniej mieszkał tam Charles Dickens, kiedy jego ojciec siedział w więzieniu. Taggert wziął sobie za żonę niejaką Mary Maxwell, wdowę - i oto ten mistrz pośród przestępców dał się jej wykiwać. Mary Maxwell była oszustką, specjalizującą się w srebrnych monetach. Miała już okazję siedzieć w więzieniu i znała się nieźle na prawie, o czym nie wiedział jej mąż. Nie wyszła bowiem za niego bez ukrytych zamiarów.

Dotychczasową niekorzystną pozycję kobiet usiłowano już wprawdzie zmieniać, ale nadal nie miały one prawa głosu ani posiadania czegokolwiek, a zarobki mężatki stanowiły własność męża. Chociaż kobiety traktowane były przez prawo niemal jak niewolnice, a mężczyźni byli wyraźnie faworyzowani, istniały tu pewne kruczki, o czym wkrótce przekonał się Taggert.

W roku 1847 policja złapała Mary Maxwell-Taggert na gorącym uczynku. Przyjęła to ze spokojem, oznajmiła, że jest zamężna i podała policji informacje o małżonku. W tym momencie zadziałały owe anachroniczne przepisy. Według prawa to mąż był odpowiedzialny za działalność przestępczą żony. Przyjmowano jako oczywiste, że małżonka jest tylko nieświadomym wykonawcą jego poleceń.

W lipcu roku 1847 Andrew Taggert został aresztowany, oskarżony o fałszerstwo pieniędzy i skazany na osiem lat więzienia w Bridewell. Mary Maxwell zwolniono, nawet bez reprimendy. Mówiono, że przed sądem podczas procesu męża zachowywała się w sposób "wyzywający i wprost awanturniczy".



Taggert odsiedział trzy lata, po czym został zwolniony. Utracił jednak dawne umiejętności, co często zdarzało się po pobycie w więzieniu. Brakło mu już energii i pewności siebie włamywacza, zajął się więc hołociarstwem, czyli kradzieżą koni. W roku 1854 znano go już w sportowych pubach odwiedzanych przez koniarzy. Mówiono, że rok wcześniej był zamieszany w skandal w Derby, kiedy to czterolatek wystartował jako trzylatek. Nikt mu tego nie udowodnił, ale podejrzewano, że zorganizował kradzież jednego z najslawniejszych wierzchowców ostatnich lat, Srebrnego Gwizdka - trzylatka z Derbyshire.

W King's Arms otrzymał od Pierce'a tak dziwną propozycję, że aż się zakrztusił ginem, który właśnie pił.

- Co chce pan zwinąć?

- Lamparta.

- A gdzie tak uczciwy człowiek jak ja ma znaleźć lamparta? - zdziwił się hołociarz.

- Nie wiem.

- Nigdy w życiu nie słyszałem o żadnych lampartach, chyba tylko o dziko żyjących bestiach.

- To już pańska sprawa - odrzekł spokojnie Pierce.

- Czy ma zostać przechrzczony?

To stanowiłoby szczególnie trudny problem. Taggert był chrzcicielem, czyli człowiekiem, który maskował kradziony towar. Potrafił tak zmienić znak konia, że nie rozpoznałby go nawet właściciel. Ale przechrzczenie lamparta mogło okazać się niewykonalne.

- Nie - stwierdził Pierce. - Wezmę go takiego, jaki jest.

- Nie trzeba nikogo oszukać?

- Nie.

- Więc po co on panu?

Pierce obdarzył koniokrada zimnym spojrzeniem i nie odpowiedział.

- Proszę wybaczyć, że pytam. Nie co dzieje się człowiekowi proponując buchnięcie lamparta, więc pytam po co, jeśli można wiedzieć.

- To prezent dla damy.

- Aha, dla damy.

- Na kontynencie.

- Rozumiem.

- W Paryżu.

- Aha.

Taggert zmierzył go wzrokiem. Pierce był wytwornie ubrany.

- Może go pan sobie kupić. Zapłaciłby pan tyle samo co mnie.

- Przedstawiłem panu ofertę handlową.

- Owszem, ale nie wspomniał pan o zapłacie. Powiedział pan tylko, że chce lamparta.

- Zapłacę panu dwadzieścia gwinei.

- Nie, zapłaci mi pan czterdzieści i może się pan uważać za szczęściarza.

- Zapłacę panu dwadzieścia pięć i to pan będzie mógł się uważać za szczęściarza.

Taggert wyglądał na niezadowolonego. Obracał w rękach szklaneczkę z ginem.

- A więc w porządku - stwierdził. - Kiedy to ma być?

- Nie pańska sprawa. Znajdź pan zwierzę i przygotuj robotę, a ja wkrótce się odezwę.

To mówiąc, rzucił na blat złotą gwineę.

Taggert podniósł ją, ugryzł, kiwnął głową i dotknął czapki.

- Do widzenia, sir.

ROZDZIAŁ 23

# KABARECIK

Strach lub obojętność dwudziestowiecznego mieszczucha, który bezpośrednio zetknął się z przestępstwem, zdziwiłyby ludzi epoki wiktoriańskiej. W tamtych czasach każda ofiara kradzieży lub napaści natychmiast wszczyniała pogon. Oczekiwała pomocy i otrzymywała ją od mieszkańców, którzy prawa przestrzegali. Dołączali oni natychmiast do pogoni za łotrem. Nawet dobrze wychowane damy, gdy była po temu okazja, z ochotą uczestniczyły w awanturze.

Kilka powodów tłumaczy ów ten zapał ludzi do pomagania w zwalczaniu przestępczości. Przede wszystkim policja była instytucją stosunkowo młodą. Londyńska Metropolitan Police, najlepsza w Anglii, działała od zaledwie dwudziestu pięciu lat. Poza tym ludzie nie wierzyli, że przestępstwo jest "czymś, czemu zaradzić może wyłącznie policja". Dalej: broń palna była, i pozostała po dziś dzień, rzadkością w Anglii. Istniało więc niewielkie prawdopodobieństwo, że goniący zostaną zaatakowani przez uzbrojonego bandytę. Wreszcie - znaczną część złodziejasków stanowili nieletni, często były to wręcz dzieci, toteż dorośli pędzili za nimi bez wahania.

Adept złodziejskiego fachu musiał zwracać baczną uwagę, aby go nie przyłapano na gorącym uczynku, bo jeśli alarm został podniesiony, mógł się znaleźć w niezłych tarapatach. Właśnie z tego powodu złodzieje często działali w grupach, kilku zwykle pełniło funkcję blokierów, których celem było wywołać sztuczne zamieszanie w tłumie w razie alarmu. Kryminaliści w tamtych czasach wykorzystywali także tę sztuczkę, żeby stworzyć warunki sprzyjające kradzieży, a manewr taki nosił nazwę kabareciku.

Dobry kabarecik wymagał starannych przygotowań i dokładnego odegrania ról, ponieważ, jak wskazywała sama nazwa, miał on w sobie coś z teatru. Rankiem 9 stycznia roku 5 Pierce rozejrzał się po obszernym, hałaśliwym wnętrzu dworca London

Bridge i stwierdził, że wszyscy jego aktorzy znajdują się już na swoich miejscach.

Najważniejszą rolę miał odgrywać sam Pierce, ubrany w strój podróżny, podobnie jak panna Miriam u jego boku. Ona miała być "klientką".

Kilka metrów dalej stał karakan - dziewięcioletni obdartus, wyraźnie nie na miejscu w tłumie pasażerów pierwszej klasy (gdyby ktokolwiek zwrócił na to uwagę).

Pierce sam wybrał chłopca spośród gromadki dzieci z Holy Land. Kryteriami była szybkość i niezbyt duża inteligencja.

Jeszcze dalej spacerował "glina" - Barlow w mundurze policjanta, z czapką zsunietą na czoło, by skryć pod nią szramę. Miał ułatwić karakanowi ucieczkę w dalszej części kabareciku.

Wreszcie nieopodal schodów prowadzących do biura kolejowego tkwił ostatni z aktorów, Agar, też w stroju dżentelmena.

Kiedy o jedenastej nadszedł czas odjazdu pociągu linii London & Greenwich, Pierce podrapał się lewą ręką w szyję. Dzieciak ruszył natychmiast i przemknął obok panny Miriam, ocierając się o jej purpurową aksamitną suknię.

- Zostałam okradziona, John! - zawołała. Pierce podniósł alarm.

- Łapać złodzieja! - zawołał i pognał za uciekającym chłopcem. - Łapać złodzieja!

Zaskoczeni świadkowie zdarzenia natychmiast rzucili się w pogoń, ale mały złodziejek był szybki i zwinny. Wypadł z tłumu i pobiegł na tyły hali.

Tam wkroczył do akcji groźnie wyglądający w mundurze Barlow. Agar także wykazał obywatelską postawę, przyłączając się do pościgu. Karakan został osaczony.

Jedyną drogą, jaka mu jeszcze pozostała, były schody wiodące do biura nadzorcy ruchu i właśnie w tę stronę się skierował. Barlow, Agar i Pierce deptali mu po piętach.

Instrukcje przekazane chłopcu mówiły jasno - ma wbiec po schodach do biura,

minąć biurka urzędników i dostać się do tylnego okna, wychodzącego na dach dworca.

Jego zadaniem jest wybić w nim szyby podczas próby ucieczki. Wtedy Barlow go aresztuje. Karakanowi kazano jednak dzielnie walczyć, dopóki fałszywy policjant nie uderzy go w twarz. To miał być sygnał do zakończenia kabareciku.

Dzieciak wpadł do biura South Eastern Railway i przeraził urzędników. Pierce pędził tuż za nim.

- Zatrzymajcie go! To złodziej! - zawołał i z rozpędu wpadł na jednego z pracowników.

Chłopak tymczasem gramolił się do okna. Wtedy do akcji wkroczył Barlow.

- Ja się tym zajmę - oświadczył twardym, władczym tonem, ale jednocześnie niezręcznie potrafił jedno z biurko. W powietrze poleciała sterta papierów.

- Łapcie go! Łapcie go! - wrzasnął Agar, także wpadając do środka.

Złodziejaszek wdrapał się na biurko nadzorcy ruchu i zwrócił w stronę wąskiego okienka. Pięścią wybił w nim szybę, raniąc się przy tym.

Nadzorca powtarzał tylko bezustannie:

- Och, mój Boże, mój Boże!

- Zatrzymajcie go! - wrzeszczał Pierce niemal histerycznie. - Łapcie go, on ucieka!

Kawałki szkła posypały się na podłogę, a Barlow i karakan potoczyli się po niej w nierównej walce, trwającej jednak dłużej, niż można się było tego spodziewać, biorąc pod uwagę różnicę sił. Pracownicy biura obserwowali to zajście z wyraźną konsternacją.

Nikt nie zauważył, że w tym czasie Agar zajął się zamkiem przy drzwiach

frontowych do biura i wypróbował kilka wytrychów, aż wreszcie znalazł odpowiedni. Nikt nie dostrzegł także, jak domniemany dzentelmen przeszedł do szafki z kluczami i dobrał właściwy wytrych także do jej zamka.

Minęły trzy lub cztery minuty, zanim łotrzyk, wymykający się wciąż z rąk czerwonego jak burak policjanta, został schwytany przez Pierce'a, który przytrzymał go zdecydowanie. W końcu Barlow uderzył chłopca, ten zaś od razu się uspokoił, oddał ukradziony przedmiot, po czym policjant go wyprowadził. Pierce otrzepał się, rozejrzał po zdewastowanym biurze i przeprosił jego pracowników.

Wtedy głos zabrał Agar:

- Obawiam się, że uciekł panu pociąg.

- Na Boga, rzeczywiście - zauważył Pierce. - Niech diabli porwą tego małego łotra.

Obaj dżentelmeni wyszli. Jeden dziękował drugiemu za pomoc w złapaniu złodzieja, a ten z kolei zarzekał się, że to nic takiego. Urzędnicy zostali sami, by posprzątać bałagan.

Był to, jak stwierdził później Pierce, niemal idealny kabarecik.

ROZDZIAŁ 24

# TRENING

Kiedy Clean Willy zjawił się w domu Pierce'a późnym popołudniem 9 stycznia roku 1855, natknął się w salonie na dziwaczny spektakl.

Pierce, ubrany w czerwoną aksamitną bonżurkę, siedział rozparty w wygodnym krześle i wyraźnie rozluźniony palił cygaro, w rękę zaś trzymał stoper.

Agar - dla kontrastu, w samej koszuli - przykucnął na środku pokoju, przyglądał się Pierce'owi i lekko sapał.

- Jesteś gotów? - zapytał gospodarz. Kasiarz skinął głową.

- Już! - krzyknął Pierce włączając stoper.

Ku zdziwieniu Willy'ego Agar popędził przez pokój do kominka, gdzie zaczął truchtać w miejscu i liczyć coś szeptem:

- ... siedem... osiem... dziewięć...

- Już - przerwał dżentelmen. - Drzwi!

- Drzwi! - powtórzył kasiarz.

Nacisnął klamkę niewidocznych drzwi i przeszedł trzy kroki na prawo. Wyciągnął rękę, jakby dotykał czegoś w powietrzu na wysokości własnych barków.

- Szafka - powiedział Pierce.

- Szafka...

Agar wydobył z kieszeni dwie woskowe pływki i udawał, że robi w nich odcisk klucza.

- Czas? - zapytał.

- Trzydzieści jeden.

Kasiarz zajął się drugim odciskiem, używając do tego celu następnego zestawu płytek, i przez cały czas liczył:



- Trzydzieści trzy, trzydzieści cztery, trzydzieści pięć... Jeszcze raz uniósł obie ręce, jakby coś zamykał.

- Szafka zamknięta - oświadczył i zrobił trzy kroki z powrotem przez pokój. - Drzwi!

- Pięćdziesiąt cztery - poinformował go Pierce.

- Schody!

Agar znów biegł w miejscu, a później popędził przez salon i zatrzymał się za fotelem gospodarza.

- Zrobione! - zawołał.

Pierce popatrzył na stoper i pokręcił głową.

- Sześćdziesiąt dziewięć. Wypuścił dym z cygara.

- No cóż, lepiej niż poprzednio - stwierdził urażonym tonem kasiarz. - Jaki był poprzedni czas?

- Siedemdziesiąt trzy.

- Więc jest lepiej...

-...ale nie wystarczająco dobrze. Może jeśli nie będziesz zamykał szafki i odwieszał kluczy. Willy może to zrobić.

- Zrobić co? - zapytał chłopak.

- Otworzyć i zamknąć szafkę - oświadczył Pierce. Agar wrócił do pozycji startowej.

- Gotowy? - zapytał dżentelmen.

- Gotowy.

Znów odbyło się dziwne przedstawienie. Agar przebiegł przez pokój, truchtał w miejscu, otworzył drzwi, zrobił trzy kroki, dwa odciski w wosku, następnie trzy kroki, zamknął drzwi, zatruchtał w miejscu i przebiegł przez salon.

- Czas?

- Sześćdziesiąt trzy.

Pierce uśmiechnął się.

Agar odpowiedział mu tym samym, ciężko łapiąc oddech.

- Jeszcze raz - rzekł gospodarz. - Żeby się upewnić. Później tego samego popołudnia Willy otrzymał instrukcje dotyczące roboty.

- Dziś w nocy - poinformował go Pierce - kiedy będzie ciemno, pójdziesz na London Bridge i wdrapiesz się na dach dworca. Poradzisz sobie?

Clean Willy przytaknął.

- I co?

- Gdy będziesz na dachu, przejdź do okna, w którym jest wybita szyba. Zobacysz je. To okno do biura nadzoru ruchu. Małe okienko, szerokie ledwie na stopę.

- I co?

- Wejdź do biura.

- Przez to okno?

- Tak.

- I co?

- Zobacysz tam szafkę, wisi na ścianie, pomalowana na zielono. - Pierce popatrzył na niewysokiego młodzieńca. - Będziesz musiał stanąć na krześle, żeby do niej sięgnąć.

Bądź bardzo cicho. Na schodach przed biurem jest strażnik.

Clean Willy zmarszczył brwi.

- Otwórz szafkę tym kluczem. - Skinął na Agara, który wręczył chłopakowi pierwszy z wytrychów. - Otwórz ją na oścież i czekaj.

- Na co?

- Około dziesiątej trzydzieści będzie trochę zamieszania. Gazer przyjdzie na stację i

zagada strażnika.

- Co wtedy?

- Otwórz drzwi frontowe tym kluczem - Agar podał drugi klucz - i czekaj.

- Na co?

- O jakiejś jedenastej trzydzieści strażnik pójdzie do kibla. Wtedy Agar wbiegnie po schodach, wejdzie otwartymi przez ciebie drzwiami i zrobi swój work. Wyjdzie, a ty od razu zamkniesz drzwi frontowe. Wtedy wróci strażnik. Zamkniesz szafkę, odstawisz krzesło i po cichu wyjdiesz przez okno.

- To cała robota? - zapytał z niedowierzaniem Clean Willy.

- Tak, to cała robota.

- Dlatego to wyciągnął mnie pan z Newgate? - zdziwił się młodzieniec. - Żadnych kłopotów? Nic nie do ugryzienia?

- Jest problem ze strażnikiem przy drzwiach i ważna jest cisza. Musisz być cicho przez cały czas.

Clean Willy uśmiechnął się.

- Te klucze są potrzebne na jakiś grubszy skok.

- Masz zrobić to, co do ciebie należy - polecił Pierce. Tylko pamiętaj, bez hałasu.

- Jasne.

- Trzymaj je pod ręką - poradził Agar, wskazując na klucze. - I niech drzwi będą przygotowane, kiedy się zjawię, albo wszyscy wpadniemy.

- Nie chcę znowu siedzieć.

- Więc rób, co należy i bądź gotów. Willy skinął głową.

- Co jest na obiad? - zapytał.

ROZDZIAŁ 25

## WŁAMANIE

Wieczorem 9 stycznia miasto spowijała charakterystyczna londyńska mgła zmieszana z sadzą. Clean Willy Williams szedł Tooley Street, spoglądał na fasadę dworca London Bridge i zastanawiał się, czy ta mgła mu sprzyja. Dzięki niej będzie go trudniej zauważyć, ale jednocześnie była tak gęsta, że skrywała piętro budynku. Miał obawy, czy dotrze na dach. Mógł wspiąć się do połowy i stwierdzić, że wyżej nie da się wejść.

Wiedział jednak wiele na temat tego rodzaju konstrukcji i po godzinie krążenia wokół dworca znalazł to, czego szukał. Po wejściu na wózek bagażowy udało mu się dosięgnąć rynny i po niej dostał się na parapet okna na piętrze. Na tym poziomie kamienny występ okalał cały budynek. Przesunął się po nim, aż dotarł do narożnika. Wchodził wyżej w ten sam sposób, jak podczas ucieczki z Newgate. Oczywiście, zostawił znaki wspinaczki. W tamtych czasach niemal każdy budynek w centrum Londynu pokryty był sadzą, więc po przejściu Cleana Willy'ego w rogu był widoczny nieregularny, jasny ślad.

O ósmej wieczorem znalazł się na rozłożystym dachu dworca. Znaczoną jego część pokryto dachówką, lecz nad peronami dach był ze szkła, więc wąż starał się ominąć to miejsce. Choć ważył zaledwie sześćdziesiąt osiem funtów, szkło mogło nie wytrzymać jego ciężaru.

Poruszał się ostrożnie we mgle po obrzeżu dachu, aż znalazł wybite okno, o którym mówił Pierce. Zajrzał przez nie i zobaczył biuro kolejowe. Zdziwiło go, iż panował tam nieład, jakby w ciągu dnia miała miejsce jakaś walka, której skutki zostały usunięte tylko częściowo.

Sięgnął przez dziurę w szybie, odblokował zamek i otworzył okno. Miało ono

prostokątny kształt i było bardzo małe, ale w śliznął się przez nie z łatwością, zszedł na biurko i oniemiał.

Nie powiedziano mu, że ściany biura są szklane.

Widział w dole opuszczone perony i tory. Widział także strażnika siedzącego na schodach, z papierową torebką u boku.

Ostrożnie zszedł z biurka. Pod stopami zachrzęściły mu odłamki szkła. Zamarł w bezruchu. Ale jeśli nawet strażnik coś usłyszał, nie poruszył się. Po chwili wąż przeszedł pokój, podniósł krzesło i postawił je pod wiszącą wysoko szafką. Wszedł na nie, wyjął z kieszeni wytrych, który otrzymał od Agara i otworzył szafkę. Później usiadł i czekał. Do jego uszu dobiegło dalekie bicie zegara z wieży kościelnej obwieszczające godzinę dziewiątą.

Czający się w głębokim cieniu Agar także usłyszał ten dźwięk. Westchnął. Pozostało jeszcze dwie i pół godziny, a już od dwóch siedział w tym ciasnym kącie. Zdawał sobie sprawę, jak sztywne i obolałe będą jego nogi, gdy wreszcie rozpocznie bieg w stronę schodów.

Ze swej kryjówki widział, jak Clean Willy dostaje się do biura za plecami strażnika, a po chwili ujrzał jego głowę, gdy stanął na krześle i otwierał szafkę. Później Willy zniknął.

Kasiarz westchnął. Zastanawiał się po raz setny, co Pierce zamierzał zrobić z tymi kluczami. Wiedział tylko, że w grę musiał wchodzić diabelnie duży skok. Kilka lat wcześniej brał udział we włamaniu do magazynu w Brighton. Tam chodziło o dziewięć kluczy: jeden od zewnętrznej bramy, dwa od wewnętrznej, trzy od głównych drzwi, dwa od drzwi biura i jeden od magazynu. Łup stanowiło dziesięć tysięcy funtów, a mózg skoku poświęcił cztery miesiące na jego przygotowanie.

A tutaj Pierce, chyba najgenialniejszy spośród włamywaczy, już stracił osiem

miesiący na zdobycie czterech kluczy: dwóch od bankierów i dwóch z biura kolejowego.

Wydał też niemało pieniędzy, co do tego Agar nie miał wątpliwości, a pewnie więc łup jest wiele wart.

Ale cóż to było? Po co robili teraz to włamanie? Te pytania absorbowały go bardziej niż mająca trwać sześćdziesiąt cztery sekundy akcja. Jako profesjonalista nie ulegał emocjom. Dobrze się przygotował i był pewny siebie. Jego serce biło równo, gdy przyglądał się strażnikowi na schodach i podchodzącemu do niego policjantowi patrolującemu dworzec.

Gliniarz zagadnął pierwszy:

- Wiesz, że ma się odbyć walka?
- Nie - odrzekł strażnik. - A kto walczy?
- Stunning Bili Hampton i Edgar Moxley.
- Gdzie?
- Słyszałem, że w Leicester.
- Na kogo stawiasz?
- Na Stunninga Billa.
- Jest dobry - stwierdził strażnik. - Twardy z niego gość.
- Tak. Dlatego stawiam na niego pół korony, a może i dwie.

Policjant ruszył dalej na obchód.

Agar uśmiechnął się w ciemnościach pod nosem. Glina mówił z powagą o zakładzie za pięć szylingów. On postawił dziesięć funtów w ostatniej walce Derwisza z Lancaster, Johna Boytona z kulawym Kidem Bellewem. Nie źle mu się powiodło. Zakłady stały dwa do jednego. Wygrał i zarobił trochę pieniędzy.

Napiął mięśnie ściśniętych nóg, starając się przywrócić w nich krążenie, a później

odprężył się. Miał przed sobą jeszcze długie oczekiwanie. Pomyślał o swojej kobiecie.

Zawsze gdy pracował, myślał o jej cipce. Było to naturalne - napięcie podnieca mężczyznę. Po chwili wrócił jednak do spraw bieżących, to znaczy do Pierce'a i pytania, które intrygowało go już niemal od roku - co to miał być za cholerny skok?

Pijany rudobrody Irlandczyk w pominiętych kapeluszu szedł przez opuszczony dworzec zataczając się i śpiewając "Molly Malone". Ruchy miał niepewne, jak prawdziwy pijak, i był tak zajęty śpiewaniem, że wyglądało na to, iż wpadnie na schody nie zauważając ich.

W ostatniej chwili dostrzegł przeszkodę i siedzącego na niej strażnika. Przyjrzał mu się podejrzliwie, po czym się uklonił, z trudem utrzymując równowagę.

- Dobry wieczór szanownemu panu - rzekł. - Dobry - odparł strażnik.

- Co, jeśli można spytać, robi pan tam na górze, he? Nic dobrego, co?

- Pilnuję tych pomieszczeń. Irlandczyk czknął.

- Tak pan mówi, mój drogi, ale wielu szubrawców twierdzi to samo.

- Uważaj...

- Myślę... - ciągnął dalej pijak, kiwając oskarżycielsko palcem i bezskutecznie starając się wycelować nim w strażnika. - Myślę, sir, że powinniśmy sprowadzić tu policję, żeby pana sprawdziła i przekonała się, że nic dobrego pan tu nie robi.

- Uważaj - ostrzegł strażnik.

- To ty uważaj - zaperzył się Irlandczyk i nagle zaczął krzyczeć: - Policja! Policja!

- Uważaj - powtórzył stróż i zaczął schodzić z góry. Pilnuj siebie, ty moczymordo.

- Moczymordo? - oburzył się pijak, uniósł brwi i pogroził pięścią. - Jestem rodowitym dublińczykiem.

- Co mnie to obchodzi? - parsknął stróż. W tej chwili zza rogu wypadł policjant

sprowadzony krzykami Irlandczyka.

- To przestępca, panie władzo - rzekł nietrzeźwy mężczyzna. - Proszę aresztować tę kanalię. - To mówiąc, wskazał na strażnika, który zszedł już ze schodów. - Nic dobrego tu nie robi.

Znowu czknął.

Policjant i strażnik wymienili spojrzenia i uśmiechy.

- Uważa pan to za śmieszne? - zapytał Irlandczyk, zwracając się do stróża porządku. - Ja nie. Ten człowiek ma po prostu złe zamiary.

- Proszę ze mną - polecił gliniarz. - Narusza pan spokój w miejscu publicznym.

- Spokój? - zdziwił się pijak, wymykając się policjantowi. - Myślę, że pan i ten łotr jesteście w zмовie.

- Dość tego. Proszę iść ze mną. Irlandczyk pozwolił się odprowadzić.

- Nie masz pan jakiejś flaszki? - zapytał, ale policjant pokręcił głową.

- Dublin - mruknął pod nosem strażnik. Westchnął i usiadł znów na schodach, by zjeść kolację.

Dzwony wybiły godzinę jedenastą.

Agar, choć przedstawienie Pierce'a go rozbawiło, martwił się, czy Clean Willy wykorzystał okazję do otwarcia drzwi biura. Nie mógł tego sprawdzić przed wkroczeniem do akcji, czyli za około pół godziny.

Zerknął na zegarek, przeniósł spojrzenie na drzwi i czekał.

Najtrudniejszą częścią przedstawienia było dla Pierce'a jego zakończenie, gdy policjant wyprowadził go na zewnątrz - na Tooley Street. Nie chciał zakłócać rytmu obchodów gliniarza, więc jak najszybciej musiał się uwolnić od niego.

Kiedy stanęli na ulicy, całej we mgle, głęboko zaczerpnął powietrza.



- Och, jaki cudowny wieczór. Rześki i pobudzający stwierdził.

Policjant rozejrzył się wokół. - Dla mnie tam za zimny.

- No cóż, mój drogi przyjacielu, jestem panu niezmiernie wdzięczny za opiekę i mogę pana zapewnić, że sam świetnie sobie poradzę - powiedział domniemany Irlandczyk.

Otrzeptał się i wyprostował, jakby nocne powietrze otrzeźwiło go.

- Nie zamierza pan wszczynać już żadnych burd?

- Drogi panie, za kogo mnie pan ma? - oburzył się Pierce jak człowiek, który trzeźwieje.

Policjant spojrzał na dworzec London Bridge. Miał obowiązek pozostać na posterunku. Wałęsający się pijak nie powinien go interesować, jeśli został usunięty z budynku. A Londyn był pełen takich ochlapusów, szczególnie Irlandczyków, którzy i mówili, i pili za dużo.

- Trzymaj się więc pan z dala od kłopotów - polecił stróż porządku odchodząc.

- Dobranoc panie oficerze - rzekł Pierce kłaniając się odchodzącemu policjantowi.

Zniknął we mgle, śpiewając "Molly Malone". Nie odszedł jednak dalej niż do końca Tooley Street, czyli do budynku tuż za dworcem. Tam, skryta we mgle, stała dorożka.

Spojrzał na woźnicę.

- Jak poszło? - zapytał Barlow.

- Bez problemów. Dałem Willy'emu dwie, trzy minuty. To powinno wystarczyć.

Willy jest trochę nierozgarnięty.

- Musi tylko otworzyć dwa zamki, a nie jest aż tak głupi, żeby tego nie umieć -

stwierdził Pierce i spojrzał na zegarek. - Cóż, wkrótce się przekonamy.

To rzekłszy zniknął we mgle. Szedł z powrotem w stronę dworca.

O jedenastej trzydzięci Pierce zajął miejsce, skąd widział strażnika i schody prowadzące do biura nadzoru ruchu. Właśnie przechodził policjant. Pomachał do stróża, który odpowiedział tym samym gestem. Gliniarz odszedł, a strażnik ziewnął, wstał i przeciągnął się.

Pierce odetchnął głębiej i oparł palec na przycisku stopera.

Strażnik ziewając szeroko zszedł po schodach i skierował się do ubikacji. Wkrótce zniknął za rogiem.

Włamywacz uruchomił stoper i liczył cicho:

- Jeden... dwa... trzy...

Ujrzał Agara, który biegł ciężko bez butów, aby nie robić hałasu i po chwili wspinał się już po schodach.

- Cztery... pięć... sześć...

Kasiarz dopadł drzwi, przycisnął klamkę. Drzwi się otwały, Agar wbiegł do środka i zamknął je za sobą.

- Siedem... osiem... dziewięć...

- Dziesięć - wysapał Agar rozglądając się po biurze. Clean Willy uśmiechnął się z zacięzionego kąta i przejął liczenie.

- Jedenaście... dwanaście... trzynaście...

Kasiarz pomknął do już otwartej szafki. Wyjął z kieszeni pierwszą spośród woskowych płytek i popatrzył na wiszące klucze.

- Cholera! - zaklął.

- Czternaście!.. piętnaście... szesnaście,...

W szafce znajdowały się dziesiątki kluczy. Kluczy wszelkiego rodzaju: małych i dużych, z szyldzikami i bez, a wszystkie wisiały na haczykach. Agar momentalnie spocił

się jak mysz.

- Cholera!

- Siedemnaście... osiemnaście... dziewiętnaście...

Był już spóźniony. Ta myśl przyprawiła go o mdłości. Bezsilnie wpatrywał się w klucze. Nie mógł odbić ich wszystkich, lecz które były właściwe?

- Dwadzieścia... dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa... Monotonny głos Cleana

Willy'ego doprowadzał go do furii. Miał ochotę przebiec przez pokój i udusić tego małego bękarta. Przypomniawszy sobie, jak wyglądały te dwa, które już zdobyli. Przyjrzał się bliżej zawartości szafki mrużąc oczy i wytężając wzrok. Biuro było słabo oświetlone.

- Dwadzieścia trzy... dwadzieścia cztery... dwadzieścia pięć...

- Do cholery, to nie ma sensu - wymamrotał do siebie. Wtedy uświadomił sobie coś dziwnego - na każdym haczyku wisiał pojedynczy klucz, tylko na jednym znajdowały się dwa. Szybko je zdjął. Wyglądały jak tamte.

- Dwadzieścia sześć... dwadzieścia siedem... dwadzieścia osiem...

Przycisnął do pierwszej płytki jedną stronę klucza. Trzymał go przez chwilę, a następnie podważył długim paznokciem. Taki paznokieć u małego palca był jednym ze znaków szczególnych kasiarzy.

- Dwadzieścia dziewięć... trzydzieści... trzydzieści jeden... Wyjął następną płytkę, odwrócił klucz i powtórzył tę samą operację z drugą stroną.

- Trzydzieści dwa... trzydzieści trzy... trzydzieści cztery... Teraz dał o sobie znać profesjonalizm Agara. Stracił już co najmniej pięć sekund, może więcej - ale wiedział, że za żadne skarby nie może pomylić kluczy. Ten błąd popełniali dość często kasiarze działający w pośpiechu: odbijali dwukrotnie tę samą stronę. Z dwoma kluczami możliwość pomyłki dublowała się. Szybko lecz ostrożnie odwiesił już skopiowany.

- Trzydzieści pięć... trzydzieści sześć... trzydzieści siedem...

Clean Willy patrzył przez szklaną ścianę w stronę, skąd za trzydzieści sekund miał nadejść strażnik.

- Trzydzieści osiem... trzydzieści dziewięć... czterdzieści... Agar szybko przyłożył drugi klucz do płytki. Przytrzymał go przez moment i odkleił. Pozostało wyraźne odbicie.

- Czterdzieści jeden... czterdzieści dwa... czterdzieści trzy...

Kasiarz wyjął czwartą płytkę i zajął się ostatnim odciskiem. Docisnął drugą stronę klucza do miękkiej powierzchni.

- Czterdzieści cztery... czterdzieści pięć... czterdzieści sześć...

Nagle, gdy podwahał klucz, płytka przełamała się na pół.

- Cholera!

- Czterdzieści osiem... czterdzieści dziewięć... pięćdziesiąt...

Sięgnął do kieszeni po jeszcze jedną płytkę. Jego palce były pewne, ale po czole spływał pot.

- Pięćdziesiąt jeden... pięćdziesiąt dwa... pięćdziesiąt trzy...

Wyjął płytkę i powtórzył nieudaną operację jeszcze raz.

- Pięćdziesiąt cztery... pięćdziesiąt pięć...

Odkleił klucz, powiesił go na haczyku i popędził do drzwi, wciąż trzymając w dłoni ostatni odcisk.

Wybiegł z biura nie spojrzawszy nawet na Willy'ego.

- Pięćdziesiąt sześć - liczył wąż i jednocześnie błyskawicznie skoczył ku drzwiom, aby je zamknąć.

Pierce ujrzał Agara wybiegającego całe pięć sekund później niż powinien. Twarz kasiarza płonęła z wysiłku.

- Pięćdziesiąt siedem... pięćdziesiąt osiem...

Agar zbiegał po schodach, skacząc co trzeci stopień.

- Pięćdziesiąt dziewięć... sześćdziesiąt... sześćdziesiąt jeden...

Pognał przez stację do swej kryjówki.

- Sześćdziesiąt dwa... sześćdziesiąt trzy... Kasiarz właśnie się ukrył.

Ziewający strażnik wyszedł zza rogu zapinając spodnie. Skierował się w stronę schodów.

- Sześćdziesiąt cztery - zakończył Pierce i zatrzymał stoper.

Stróż zajął swój posterunek. Po chwili zaczął coś cicho nucić. Dopiero po jakimś czasie Pierce uświadomił sobie, że było to "Molly Malone".

ROZDZIAŁ 26

# UMOWA

## ZE STRAŻNIKIEM KOLEJOWYM

"Różnica pomiędzy niecną chęcią wzbogacenia się a uczciwą ambicją może być prawie niezauważalna" - ostrzega ł wielebny Noel Blackwell w swej rozprawie z roku 1853 noszącej tytuł "Moralna poprawa rodzaju ludzkiego". Nikt nie znał prawdy płynącej z tych słów lepiej niż Pierce, który w Casino de Venise na Windmill Street przystąpił właśnie do realizacji następnego etapu przygotowań. Była to obszerna, ale teraz zatłoczona sala balowa, jasno oświetlona mnóstwem lamp gazowych. Młodzi mężczyźni wirowali z kolorowo wystrojonymi i wesołymi dziewczętami. Wszystko sprawiało wrażenie modnego przepychu, ale miejsce to nie cieszyło się dobrą sławą, ponieważ było punktem kontaktowym prostytutek i ich klientów.

Pierce skierował się prosto do baru, gdzie nad drinkiem siedział tęgi mężczyzna w niebieskim mundurze ze srebrnymi oznaczeniami na wyłogach. Człowiek ten czuł się wyraźnie nieswojo w tym otoczeniu.

- Był pan tu już kiedyś? - zapytał Pierce. Mężczyzna odwrócił się.

- To pan jest Simms?

- Tak.

Spojrzał na piękne kobiety, strojne ubiory i ostre światła.

- Nie - odrzekł. - Nigdy tu wcześniej nie byłem.

- Wesoło tutaj, prawda? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Za bardzo jak dla mnie - rzekł wreszcie i zajął się oglądaniem szklaneczki.

- I drogo - dodał Pierce. Mężczyzna uniósł szklaneczkę.

- Zabulić za to dwa szylingi? Tak, to rzeczywiście drogo.

- Pan pozwoli, że postawię panu następnego - zaproponował Pierce i skinął na

barmana.

- Gdzie pan mieszka, panie Burgess?

- Mam pokój na Moresby Road.

- Słyszałem, że powietrze tam niezdrowe. Burgess wzruszył ramionami.

- Da się wytrzymać.

- Jest pan żonaty?

- Tak.

Podszedł barman i Pierce zamówił drinki.

- Co robi pańska żona?

- Szyje. - Mężczyzna zniecierpliwił się. - O co w tym wszystkim chodzi?

- Taka niewielka rozmówka, żeby sprawdzić, czy nie potrzebuje pan więcej pieniędzy.

- Tylko głupiec ich nie potrzebuje - skwitował krótko Burgess.

- Pracuje pan jako strażnik kolejowy? Mężczyzna, już bardzo zniecierpliwiony, przytaknął i wskazał srebrne litery SER na kołnierzu - znak South Eastern Railway.

Pierce nie zadawał pytań, aby uzyskać informacje. Wcześniej już wiedział dość dużo o Richardzie Burgessie, strażniku kolejowym. Wiedział, gdzie mieszka i co robi jego żona. Wiedział, że ma dwoje dzieci w wieku dwóch i czterech lat. To starsze jest chorowite i wymaga częstych wizyt lekarza, na co Burgess i jego żona nie mogą sobie pozwolić. Wiedział, że ich pokój na Moresby Road jest brudnym, odrapanym małym pomieszczeniem, do którego docierały wyziewy siarki z pobliskiej gazowni.

Wiedział też, że Burgess należał do najgorzej wynagradzanej kategorii pracowników kolei. Maszyniście płacono szylingów, konduktorowi 25, wagonowemu 20 lub 21, a strażnikowi 15 szylingów tygodniowo, a i tak powinien być z tego zadowolony.

Jego żona zarabiała 10 szylingów tygodniowo, a więc rodzina utrzymywała się z około sześćdziesięciu pięciu funtów rocznie. Od tego trzeba było odliczyć pewne wydatki.

Burgess sam musiał sobie zapewnić umundurowanie, rzeczywisty zatem dochód wynosił około pięćdziesięciu pięciu funtów, a dla czteroosobowej rodziny było to bardzo mało.

Wiele rodzin w tamtych czasach osiągało takie właśnie dochody, ale większość uzupełniała je, najczęściej dodatkową pracą, napiwkami lub posyłając dzieci do pracy.

Burgessowie nie mieli takich możliwości. Byli zmuszeni żyć tylko z tego, co sami zarobili, i nic dziwnego, że strażnik czuł się nieswojo w miejscu, gdzie kieliszek kosztował dwa szylingi. Przekraczało to znacznie jego możliwości.

- O co chodzi? - zapytał, nie patrząc na Pierce'a.

- Zastanawiałem się nad pańskim wzrokiem.

- Moim wzrokiem?

- Tak, nad pana oczami.

- Moje oczy są w porządku.

- Zastanawiam się, ile trzeba, żeby nie widziały. Burgess westchnął i milczał przez chwilę. Wreszcie odezwał się z rezygnacją w głosie:

- Puskowałem kilka lat temu w Newgate. Nie chcę wracać do pierdła.

- Bardzo rozsądnie - uznał Pierce. - A ja nie chcę, żeby ktokolwiek spartaczył mi robotę. Obaj się czegoś boimy.

Burgess pociągnął ze szklaneczki.

- Ile pan daje?

- Dwieście funtów.

Kolejarz zachłusnął się i uderzył dłonią w piersi.



- Dwieście funtów? - powtórzył.

- Zgadza się. Teraz dziesięć, na słowo.

Pierce wyjął dwa banknoty pięćofuntowe. Portfel trzymał w taki sposób, by

Burgess zauważył, że jest mocno wypchany. Położył pieniądze na blacie.

- Piękny widok - stwierdził strażnik, ale nie wyciągnął po nie ręki. - Co to za robota?

- Nie musi się pan jej bać. Powinien pan tylko martwić się o wzrok.

- Czego więc mam nie widzieć?

- Niczego, co mogłoby wpędzić pana w kłopoty. Nigdy nie zobaczy już pan celi od środka, obiecuję to panu.

Burgess upierał się.

- Proszę mówić jaśniej.

Pierce westchnął. Sięgnął po pieniądze.

- Przykro mi - rzekł. - Chyba muszę zwrócić się z tą sprawą do kogoś innego.

Kolejarz złapał go za rękę.

- Niech pan się nie śpieszy. Tylko pytam.

- Nie mogę powiedzieć.

- Myśli pan, że sypnę glinom?

- Takie rzeczy się zdarzają.

- Nie jestem kapustą. Pierce wzruszył ramionami.

Zaległa cisza. Wreszcie Burgess sięgnął ręką po banknoty.

- Proszę powiedzieć, co mam robić.

- To bardzo proste. Wkrótce skontaktuje się z panem mężczyzną, który zapyta, czy pańska żona szyje mundury. Kiedy spotka pan tego człowieka, proszę po prostu... nie patrzeć.

- To wszystko?

- Tak, wszystko.

- Za dwieście funtów?

- Za dwieście funtów.

Burgess na moment zmarszczył brwi, a potem zaczął się śmiać.

- Co pana tak śmieszy? - zapytał Pierce.

- Nigdy się panu nie uda. To jest nie do zrobienia. Nie da się sforsować tych sejfów, gdziekolwiek bym patrzył. Kilka miesięcy temu był pewien chłopak. Dostał się do wagonu bagażowego i chciał je obrobić. Powiedziałem mu, żeby spróbował, i próbował przez pół godziny, ale nic nie działało. Wtedy go wyrzuciłem.

- Wiem. Obserwowałem to. Burgess przestał się śmiać.

Pierce wyjął z kieszeni dwie złote gwinee i rzucił je na ladę.

- Tam w rogu siedzi pewna panienska, całkiem niezła, ta w różowym. Sądzę, że czeka na pana - rzekł, po czym wstał i wyszedł.

ROZDZIAŁ 27

# ZDUMIENIE CHABECIARZA

Ekonomiści epoki wiktoriańskiej dostrzegli, że coraz więcej ludzi utrzymywało się z tak zwanego prowadzenia interesu, czyli dostarczania dóbr i usług rozrastającej się błyskawicznie klasie średniej. Nigdy nie było bogatszego narodu niż Anglicy za panowania królowej Wiktorii. Popyt na dobra wszelkiego rodzaju wzrastał, a odpowiedzią na to była specjalizacja produkcji, dystrybucji oraz sprzedaży. To właśnie w Anglii epoki wiktoriańskiej po raz pierwszy pojawili się stolarze meblowi, którzy wytwarzali jedynie określone części mebli oraz sklepy sprzedające tylko jeden ich rodzaj. Ta rosnąca specjalizacja była widoczna także w świecie podziemnym, a szczególnie u chabeciarzy. Byli to zwykle ślusarze, którzy nie prowadzili legalnej produkcji. Zostawali wyspecjalizowanymi dostawcami artykułów metalowych dla kryminalistów.

Ich główne zajęcie polegało na produkcji chabet, czyli tępych narzędzi używanych podczas ataku na ofiarę. Chabety znano od dawna. Były to długie płócienne woreczki wypełnione piaskiem, które bombiarze, czyli kryminaliści zajmujący się rozbojem, nosili w rękawach i nimi atakowali swe ofiary. Później piasek został zastąpiony ołowianym śrutem. Chabeciarz wytwarzał także inne towary. "Florek" był to zwykły pręt metalowy, co prawda czasami ze zgrubieniem na końcu. "Worem" nazywano dwa funty śrutu żelaznego w mocnej pończosze. Powszechna była także "bomba", czyli kula na sznurku, którą uderzało się ofiarę w głowę. Kilka uderzeń taką bronią uspokajało każdego i kradzież mogła się odbyć bez przeszkód.

Kiedy popularniejsza stała się broń palna, chabeciarze zajęli się produkcją kul.

Kilku najlepszych wytwarzało zestawy agrafek, czyli wytrychów, ale była to precyzyjna robota, więc większość wolała coś łatwiejszego.

W pierwszych dniach stycznia 1855 roku pewien rudobrody dżentelmen odwiedził

w Manchesterze chabeciarza o nazwisku Harkins i poprosił o śrut ołowiany.

- Proszę bardzo - rzekł ślusarz. - Mam wszystkie rodzaje śrutu. Mogę zrobić każdy, jaki pan sobie życzy. Ile ma być?

- Pięć tysięcy - odparł dżentelmen.

- Słucham?

- Powiedziałem, że pięć tysięcy. Ślusarz zamrugał.

- Pięć tysięcy to całe mnóstwo. Wychodzi, niech pomyślę, dwie sztuki na uncję. Więc

to... - Popatrzył na sufit i zagryzł wargę. - ... I szesnaście... To daje... Na Boga, to ponad pięćdziesiąt funtów śrutu.

- Też tak sędzę.

- Chce pan pięćdziesiąt funtów śrutu?

- Tak.

- No cóż, pięćdziesiąt funtów ołowiu wymaga trochę wysiłku przy odlewaniu. I trochę czasu. Na pięć tysięcy sztuk rzeczywiście trzeba czasu.

- Potrzebuję tego w ciągu miesiąca - rzekł dżentelmen.

- Miesiąca, miesiąca... Niech pomyślę... Odlewając setkę z jednej matrycy...

Dobrze... - Chabeciarz skinął głową.

- W porządku, będzie pan miał za miesiąc pięć tysięcy sztuk śrutu. To coś poważnego?

- Tak. - Klient pochylił się do przodu i powiedział konspiracyjnie: - To do Szkocji, wie pan.

- Do Szkocji?

- Tak, do Szkocji.

- No cóż, rozumiem - przyznał, choć jak sądził chodziło o coś innego.

Rudobrody mężczyzna wpłacił zaliczkę i wyszedł, pozostawiając Harkinsa w całkowitym osłupieniu. Byłby on zapewne znacznie bardziej zdziwiony, gdyby wiedział, że dżentelmen ten odwiedzi ł jego kolegów po fachu w Newcastle-on-Tyne, Birmingham, Liverpoolu oraz Londynie i każdemu z nich złożył identyczne zamówienie. Łącznie miał więc otrzymać dwieście pięćdziesiąt funtów śrutu. Jaki użytek ktokolwiek mógł z tego zrobić?

## ROZDZIAŁ 28

### PRÓBA GENERALNA

W połowie wieku w Londynie wydawano sześć porannych gazet, trzy popołudniowe i dwadzieścia liczących się tygodników. Prasa była już na tyle silna, że wywierała wpływ na opinię publiczną, a nawet na wydarzenia polityczne. Brak realizmu w ocenie tej siły przez czynniki rządowe uwidocznił się w styczniu 1855 roku.

Pierwszy w historii korespondent wojenny, William Howard Russell, przebywał w Rosji z oddziałami angielskimi i jego depesze do "Timesa" wzbudzi ły ogromne oburzenie: Szarża Lekkiej Brygady, niepowodzenie w bitwie pod Bałakławą, wyniszczająca zima, podczas której oddzia łom brytyjskim brakowa ło żywności i lekarstw, pięćdziesięcioprocentowa śmiertelność. Wszystko to było relacjonowane w prasie, wywołując rosnący gniew czytelników.

W styczniu poważnie zachorował dowódca sił brytyjskich, lord Raglan. Lord Cardigan zaś - "pyszny, bogaty, samolubny i g łupi", ten sam, który bezmyślnie poprowadził swą Lekką Brygadę na rzeź, a później udał się na jacht, aby napi ć się szampana i odpocząć, wrócił do domu. Prasa nazwała go bohaterem narodowym. Rolę tę odgrywał z niemałą satysfakcją. Występował w mundurze spod Bałakławy, a w każdym

mieście witały go wiwatujące tłumy. Na pamiątkę wrywano nawet włosy z ogona jego konia. Londyńskie sklepy skopiowały wełnianą kurtkę, którą nosił na Krymie, nazwały ją cardiganem i sprzedawały w tysiącach sztuk.

Człowiek znany swym oddziałom jako "niebezpieczny osioł" podróżował po kraju, wygłaszając mowy i gloryfikując własne męstwo jako dowódcy podczas ataku. Mijały miesiące, a on przemawiał wzruszając się do łez, co zmuszało go do przerywania oracji. Prasa nie przestawała mu schlebiać. Nie napiętnowano jego postępowania. Ten błąd naprawili dopiero późniejsi historycy.

Lecz jeśli prasa była niestała, to jeszcze bardziej chimeryczna okazała się opinia publiczna. Pomimo ważnych i niewesołych wiadomości z Rosji, w styczniu najbardziej interesowały londyńczyków depesze, które dotyczyły lamparta ludojada. Zagrażał on miejscowości Nami Tal w północnych Indiach, niedaleko granicy z Birmą. "Panarski ludojad" zabił podobno ponad czterystu tubylców, a doniesienia o tym były pełne ponurych szczegółów. "Złośliwa bestia z Panam - pisał korespondent - zabija dla przyjemności, a nie z głodu. Rzadko zjada choć kawałek ciała swej ofiary, choć dwa tygodnie temu pożarła górną część ciała niemowlęcia, które wykradła z łóżeczka.

Najczęściej jej ofiarami padają dzieci poniżej dziesiątego roku życia, oddalające się od centrum wioski po zapadnięciu zmroku. Dorosłe ofiary w większości wypadków doznają uszkodzeń ciała i umierają później w wyniku zakażenia ran. Myśliwy z tego terenu, pan Redby, twierdzi, że infekcje te powoduje zgniłe mięso pozostałe pod pazurami bestii. Panarski zabójca jest niezwykle silny. Widziano, jak niósł w zębach dorosłą kobietę, która wrywała się i krzyczała rozpaczliwie".

Te i podobne historie były tematem rozmów, który niezwykle ekscytował każde towarzystwo. Kobiety w czasie takich dyskusji dostawały wypieków, chichotały i

wydawały okrzyki strachu, mężczyźni zaś, szczególnie ci, którzy byli w Indiach, opowiadali ze znanstwem o zwyczajach takich bestii i ich naturze. Mechaniczny model tygrysa pożerającego Anglika, własność East India Company, był oglądany przez zafascynowane tłumy (dziwoląga tego wciąż można zobaczyć w Victoria and Albert Museum).

Kiedy więc 17 lutego roku 1855 dorosły lampart w klatce pojawił się na dworcu London Bridge, wywołał znaczne zamieszanie. O wiele większe niż o kilka minut wcześniejsze przybycie uzbrojonych strażników niosących skrzynki ze złotem, które załadowano następnie do wagonu bagażowego South Eastern Railway.

Rycząca bestia, rzucająca się na pręty klatki, została załadowana do tego samego wagonu pociągu, który jechał do Folkestone. Lampartowi towarzyszył opiekun; miał mu zapewnić odpowiednie warunki oraz zadbać o bezpieczeństwo strażnika w razie nieprzewidzianych okoliczności.

Zanim pociąg ruszył, opiekun wyjaśnił tłumowi gapiów, że bestia żywi się surowym mięsem, jest czteroletnią samicą i jedzie na kontynent, gdzie ma być podarowana wysoko urodzonej damie.

Pociąg odjechał ze stacji tuż po ósmej, gdy tylko strażnik wagonu bagażowego zamknął przesuwane drzwi. Nastąpiła chwila ciszy. Tylko lampart krążył po klatce i warczał od czasu do czasu. Wreszcie odezwał się strażnik:

- Czym ją pan karmi?

Opiekun zwierzęcia odwrócił się w jego stronę.

- Czy pańska żona szyje mundury? - zapytał. Burgess zaśmiał się.

- A więc to pan?

Opiekun nie odpowiedział. Zamiast tego otworzył małą skórzaną teczkę i wyjął z

niej słoik smaru, kilka kluczy oraz zestaw pilników różnych kształtów i rozmiarów.

Podszedł do sejfów, nasmarował wszystkie cztery zamki i zaczął dopasowywać klucze. Burgess przyglądał się temu bez zainteresowania. Wiedzia ł, że nieprecyzyjnie skopiowane klucze nie będą działać, jeśli nie dokona się pewnych poprawek. Był jednak zdziwiony, ponieważ nigdy nie przypuszczał, że akcja zostanie przeprowadzona tak zuchwale.

- Gdzie pan zrobił odciski? - zagadnął.

- Tu i tam - odrzekł zajęty pracą Agar, bo to on odgrywał rolę dozorczy lamparta.

- Trzymają te klucze oddzielnie.

- Tak?

- Tak. Jak pan je zdobył?

- Nie pańska sprawa - uciął kasiarz.

Strażnik przyglądał mu się jeszcze przez pewien czas, a później skupił uwagę na lamparcie.

- Ile waży?

- Zapytaj pan ją - odparł z irytacją Agar.

- Zabiera pan zatem złoto dzisiaj? - zapytał Burgess, gdy domniemany opiekun zdołał otworzyć drzwi jednego z sejfów.

Nie uzyskał odpowiedzi. Kasiarz przez chwilę przyglądał się skrzynkom wypełniającym wnętrze.

- Pytałem, czy zabiera pan dzisiaj to złoto. Agar zamknął sejf.

- Nie - odparł. - Teraz bądź pan cicho. Burgess zamilkł.

Przez następną godzinę, gdy pociąg toczył się z hałasem w stronę Folkestone, kasiarz pracował nad kluczami. Wreszcie otworzył i zamknął oba sejfy. Kiedy skończył, wytarł smar z zamków. Oczyszczył je alkoholem i wysuszył szmatką. Wreszcie wziął



wszystkie cztery klucze, umieścił je ostrożnie w kieszeni i usiadł, żeby czekać na koniec podróży.

Pierce' spotkał się z nim na stacji i pomógł w wyładunku klatki z lampartem.

- Jak poszło? - zapytał.

- Ostateczne kroki zostały poczynione - Agar uśmiechnął się. - To złoto, prawda?

Krymskie złoto, o to nam chodzi?

- Tak - odrzekł Pierce.

- Kiedy?

- W przyszłym miesiącu. Lampart zaryczał.

CZEŚĆ III

OPÓŹNIENIA marzec-maj 1885

ROZDZIAŁ 29

# DROBNE NIEPOWODZENIA

Początkowo zamierzali ukraść złoto podczas następnego transportu. Plan był niezwykle prosty. Pierce i Agar mieli wsiąść do pociągu w Londynie, a do wagonu bagażowego załadować kilka ciężkich toreb, wypełnionych workami z ołowianym śrutem. Agar ponownie odbyłby podróż w wagonie bagażowym, otworzyłby sejfy, wyjął złoto i zastąpił je ołowiem, podczas gdy Burgess udawałby, że nic nie widzi. Torby z cennym łupem miały zostać wyrzucone z pociągu w ustalonym miejscu i zabrane przez Barlowa. Dorożkarz udałby się do Folkestone i tam spotkał z kasiarzem i Piercem. W tym czasie skrzynki, ciężkie jak zwykle, przeładowano by na parowiec płynący do Ostendy, gdzie kradzież została wykryta dopiero przez władze francuskie. Do tego czasu w transporcie wzięłyby udział tyle osób, że Burgess stałby się tylko jednym z wielu podejrzanych. Ponieważ stosunki angielsko-francuskie nie układały się najlepiej, było oczywiste, że obie strony obarczałyby się nawzajem odpowiedzialnością za niedopilnowanie ładunku. Anglicy twierdziliby, że dokonano kradzieży na terytorium Francji i vice versa. Złodzieje mogli więc liczyć na to, że w całym tym zamęcie policji trudno będzie wpaść na ślad przestępców.

Plan wydawał się stuprocentowo pewny i złodzieje przygotowali się do jego realizacji podczas następnego transportu, którego termin wyznaczono na 14 marca 1871 roku.

Dnia 2 marca "diabeł w ludzkiej skórze", car Mikołaj I zmarł nagle. Wieść o jego śmierci stała się przyczyną znacznego zamieszania w kręgach finansjery, a gdy została wreszcie potwierdzona, giełdy Londynu i Paryża odpowiedziały hossą. Lecz z tego właśnie powodu wysyłkę złota przełożono aż do marca. Wtedy jednak Agar, który po czternastym popadł w swego rodzaju depresję, rozchorował się na płuca i okazja

przeszła koło nosa.

Firma Huddleston & Bradford dokonywała wysyłki żołdu raz w miesiącu. Obecnie na Krymie było tylko jedenaście tysięcy angielskich żołnierzy, natomiast aż siedemdziesiąt osiem tysięcy francuskich, więc większość pieniędzy pochodziła bezpośrednio z Paryża. Tak więc Pierce i jego wspólnicy postanowili poczekać do kwietnia.

Następny transport wyznaczono na 19 kwietnia. Złodzieje zdobywali potrzebne informacje za pośrednictwem kurtyzany Susan Lang, kochanki Henry'ego Fowlera.

Dyrektor generalny lubił robić wrażenie na dziewczynie, opowiadając jej ciekawostki, które miały świadczyć o jego wysokiej pozycji w świecie bankowości i handlu. Biedna dziewczyna, która niemal niczego nie rozumiała, wydawała się niezmiernie zafascynowana wszystkim, o czym jej mówił.

Susan Lang nie była aż tak nierozgarnięta, ale widocznie musiało jej się coś pomylić. Złoto zostało wysłane 18 kwietnia i kiedy Pierce wraz z Agarem przybyli następnego dnia, aby zająć miejsca w pociągu, Burgess powiadomił ich o pomyłce. Żeby zachować pozory, obaj odbyli podróż do Folkestone, ale kasjarz zeznał przed sądem, że Pierce w czasie tej podróży był "doprawdy w bardzo złym humorze.

Kolejna wysyłka miała nastąpić 22 maja. Aby nie powtórzyć błędu, Pierce zdecydował się na dość ryzykowny krok, polegający na uruchomieniu łączności między Agarem a Burgessem. Strażnik mógł w każdej chwili skontaktować się z kasjarzem za pośrednictwem bukmachera Smashinga Billy'ego Banksa. Burgess miał przesłać przez niego wiadomość, gdyby zaszły jakieś istotne zmiany. Agar wpadał więc do Banksa codziennie.

5 maja kasjarz wrócił do Pierce'a z niepokojącą wiadomością. Obydwa sejfy zostały

wymontowane z wagonu bagażowego i zwrócone Chubbowi do naprawy.

- Naprawy? - zdziwił się Pierce. - Co to znaczy do naprawy?

Agar wzruszył ramionami.

- Wiem tyle co ty.

- Przecież to najlepsze sejfy na świecie. Nie bierze się ich tak ni stąd, ni zowąd do naprawy. - Zmarszczył brwi. - Co jest z nimi: nie tak?

Kasiarz powtórzył ten sam gest.

- Ty draniu, pewnie porysowa łeś zamki, kiedy przy nich grzeba łeś. Przysięgam, że jeśli ktokolwiek skojarzył te rysy...

- Nasmarowałem je jak należy - odrzekł Agar. Wiem, że sprawdzają, czy nie ma na nich żadnych znaków. Mówię ci, nie zostawiłem na nich nawet ryski.

Spokój kasiarza utwierdził Pierce'a w przekonaniu, że współnik mówi prawdę.

Westchnął.

- Więc dlaczego?

- Nie wiem. Znasz człowieka, który zdradziłby Chubba?

- Nie. I nie chciałbym próbować żadnych numerów. Z nimi nie pójdzie tak łatwo.

Firma Chubba niebywale ostrożnie dobierała swych pracowników. Ludzie byli zatrudniani oraz zwalniani niechętnie i wciąż ich ostrzegano, żeby uważali na kryminalistów, którzy mogą chcieć ich przekupić.

- Więc bez żadnych numerów? - zdziwił się Agar.

Pierce pokręcił głową.

- Ja nic nie zdziałam. Są zbyt ostrożni. Nigdy nie uda mi się zdobyć potrzebnych informacji...

Zamyślony zapatrzył się przed siebie.

- Co jest? - zapytał kasiarz.

- Pomyślałem, że dama nie wzbudzi ich podejrzeń.

ROZDZIAŁ 30

# WIZYTA U PANA CHUBBA

Chubb wśród sejfów był od dawna tym, czym pó źniej stał się Rolls-Royce wśród samochodów. Na czele tej zasłużonej firmy stał pan Laurence Chubb junior, który później nie przypominał sobie (lub przynajmniej udawa ł, że sobie nie przypomina), wizyty pięknej młodej damy z maja 1855 roku. Pracownicy byli jednak wystarczaj ąco zachwyceni jej urodą, by pamiętać ten fakt dokładnie.

Przybyła eleganckim powozem, z lokajem w liberii, ale do siedziby firmy wesz ła sama. Była wyjątkowo dobrze ubrana i mówi ła rozkazującym tonem. Za żądała widzenia z samym panem Chubbem, i to natychmiast.

Kiedy właściciel zjawił się kilka chwil później, dama poinformowa ła go, że nazywa się lady Charlotte Simms. Ona i jej niepełnosprawny mąż mieszkają w rezydencji w głębi kraju, a plaga kradzieży dokonywanych ostatnio w s ąsiedztwie przekonała ich, że potrzebują pewnego sejfu.

- Przyszła więc pani do firmy produkuj ącej najlepsze urządzenia tego typu - stwierdził pan Chubb.

- Tak mi mówiono wcześniej - powiedziała lady Charlotte, jakby nie była o tym do końca przekonana.

- Bo to szczerza prawda, madam. Wytwarzamy najlepsze sejfy na świecie.

Wszelkie rozmiary i rodzaje, które przewyższają nawet te słynne hamburskie.

- Rozumiem.

- Jakie są pani wymagania?

Tutaj dama, choć na oko w ładcza, zawahała się. Niezdecydowanie gestykulowała rękoma.

- Cóż, jakiś duży sejf, wie pan.

- Madam - zaczął surowo pan Chubb - wytwarzamy sejfy o pojedynczej i

podwójnej grubości, sejfy stalowe i żelazne, na zamki i rygle, przenośne i mocowane na stałe, o kubaturze od sześciu cali po dwanaście jardów sześciennych. Sejfy zamykane na jeden zamek, na dwa, a nawet trzy, jeśli tylko tego sobie życzy klient.

Ta informacja jeszcze bardziej zbiła z tropu lady Charlotte. Wyglądała niemal na zagubioną - zupełnie normalne, gdy kobieta musi poradzić sobie ze sprawami dotyczącymi techniki.

- No cóż - bąknęła. - Nie wiem...

- Może jeśli pani przejrzy nasz katalog, w którym znajdują się ilustracje i opisy budowy oraz zalet poszczególnych modeli...

- Och tak, wspaniale, to doskonały pomysł.

- Tędy, proszę.

Właściciel poprowadził ją do swego biura i posadził przy biurku. Wyciągnął katalog i otworzył go na pierwszej stronie. Dama rzuciła nań okiem.

- Wyglądają na dość małe.

- To tylko rysunki, madam. Proszę zauważyć, że rzeczywiste wymiary są podane obok każdego. Na przykład tutaj...

- Panie Chubb - przerwała mu poważnym tonem. Muszę prosić pana o pomoc.

Rzecz w tym, że mój mąż choruje ostatnio i nie jest w stanie załatwić tej sprawy osobiście.

Prawdę mówiąc, nie wiem nic na temat takich zabezpieczeń i powinnam tu przyjść z

bratem, ale on właśnie wyjechał w interesach za granicę. Czuję się nieco oszołomiona i nie potrafię podjąć decyzji tylko na podstawie tych rysunków. Czy może mi pan pokazać jakie swoje sejfy?

- Madam, proszę mi wybaczyć - rzekł pan Chubb zrywając się, by pomóc wstać

klientce. - Ależ oczywiście. Nie mamy żadnej wystawy, ale jeżeli uda się pani ze mną do warsztatów... I od razu przepraszam za hałas, brud i zamieszanie, które mogą panią razić.

Pokażę zatem sejfy, które wytwarzamy.

Poprowadził lady Charlotte do dużego warsztatu za biurem. Kilkanaście osób zajmowało się tu kuciem, dopasowywaniem i łączeniem elementów. Hałas był tak duży, że pan Chubb musiał krzyczeć, a dama aż się kuliła.

- Ta oto wersja ma kubaturę jednej stopy sześcienną i zbudowana jest z dwóch warstw hartowanej stali grubości jednej szesnastej cala każda, z izolacyjną warstwą ceglanego pyłu pochodzącego z Kornwalii. To wspaniały sejf do wielorakich celów.

- Jest zbyt mały.

- W porządku, madam, zbyt mały. - Przeszli dalej. Ten tutaj jest jednym z naszych najnowszych modeli. Ma jedną warstwę grubości jednej ósmej cala z wewnętrznym zawiasem i o pojemności... - Zwrócił się do pracownika: Jaką ma pojemność?

- Ten ma dwie i pół - odparł zapytany.

- Dwie i pół stopy sześcienną - powtórzył właściciel.

- Wciąż za mało.

- Dobrze, madam. Jeśli pozwoli pani tędy... - To mówiąc powiodł ją dalej.

Lady Charlotte zakasłała delikatnie, ponieważ znalazła się w chmurze pyłu. -

Proszę, ten model...

- Tamten! - rzekła dama wskazując drugi koniec warsztatu. - Taki rozmiar jest mi potrzebny.

- Ma pani na myśli tamte dwa sejfy?

- Tak, tamte.

Przeszli przez pomieszczenie.



- Te sejfy stanowią najlepszy przykład naszego mistrzostwa. Ich właścicielem jest

Bank Huddleston & Bradford i są wykorzystywane do przewozu złota przeznaczonego na Krym, co wymaga najwyższego bezpieczeństwa. Jednak takie modele sprzedajemy głównie instytucjom, a nie osobom prywatnym. Myślę oczywiście...

- Chcę ten sejf - oznajmiła, a następnie przyjrzała się podejrzliwie. - Nie wyglądają na nowe.

- Och, nie, madam. Mają już niemal po dwa lata. To zaniepokoiło lady Charlotte.

- Dwa lata? Dlaczego znalazły się tu z powrotem? Może są uszkodzone?

- Ależ nie. Sejfy Chubba nie miewają uszkodzeń. Zostały po prostu zwrócone w celu wymiany mocujących je sworzni. Dwa z nich urwa ły się. Rozumie pani, wozi si ę je koleją, więc wibracje wpływają na umocowanie sejfów do podłogi wagonu. - Wzruszył ramionami. - Takie szczegóły nie powinny pani martwić. Nic złego się z nimi nie dzieje i nie dokonujemy żadnych zmian. Wymieniamy tylko te nieszczęsne sworznie.

- Widzę, że te mają podwójne zamki.

- Tak, madam. Bank zażądał podwójnych zamków. Jak już wspomniałem, zakładamy także potrójne, jeśli klient tego sobie życzy.

Lady Charlotte popatrzyła na zamknięcia.

- Trzy to chyba przesada. To nudne, przekr ęcać trzy zamki tylko po to, żeby otworzyć sejf. Mam nadzieję, że są niedostępne dla złodziei.

- Absolutnie. Przez dwa lata żaden łotr nawet nie próbowa ł ich otwierać. Byłoby to bezcelowe. Sejfy mają podwójne ściany z hartowanej stali o grubości jednej ósmej cala. Nie ma sposobu na ich sforsowanie..

Dama przyglądała się sejfom w zamyśleniu, aż wreszcie skinęła głową.

- Bardzo dobrze - rzekła. - Wezmę jeden. Proszę go załadować do mojego powozu.

- Słucham?

- Powiedziałałam, że wezmę sejf taki jak ten. Takiego właśnie potrzebuję.

- Madam - powiedział pan Chubb spokojnie - sejf na pani zamówienie musimy dopiero wykonać.

- To znaczy, że nie macie żadnego na sprzedaż?

- Nie, madam, żadnego gotowego. Bardzo mi przykro. Każdy sejf jest robiony według dyspozycji i na indywidualne zamówienie klienta.

Lady Charlotte sprawiała wrażenie poirytowanej.

- Więc mogę go zamówić na jutro rano? Pan Chubb omal się nie zachłysnął.

- Jutro rano, hm, zasadniczo potrzeba nam sześć tygodni na zbudowanie sejfu.

Wyjątkowo możemy go zrobić w cztery tygodnie, ale...

- Cztery tygodnie? To przecież miesiąc.

- Tak, madam.

- Ale ja chcę go kupić jutro.

- Tak, madam, ale jak starałem się wyjaśnić, każdy sejf musi zostać skonstruowany, a najkrótszy czas...

- Panie Chubb, musi mnie pan brać za kompletną idiotkę. Wyjaśnię więc panu.

Przybyłam tu w celu zakupu sejfu, a teraz stwierdzam, że nie macie żadnego na sprzedaż...

- Madam, proszę...

- ...ale wykonacie go dla mnie w ciągu "zaledwie miesiąca". Przez ten czas, co jest

bardzo prawdopodobne, okoliczni bandyci zjawią się i znikną, a wówczas pański sejf nie będzie już do niczego potrzebny ani mnie, ani mojemu mężowi. Załatwię tę sprawę gdzie indziej. Do widzenia panu i dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

Po tych słowach lady Charlotte opuściła siedzibę firmy, a pan Laurence Chubb

junior zamruczał podobno pod nosem:

- Ach, te kobiety.

W taki oto sposób Pierce i Agar dowiedzieli się, że w ramach naprawy nie wymieniono zamków. Chodziło im jedynie o tę informację, więc teraz zajęli się ostatecznymi przygotowaniem do skoku, który miał nastąpić 22 maja 1855 roku.

## ROZDZIAŁ 31

### WAŻ SYPIE

Tydzień później ich plany znów zostały zakłócone. Dnia maja Pierce'owi dostarczono list, napisany wprawną ręką człowieka wykształconego.

Drogi Panie,

Byłbym niezwykle zobowiązany, gdyby zechciał Pan spotkać się ze mną przy

Pałacu w Sydenham dzisiaj o czwartej po południu w celu omówienia pewnych spraw interesujących nas obu.

Z głębokimi wyrazami szacunku William Williams Pierce skonsternowany oglądał kartkę. Pokazał ją Agarowi. Ten nie umiał jednak czytać, więc dżentelmen odczytał mu ją na głos. Kasiarz przyjrzał się równym rzędom liter.

-\* Clean Willy skołował do tego gryzipióra - stwierdził.

- Najwidoczniej - zgodził się Pierce. - Ale po co?

- Może chce cię naciskać.

- Jeśli tylko o to chodzi, to będę szczęśliwy.

- Zamierzasz się z nim spotkać?

- Oczywiście. Będziesz mnie obstawiał?

Agar przytaknął.,

- Chcesz Barlowa? Dobra pałka zaoszczędzi wielu kłopotów.

- Nie - rzekł Pierce. - Możemy tylko ściągnąć je sobie na głowę.

- W porządku, będę cię obstawiał. W pałacu to nic trudnego.

- Jestem pewien, że Willy też wie o tym - rzekł ponuro Pierce.

Należy powiedzieć coś o Crystal Palace, tej zadziwiającej budowli, która symbolizuje czasy połowy wieku dziewiętnastego. Nadzwyczajny, trzypiętrowy szklany olbrzym, zajmujący dziewiętnaście akrów, został wzniesiony w Hyde Parku w roku 1851, aby pomieścić Wielką Wystawę Przemysłu Wszystkich Narodów. Robi ło wrażenie na każdym, kto go ujrza ło. Widok ponad miliona stóp kwadratowych szk ła migocącego w popołudniowym słońcu musiał oszalać. Nic więc dziwnego, że pałac reprezentował nowoczesną myśl techniczną nowego, przemysłowego społeczeństwa epoki wiktoriańskiej.

Ta wspaniała budowla powstała jednak w dość przypadkowy sposób. Plan zorganizowania Wystawy Światowej rzucił sam książę Albert w roku 1850. Wkrótce zaczęto się spierać, czy pomysł jest sensowny, a jeśli tak, to gdzie właściwie ekspozycję umieścić.

Z całą pewnością w ogromnym budynku. Ale co to ma być za gmach i gdzie?

Ogłoszono konkurs, na który nadeszło ponad dwieście projektów, ale żaden nie zwyciężył. Tak więc komitet budowy stworzył własny plan: konstrukcja, istny potwór z cegły, miała być czterokrotnie dłuższa od Westminster Abbey i szczyścić się kopułą większą niż wieńcząca Świętego Piotra a wzniesie się ją w Hyde Parku.

Społeczeństwo sprzeciwiało się zniszczeniu drzew, niedogodnościom dla jeźdźców i zmianie krajobrazu. Parlament zaś nie kwapił się z pozwoleniem na zamianę Hyde Parku w plac budowy.

Jednocześnie komitet budowy obliczył, że na realizację tej koncepcji trzeba by dziewiętnastu milionów cegieł. Latem roku 1850 nie było już czasu, żeby ich aż tyle wyprodukować i zbudować halę w terminie. Krążyły nawet pogłoski, że wystawa będzie musiała zostać odwołana, a co najmniej odłożona.

W tym właśnie momencie ogrodnik diuka Devonshire Joseph Paxton - podsunął myśl, żeby wystawić ogromną szklarnię, która by pełniła rolę hali wystawowej. Jego projekt, narysowany na świstku poplamionego papieru, został zaakceptowany przez komitet, bo miał liczne zalety. Po pierwsze, nie trzeba będzie wycinać drzew w Hyde Parku; po drugie, szkło, podstawowy budulec, można wyprodukować szybko; po trzecie wreszcie, wystawa się skończy, a budowlę można będzie rozebrać i ponownie złożyć w innym miejscu. Komitet zaakceptował ofertę przedsiębiorstwa, które zażądało 79 800 funtów za wybudowanie szklarni. Wzniesiona w siedem miesięcy, zyskała aplauz niemal całego świata.

Tak więc reputacja narodu i imperium została uratowana przez ogrodnika, który w rezultacie otrzymał tytuł szlachecki.

Po wystawie halę rozebrano i przeniesiono do Sydenham w południowo-wschodniej części Londynu. W tamtych czasach Sydenham było miłym przedmieściem z ładnymi domami i otwartą przestrzenią. Crystal Palace stał się wspaniałym akcentem tej przestrzeni. Tuż przed godziną czwartą Edward Pierce wszedł tam, aby spotkać się z Cleanem Willym Williamsem.

Gigantyczna hala mieściła kilka stałych ekspozycji, z których największe wrażenie robiły pełnowymiarowe reprodukcje ogromnych egipskich posągów Ramzesa II z Abu Simbel.

Pojawił się tylko jeden nieprzewidziany problem z Crystal Palace. Wewnątrz

budynku rosną drzewa, a na nich żyły wróble, których nie dało się usunąć. Nie ma się z czego śmiać, zwłaszcza że nie można ich było wystrzelać, a pułapki okazały się nieskuteczne. Wreszcie skonsultowano sprawę z samą królową, a ona rzekła: "Poślijcie po księcia Wellingtona". Książę zapoznany z problemem podsunął: "Proszę spróbować sokołów, madam" - i po raz kolejny miał rację.

Pierce nie zwracał jednak uwagi ani na posągi, ani na stawy i baseny z liliami.

Odbywał się właśnie koncert orkiestry dętej. Dżentelmen ujrzał deana Willy'ego w rzędzie z lewej. W rogu naprzeciw Agar, przebrany za oficera armii w stanie spoczynku, udawał, że drzemie. Orkiestra grała głośno. Pierce zajął miejsce obok węża.

- Co jest? - zapytał zniżonym głosem. Popatrzył na orkiestrę i aż skrzywił się słuchając jej rzępolenia.

- Potrzebuję hajcu - rzekł Willy.

- Zapłaciłem ci już.

- Potrzebuję więcej.

Pierce obrzucił go zimnym spojrzeniem. Williams się pocił, ale nie dawał po sobie poznać zdenerwowania.

- Pracowałeś, Willy?

- Nie.

- Gadałeś z glinami?

- Nie, przysięgam, że nie.

- Willy, jeśli mnie sypnąłeś, wiesz, że czeka cię cygańska dola.

- Przysięgam - zarzekał się wąż. - Nie puszczam pary z gęby. Potrzebuję tylko piąta czy dwóch i to już będzie koniec.

Orkiestra na znak poparcia dla aliantów zaczęła grać Marsylianę. Kilku słuchaczy

bez oglądy zaczęło gwizdać.

- Pocisz się, Willy - zauważył Pierce.

- Sir, proszę, tylko piątka i to koniec.

Dżentelmen sięgnął do portfela i wyjął z niego dwa banknoty pięciofuntowe.

- Nie kiwaj mnie - ostrzegł. - Bo inaczej zrobię ci to, co będę musiał.

- Dziękuję, sir, dziękuję - wykrztusił Willy i szybko schował pieniądze. - Jeszcze raz dziękuję, sir.

Pierce odszedł. Kiedy znalazł się w parku, szybkim krokiem ruszył w stronę

Harleigh Road. Przystanął, poprawiając cylinder. Znak ten zauważył Barlow, którego dorożka stała na końcu ulicy.

Pierce powędrował dalej powoli, leniwie, jak ktoś chcący zaczerpnąć świeżego

powietrza. Z zamyślenia wyrwał go gwizd i sapanie parowozu. Spoglądając ponad

drzewami i dachami domów, ujrzał unoszący się w powietrzu czarny dym. Odruchowo

spojrzał na zegarek. Był to popołudniowy pociąg linii South Eastern, jadący z Folkestone

w stronę dworca London Bridge.

ROZDZIAŁ 32

# DROBNE INCYDENTY

Pociąg jechał w stronę centrum Londynu i Pierce udał się w tym samym kierunku.

Na końcu Harleigh Road, obok kościoła St Martin's, wziął dorożkę. Na Regent Street wysiadł.

Szedł powoli, nie oglądał się, ale często stawał przed witrynami i obserwował odbicia w szybach.

Nie spodobało mu się to, co ujrzał, ale na to co usłyszał, nie był przygotowany.

Głos był znajomy.

- Edwardzie, drogi Edwardzie!

Jęknąwszy w duchu, odwrócił się w stronę Elizabeth Trent. Była na zakupach w towarzystwie chłopca w liberii, który dźwigał kolorowe pudełka. Elizabeth spłoniła się.

- Och, cóż za miła niespodzianka.

- Tak się cieszę, że cię widzę - rzekł Pierce, kłaniając się i całując ją w rękę.

- Tak, ja... - Wyrwała rękę. - Edwardzie - rzekła biorąc głęboki oddech - Edwardzie, nie wiedziałam, co się z tobą stało.

- Muszę prosić o wybaczenie, ale zostałem nagle wezwany za granicę w interesach. Czy mój list z Paryża nie uleczył twych zranionych uczuć? - skłamał gładko.

- Z Paryża?

- Tak. Czyżbyś nie otrzymała ode mnie listu?

- Ależ nie.

- Do diabła! - zaklął Pierce i natychmiast przeprosił za niestosowne słowa. - To ci Francuzi. Są tak okropnie nieudolni. Gdybym tylko wiedział, ale nawet nie podejrzewałem... A kiedy nie odpisałaś, doszedłem do wniosku, że gniewasz się na mnie...



- Ja? Gniewam się? Edwardzie, zapewniam cię... zaczęła, ale urwała. - A kiedy wróciłeś?

- Zaledwie trzy dni temu - oświadczył.

- Jakież to dziwne - powiedziała panna Trent z nagłą, zupełnie niekobiecą przenikliwością. - Pan Fowler był na jakimś obiedzie dwa tygodnie temu i mówił, że spotkaliście się tam.

- Nie zwykłem plotkować na temat wspólnych pracowników twego ojca, ale Henry ma godny ubolewania zwyczaj mylenia dat. Nie widziałem się z nim od niemal trzech miesięcy. A jak się miewa pan Trent? - dodał szybko.

- Mój ojciec? Och, mój ojciec ma się dobrze, dziękuję. Jej dociekliwość przerodziła się w bolesne zmieszanie. Edwardzie, ja... Prawdę mówiąc mój ojciec wyrażał się o tobie raczej niepocholebnie.

- Doprawdy?

- Tak. Nazwał cię łajdakiem. - Westchnęła. - A nawet jeszcze gorzej.

- Rozumiem to w pełni. W takich okolicznościach. Ale...

- Ale teraz... - przerwała mu Elizabeth z nagłą determinacją - skoro wróciłeś do Anglii, wierzę, że spotkamy się u nas w domu.

W tym momencie Pierce wyraźnie się zmieszał.

- Moja droga Elizabeth - zaczął jękając się. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć - urwał kręcąc głową. Miała wrażenie, że w oczach zakreśliły mu się łzy. - \* Kiedy w Paryżu nie otrzymywałem od ciebie żadnej wiadomości, doszedłem do wniosku, że odrzuciłaś mnie i... i minęło sporo czasu...

- Pierce nagle się wyprostował. - Przykro mi, ale muszę cię poinformować, że jestem zaręczony.

Elizabeth Trent oniemiała. Aż otworzyła usta.

- Tak, to prawda. Dałem słowo.

- Ale komu?

- Francuskiej damie.

- Francuskiej damie?

- Tak, stało się. Byłem desperacko nieszczęśliwy, rozumiesz.

- Rozumiem, sir - warknęła, wykręciła się nagle na pięcie i odeszła.

Pierce stał na chodniku, starając się sprawiać wrażenie skruszonego, dopóki

Elizabeth nie wsiadła do powozu i nie odjechała. Później ruszył dalej Regent Street.

Gdyby go ktoś teraz obserwował, nie zauważyłby w nim cienia skruchy i wyrzutów

sumienia. Wsiadł do dorożki i pojechał na Windmill Street, gdzie wszedł do domu

powszechnie znanego jako dom uciech, ale o dość wysokim standardzie.

W holu wysłanym aksamitem panna Miriam poinformowała go:

- Jest na górze. Trzecie drzwi po prawej.

Pierce wszedł na piętro i skierował się do wskazanego pokoju. Siedział w nim

Agar i żuł miętę.

- Trochę późno - rzekł kasiarz. - Jakież kłopoty?

- Wpadłem na starą znajomą. Agar pokręcił głową z dezaprobatą.

- Co widziałeś? - zapytał Pierce.

- Namierzyłem dwóch. Obaj siedzieli ci na ogonie. Jeden to policjant w cywilu,

drugi zaś ubrany jak dandys. Szli za tobą całą Harleigh i wzięli dorożkę, kiedy odjechałeś.

Pierce skinął głową.

- Widziałem tych samych na Regent Street.

- Pewnie czają się teraz gdzieś na zewnątrz. Jak tam Willy?

- Wygląda na to, że kręci.
  - Co więc z nim zrobić? - zapytał Agar.
  - Dostanie to, na co zasługuje każdy kapuś.
  - Ja bym go załatwił.
  - Mogę cię zapewnić, że nie będzie miał już okazji, żeby nas sypnąć.
  - A co zrobimy z tymi policjantami?
  - Na razie nic. Muszę się zastanowić. Usiadł, zapalił cygaro i w milczeniu się zaciągał. Zaplanowany skok miał się odbyć już za pięć dni, a policja była na ich tropie. Jeśli Willy wyśpiewał, policja wie, że jego gang w łamał się do biura na dworcu London Bridge.
  - Potrzebuję nowego skoku - oznajmił i popatrzył w sufit. - Dużego skoku, który odkryje policja.
- Patrzył na dym unoszący się z cygara i marszczył brwi.

## ROZDZIAŁ 33

# POLICJA NA TROPIE

W każdym społeczeństwie działają grupy, które mimo przeciwstawnych celów są ze sobą powiązane. Prawdopodobnie najbardziej wyrazistym tego przykładem była w epoce wiktoriańskiej rywalizacja pomiędzy kręgami ludzi wstrzemięźliwych i tych, którzy przesiadywali w pubach. Ich dążenia zaczęły mieć podobny wyraz - w pubach i miejscach spotkań abstynentów pojawiły się te same atrakcje. Puby wprowadziły organy, śpiewanie hymnów i napoje bezalkoholowe, natomiast abstynenci - zawodowych zabawiaczy oraz nieskrępowaną rozrywkę. A gdy propagatorzy trzeźwości zaczęli sami kupować puby by oczyścić je z nieobyczajności, dokonało się kompletne przemieszanie tych dwóch wrogich sobie sił.

W nowej instytucji publicznej - zorganizowanych siłach policyjnych - można było zaobserwować podobny proces. Niemal natychmiast ta nowa siła, dążąc do jak najlepszego wypełniania swych obowiązków, zaczęła nawiązywać stosunki ze swym głównym przeciwnikiem - kryminalistami. Związki te były przedmiotem społecznej krytyki już w dziewiętnastym wieku i trwają do dziś. Podobieństwo metod postępowania kryminalistów oraz policjantów, a także fakt, że wielu funkcjonariuszy popełniało wcześniej przestępstwa, dostrzegano już wówczas. Sir James Wheatstone zauważył, że dla instytucji strzegącej prawa to problem natury logicznej, "ponieważ gdyby policji się udało wyeliminować wszystkich przestępców, jednocześnie wyeliminowałyby siebie samą jako zbędnego już pomocnika społeczeństwa, a przecież żadna zorganizowana siła ani instytucja nie zlikwiduje się z własnej woli".

W Londynie Metropolitan Police, założona przez sir Roberta Peela w roku 1829, miała główną siedzibę w dzielnicy Scotland Yard. Pierwotnie była to nazwa geograficzna, określająca obszar Whitehall, gdzie stało wiele budynków rządowych, a wśród nich

oficjalna rezydencja Inspektora Prac dla Koro ny, zajmowana przez Inigo Jonesa, a później sir Christopera Wrena. W Scotland Yardzie mieszkał John Milton, gdy pracował dla Olivera Cromwella w latach -1651, i zapewne z tego powodu dwieście lat później policjantów nazywano "miltonianami".

Kiedy sir Robert Peel zorganizowa ł główny komisariat nowej Metropolitan Police w Whitehall, jego adres brzmiał Whitehall Place 4, ale wej ście było od strony Scotland Yardu. Prasa tak du żo pisała o policji ze Scotland Yardu, a ż nazwa ta sta ła się synonimem całej instytucji.

Scotland Yard rozrastał się szczególnie intensywnie w początkowych latach działalności. W roku 1829 liczył 1000 funkcjonariuszy, ale dziesi ęc lat później było ich już 3350, w roku 1850 liczba ta si ęgnęła 6000, a w 1870 a ż 10000 osób. Zadania, policji nie były łatwe. Miała zwalczać przestępczość na obszarze niemal siedmiuset mil kwadratowych, na których żyło dwa i pół miliona ludzi.

Od samego początku Yard oficjalnie ocenia ł swoje sukcesy niezwykle skromnie, twierdząc, iż są one rezultatem jedynie splotu sprzyjających okoliczności! W komunikatach zawsze wspomiano o szczęśliwych przypadkach różnej natury: anonimowym informatorze, zazdrosnej kochance, niespodziewanym spotkaniu. Aż trudno było w to uwierzyć. Tak naprawd ę policja zatrudnia ła wielu informatorów i agentów, którzy nieraz bywali powodem debaty nad łatwością sprowokowania przestępstwa i aresztowania jego uczestników. Prowokacja by ła wtedy gorącym tematem, a Scotland Yard wykręcał się jak mógł, by nie przyznawać się do jej stosowania.

W roku 1855 główną postacią londyńskiej policji był Richard Mayne - "mądry prawnik", który uczynił wiele, by poprawić stosunek społeczeństwa do tej instytucji. Bezpośrednim jego podwładnym był Edward Harranby, i to właśnie on zajmował się

pracą operacyjną z tajnymi agentami oraz siecią informatorów. Harranby zwykle pełnił służbę w nietypowych godzinach. Unikał kontaktów z prasą, a do jego biura przychodziły różne dziwaczne osoby, często w nocy.

Późnym popołudniem 17 maja Harranby przeprowadził rozmowę ze swoim asystentem, Jonathanem Sharpem. Odtworzył ją później we wspomnieniach zatytułowanych "Days in the Force", wydanych w 1879 roku. Należy jednak do tej relacji podchodzić z pewną rezerwą, ponieważ autor starał się wytłumaczyć, dlaczego nie pokrzyżowano planów Pierce'a, zanim zostały wprowadzone w życie.

Sharp zameldował:

- Wąż sygnął i mamy oko na tego faceta.  
- Co to za gość?  
- Wygląda na dżentelmena. Prawdopodobnie włamywacz. Wąż twierdzi, że jest z Manchesteru, ale mieszka w ładnym domu w Londynie.

- Wie gdzie?

- Mówi, że tam był, ale nie zorientował się dokładnie, gdzie to jest. Gdzieś w Mayfair?

- Nie możemy iść i pukać do wszystkich drzwi w tej dzielnicy - stwierdził Harranby. -

A gdyby tak pomóc jego pamięci?

Sharp westchnął.

- Myślę, że nie zawadzi.

- Sprowadź go. Porozmawiam z nim. Wiemy coś więcej o zamierzonym przestępstwie?

Asystent pokręcił głową.

- Wąż mówi, że nie wie. Boi się, wie pan, ociąga, zanim wydusi z siebie cokolwiek.

Jest przekonany, że tamten planuje gruby skok.

Harranby zirytował się.

- Mało mnie obchodzą jego obawy - rzekł. - Co to za skok? To nas interesuje i wymagam dokładnej odpowiedzi. Kto teraz zajmuje się tym dżentelmenem?

- Cramer i Benton, sir.

- Są dobrzy. Niech siedzą mu na karku. Aha, sprowadź do mnie tego informatora, i to szybko.

- Osobiście się tym zajmę, sir - oświadczył Sharp. Harranby napisał później we wspomnieniach: "W życiu zawodowym każdego policjanta bywają takie chwile, gdy wydaje się, że elementy konieczne do procesu dedukcji mają się w zasięgu ręki, a jednak stale się wymykają. Są to chwile największej frustracji, i do takich należała sprawa skoku w 1855 roku".

## ROZDZIAŁ 34

### CYGAŃSKA DOLA

Bardzo zdenerwowany Glean Willy pił w pubie "Hound's Tooth". Wyszedł stamtąd około szóstej i skierował się prosto do Holy Land. Zręcznie przeciskał się przez ciżbę ludzką, skręcił w zaułek, przeskoczył przez płot, wślizgnął się do sutereny, skąd przeczołgał się przejściem do drugiej, w sąsiednim budynku. Tu wspiął się po schodach, wyszedł na wąską uliczkę, zrobił jeszcze kilka kroków i zniknął w innym domu - cuchnącej ruderze.

Wszedł na pierwsze piętro, a potem na dach, przeskoczył na sąsiedni, wdrapał się po rynnie na drugie piętro kolejnej kamienicy i pomaszerował do sutereny. Stamtąd przeczołgał się tunelem na drugą stronę ulicy. Tylnymi drzwiami wszedł do "Golden Arms", rozejrzał się i opuścił pub głównym wyjściem.

Na końcu ulicy skręcił do bramy kolejnego domu. Od razu wiedział, że coś jest nie tak. Zazwyczaj na schodach pełno było wrzeszczących i biegających bachorów, a teraz schody świeciły pustką i panowała cisza. Stał i już się odwracał, aby wziąć nogi za pas, gdy na szyi poczuł pętlę.

Clean Willy dojrzał Barlowa z jasną szramą na czole dopiero wówczas, gdy ten w ciemnym kącie zaciskał linę na jego gardle. Willy krztusił się i szamotał, ale dorożkarz był tak silny, iż bez trudu uniósł go do góry. Nogi Williama utraciły kontakt z podłożem, a ręce rozpaczliwie usiłowały chwycić linę. Na próżno.

Barlow rzucił go na podłogę. Odkręcił sznur, z kieszeni ofiary wyjął dwa pięcioletnie banknoty i wymknął się na ulicę. Ciało węża leżało w kącie bez ruchu.

Minęło sporo czasu, zanim pojawiło się pierwsze dziecko. Ostrożnie podkradło się do zwłok. Później dzieci zdarły z trupa ubranie i uciekły.

ROZDZIAŁ 35



# KIT

Pierce, który wraz z Agarem siedział w pokoju na drugim piętrze kamienicy, zgasił cygaro i wyprostował się na krześle.

- Mamy niezwykle szczęście - rzekł wreszcie.

- Szczęście? Szczęście, że mamy na karku gliny pięć dni przed skokiem?

- Tak, szczęście. Co będzie, jeśli Willy sypnął? Jeśli powiedział, że włamaliśmy się do biura na dworcu London Bridge?

- Wątpię, żeby powiedział aż tyle. Pewnie chce od nich wyciągnąć jak najwięcej.

Sprytny informator zwykł dostarczać wiadomości stopniowo, biorąc od policji pieniądze za każdą z osobna.

- Tak, musimy założyć, że tak właśnie robił - przytaknął Pierce. - To dlatego mamy takie szczęście.

- Gdzie tu szczęście? - nie mógł zrozumieć Agar.

- Ano, London Bridge jest jedyną stacją, na której działają dwie linie. South Eastern i London & Greenwich.

- Tak, to prawda.

- Potrzebujemy kapusia, żeby nas sypnął.

- Chcesz wcisnąć glinom kit?

- Muszę mieć coś, czym się zajmą. Za pięć dni rąbniemy złoto, a nie chcemy, żeby gliny siedziały nam na karku.

- A gdzie mają siedzieć?

- Myślałem o Greenwich. Będzie wesoło, jeśli się przeniosą do Greenwich.

- Potrzebujesz więc kabla, żeby wywieść ich w pole.

- Tak.

Kasiarz dumał przez moment.

- W Seven Dials jest pewna kurewka. Mówi ą, że zna paru gliniarzy. Sypie, kiedy j ą przycisną, czyli często, bo oni to lubią.

- Nie - zdecydował Pierce. - Nie uwierz ą kobiecie. To od początku będzie wyglądało jak podpucha.

- Cóż, jest jeszcze Black Dick, ten koniarz. Znasz go? To Żyd.

- Znam. Black Dick to gazer, zbyt zakochany w ginie. Potrzebuj ę prawdziwego kapusia, człowieka z ferajny.

- A więc dobry będzie Chokee Bili.

- Chokee Bili? Ten stary Irlandczyk? Agar przytaknął.

- Tak. Siedział w Newgate, ale niezbyt długo.

- Doprawdy? - Pierce ożywił się nagle.

Skrócona kara więzienia często oznaczała, że zawarło się układ z policją i kapowało.

- Szybko dostał wyjściówkę, co?

- Niezwykle szybko. A policja dała mu zaraz licencję. Bardzo dziwne, jeśli na dodatek jest się Irlandczykiem.

Właściciele lombardów byli licencjonowani przez policję, która nie kryła swej niechęci do Irlandczyków.

- Więc ma lombard?

- Ano tak. Ale mówią, że sypie.

Pierce zadumał się na chwilę, wreszcie skinął głową.

- Gdzie jest teraz?

- Ma sklep w Battersea, na Ridgeby Way.

- Spotkam się z nim zaraz - stwierdził Pierce wstając. - Muszę wcisnąć mu kit.

- Tylko zrób to jak trzeba - ostrzegł go kasiarz.

Pierce uśmiechnął się.

- Zmuszę ich do ciężkiej pracy. Podeszedł do drzwi.

- Poczekaj! - zawołał za nim Agar, tkni ęty jakąś myślą. A właściwie co cennego można rąbnąć w Greenwich?

- Nad tym właśnie będą się zastanawiać gliny.

- Ale jest, coś takiego?

- Oczywiście.

- Na gruby skok?

- Oczywiście.

- Więc co to takiego?

Pierce pokręcił głową. Uśmiechnął się do zdumionego Agara i wyszedł.

Gdy znalazł się na ulicy, już zmierzcha ło. Natychmiast zauwa żył dwóch gliniarzy czających się naprzeciwko. Udał zdenerwowanego, szybkim krokiem doszedł do przecznicy i wezwał dorożkę.

Przejechał kilka skrzyżowań, wyskoczył na zatłoczonej Regent Street, przebiegł na drugą stronę i wsiadł do powozu jadącego w przeciwnym kierunku. Chciał sprawić wrażenie człowieka, który działa z niezwykłą przebiegłością. W istocie ani mu się śniło gubić ogon w tak prymitywny sposób. Był to numer, który nie gwarantowa ł skutku, więc kiedy Pierce obejrzał się przez tylne okienko dorożki, dostrzegł, że nie pozbył się towarzystwa.

Zajechał do pubu Regency Arms. Wszed ł do środka, natychmiast opuścił go

bocznymi drzwiami i przeszedł na New Oxford Street, gdzie złapał kolejną dorożkę. W ten

sposób zgubił jednego z policjantów, ale drugi wciąż go śledził. Teraz pojechał przez most na Tamizie bezpośrednio do Battersea, aby spotkać się z Chokee Billem.

Pojawienie się Edwarda Pierce'a, eleganckiego dżentelmena, w obskurnym lombardzie może się wydać absurdalne z naszego punktu widzenia. Ale w tamtych czasach nie było w tym nic niezwykłego. Lombardy służyły nie tylko najniższym klasom społecznym. Pełniły rolę zaimprovizowanych banków, które pobierały mniejsze opłaty niż banki prawdziwe. Posiadając drogą rzecz, na przykład płaszcz, można było zastawić go na tydzień, aby spłacić rachunek, odebrać parę dni później, na niedzielę, zastawić ponownie w poniedziałek za nieco mniejsze pieniądze i tak, aż do czasu, gdy usługi lombardu nie były już potrzebne.

Tak więc lombardy pełniły ważną rolę, a ich liczba podwoiła się w połowie wieku. Ludzi średnio zamożnych przyciągała tu raczej anonimowość pożyczki niż korzystne warunki, na jakich jej udzielano. Wiele szanowanych domów uważało za rzecz wstydliwą fakt, że srebra zostały właśnie zastawione. Lepiej było utrzymać rzecz w tajemnicy. Były to przecież czasy, gdy pojęcia "dobra sytuacja materialna" i "moralność" stanowiły nieledwie synonimy. W związku z tym zaciągnięcie pożyczki uchodziło za swego rodzaju czyn karygodny.

Sami właściciele lombardów właściwie nie byli osobami podejrzanymi, ale mieli taką reputację. Kryminaliści chcący sprzedać lewy towar zwracali się nie do nich, lecz do nielicencjonowanych fanciarzy, których policja nie rejestrowała, toteż istniało mniejsze prawdopodobieństwo, że są pod obserwacją. Tak więc nie było w tym nic dziwnego, że Pierce znalazł się w lombardzie.

Chokee Bili, Irlandczyk o czerwonej twarzy, siedział w kącie, lecz poderwał się na równe nogi, widząc tak znakomitego klienta.

- Dobry wieczór, sir - rzekł.
  - Dobry wieczór.
  - W czym mogę panu pomóc? Pierce rozejrzał się po sklepie.
  - Jesteśmy sami?
  - Sami, sir, albo ja nie mam na imię Bili. Na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia.
  - Chciałbym dokonać pewnego zakupu - powiedział dżentelmen z portowym liverpoolskim akcentem.
  - Pewnego zakupu...
  - Pewnych rzeczy, które może pan mieć.
  - Widzi pan mój sklep, sir - powiedział Chokee Bili rozkładając ręce. - Wszystko znajduje się przed panem.
  - Czy aby wszystko?
  - Tak, sir, wszystko. Pierce wzruszył ramionami.
  - Musiano mnie niewłaściwie poinformować. Do widzenia panu.
- Odwrócił się i był już niemal w drzwiach, gdy w właściciel lombardu zakasłał i zapytał:
- O czym to pana poinformowano? Dżentelmen obejrzał się.
  - Potrzebuję pewnej rzeczy, o którą trudno.
  - O którą trudno... - powtórzył Bili. - Jakiego rodzaju, sir?
  - Z metalu. - Pierce patrzył sprzedawcy prosto w oczy. Uznał wszystkie te podchody za nudne, ale konieczne, by przekonać Billa o autentyczności transakcji.
  - Mówi pan, że z metalu?

Dżentelmen uczynił rękoma gest zniecierpliwienia.

- Chodzi o obronę, rozumie pan.

- Obronę...

- Posiadam biżuterię i inne kosztowności... I dlatego chcę się zabezpieczyć.

Rozumie pan, w czym rzecz?

- Rozumiem. Mogę mieć te przedmioty, których pan potrzebuje.

- Właściwie - zaczął Pierce, rozglądając się znowu, jakby chcąc się upewnić, że są rzeczywiście sami - potrzebuję pięciu.

- Pięciu gnatów? - Oczy Billa rozszerzyły się ze zdziwienia.

Teraz, kiedy było już jasne, o co chodzi, Pierce stał się nerwowy.

- Tak - przyznał, rozglądając się niepewnie. - Potrzebuję dokładnie pięciu.

- Pięć to sporo - stwierdził właściciel lombardu marszcząc brwi.

Pierce natychmiast skierował się w stronę drzwi.

- Cóż, jeśli nie może ich pan załatwić...

- Proszę poczekać. Nie mówię, że nie mogę. Powiedziałem tylko, że pięć to sporo. I to prawda.

- Powiedziano mi, że ma to pan pod ręką - rzekł Pierce, wciąż zdenerwowany.

- Mogę mieć.

- Więc chciałbym kupić je od razu. Chokee Bili westchnął.

- Nie mam tego tutaj, sir. Nie można trzymać gnatów w lombardzie, ale proszę na mnie liczyć.

- Jak szybko je dostanę?

Podczas gdy Pierce stawał się coraz bardziej niespokojny, właściciel nabierał zaufania do niego. Pierce niemal widział, jak pracuje umysł sprzedawcy, jak przemyśliwa nad zamówieniem. Pięć rewolwerów. Oznaczało to poważny skok; Bili nie

mógł mieć co do tego żadnych wątpliwości. Jako kapuś mógł sporo zarobić, gdyby znał szczegóły dotyczące celu zakupu.

- Szczerze mówiąc, sir, to kwestia kilku dni.

- Nie mogę kupić ich teraz?

- Nie, sir. Musi mi pan dać nieco czasu, a na pewno je pan dostanie.

- Ile czasu?

Zapadła długa cisza. Bili zaczął mrużyć coś pod nosem i liczyć dni na palcach.

- Mogę obiecać, że będą za dwa tygodnie.

- Dwa tygodnie?

- A więc osiem dni.

- To niemożliwe - stwierdził Pierce i zaczął myśleć na głos: - Za osiem dni muszę być w Greenw... - urwał. Nie, osiem dni to za długo.

- Siedem? - zapytał Bili.

- Siedem - powtórzył dzentelmen, wlepiając wzrok w sufit. - Siedem, siedem...

siedem dni... za siedem dni będzie czwartek?

- Tak, sir.

- O której godzinie w czwartek?

- Kwestia czasu, co? - zapytał sprzedawca na pozór niedbale.

Pierce spojrzał na niego chłodno.

- Nie miałem zamiaru być dociekliwy, sir - wyjaśnił niezwłocznie Bili.

- To dobrze. O której w czwartek?

- W południe. Pierce pokręcił głową.

- Nigdy się nie dogadamy. To niemożliwe i...

- Proszę poczekać. A o której pan potrzebuje?

- Nie później niż o dziesiątej rano. Chokee Bili zamyślił się.
- O dziesiątej tutaj?
- Tak.
- I nie później?
- Ani minuty później.
- Przyjdzie pan sam, żeby je odebrać? Dżentelmen ponownie zmierzył go spojrzeniem.
- To nie powinno pana obchodzić. Może pan to załatwić, czy nie?
- Mogę, ale za pośpiech konieczna będzie dodatkowa opłata.
- To bez znaczenia - stwierdził Pierce i dał mu dziesięć złotych gwinei. - Proszę, oto zaliczka.

Chokee Bili popatrzył na monety i obrócił je w dłoniach.

- Rozumiem, że to dopiero połowa.
- Niech tak będzie.
- I reszta zostanie zapłacona w fiksie?
- Tak, w złocie. Bili skinął głową.
- Będzie potrzebna amunicja?
- Jakie to gnaty?
- Webley kaliber 48, z kaburami, jeśli pan sobie życzy.
- Więc będę potrzebował amunicji.
- To dodatkowe trzy gwinee - oznajmił uprzejmie Bili.
- W porządku. - Pierce podszedł do drzwi i zatrzymał się. - Jeszcze jedno. Jeśli, gdy przyjdę w czwartek, gnaty nie będą już czekać, porozmawiamy inaczej.
- Można mi ufać, sir.



- Pogadamy inaczej, jeśli tak nie jest. Proszę to przemyśleć - zagroził wychodząc.

Na zewnątrz nie było całkiem ciemno. Mrok rozświetlały nieco lampy gazowe. Nie widział czającego się policjanta, ale był pewien, że gdzieś tu jest. Wsiadł do dorożki i pojechał na Leicester Square, gdzie zbierali się ludzie na wieczorne przedstawienia.

Wmieszał się w tłum, kupił bilet do teatru i zniknął w kuluarach. Wrócił do domu godzinę później, po trzykrotnej zmianie dorożek, i czterech wizytach w pubach. Był pewien, że zgubił ogony.

ROZDZIAŁ 36

# SCOTLAND YARD

Ranek 18 maja był słoneczny i bardzo ciepły, ale Harranby'ego nie cieszyła ładna pogoda. Działo się bardzo źle. Kiedy dowiedział się o śmierci Cleana Willy'ego, zbeształ swego asystenta Sharpa. Gdy nieco później doniesiono mu, że dżentelmen, o którym wiedzieli tylko tyle, iż nazywa się Simms i mieszka w Mayfair, zgubił ogon, wpadł we wściekłość i oskarżył swych podwładnych, w łącznie z Sharpem, o kompletny brak zarówno rozsądku, jak i elementarnych kwalifikacji.

Teraz panował nad sobą, ponieważ siedział przed nim człowiek, który jako jedyny miał kontakt z Simmsem. Mężczyzna ten pocił się obficie, czerwienił i wyłamywał sobie palce. Harranby zmierzył go wzrokiem.

- A więc, Bili, to bardzo poważna sprawa.

- Wiem, sir, naprawdę wiem.

- Pięć gnatów podpowiada mi, że to coś ważnego i muszę się dowiedzieć o co chodzi.

- Nie mówił zbyt wiele.

- Nie wątpię - rzekł stanowczo Harranby.

Z kieszeni wyjął złotą gwineę i rzucił na blat biurka.

- Spróbuj sobie przypomnieć - zachęcił Billa Chokee.

- Było późno, sir, i z całym szacunkiem, nie czułem się najlepiej - kręcił, wpatrując się w monetę. Policjant wściekłby się, gdyby musiał dać drugą.

- Z tego co wiem, wiele wspomnień odświeża się w pudle.

- Nie zrobiłem nic złego - zaprotestował Bili. - Prowadzę uczciwy interes i nie ma powodu, żeby mnie wsadzać.

- Więc spróbuj sobie przypomnieć, i to szybko. Właściciel lombardu splótł dłonie

na kolanach.

- Przyszedł do mnie koło szóstej. Elegancko ubrany, dobrze wychowany, ale sypał krainą z doków Liverpoolu jak robotnik.

Harranby rzucił spojrzenie stojącemu na uboczu Sharpowi. Nawet on od czasu do czasu potrzebował pomocy, aby zrozumieć slang.

- Miał akcent liverpoolskich marynarzy, a na dodatek używał żargonu przestępców - wyjaśnił asystent.

- Tak, sir, to prawda. Jest z ferajny, to pewne. Chciał, żebym mu załatwił pięć gnatów, a ja mu na to, że to sporo, a on, że musi je mieć szybko. Był zdenerwowany i spieszył się.

- Co mu powiedziałeś? - zapytał policjant.

Nie spuszczał wzroku z informatora. Ktoś z takim doświadczeniem jak Bili wiedział, jak postępować w takiej sytuacji, i umiał kłamać jak z nut.

- Powiedziałem, że pięć to sporo, ale mogę mu je załatwić, tylko w rozsądnym czasie. Zapytał, ile to będzie trwać, a ja mu na to, że dwa tygodnie. Nie odpowiadało mu i powiedział, że potrzebuje szybciej. Powiedziałem osiem dni. To też było za długo. Zaczął mówić, że za osiem dni będzie już w Greenwich, ale zorientował się i urwał.

- W Greenwich? - powtórzył Harranby, marszcząc brwi.

- Tak, sir, miał Greenwich na końcu języka, ale zamilkł i powiedział tylko, że to zbyt długo. Więc ja na to pytam, kiedy musi je mieć. A on, że za siedem dni. Ja na to, że mogę mu je załatwić w siedem dni, a on zapytał, o której. Powiedziałem, że w południe. A on, że południe to za późno. Powiedział, że później niż o dziesiątej.

- Siedem dni - powtórzył policjant. - To znaczy w następny piątek?

- Nie, sir. W następny czwartek, bo to siedem dni od wczoraj.

- Mów dalej.

- Więc mówię, kwękając trochę, że mogę mieć te gnaty na czwartek o dziesiątej.

Powiedział, że niech będzie, ale nie jest kulawy i jeśli kłamuję, dobierze mi się do tyłka.

Harranby ponownie spojrzął na Sharpa. Ten wyjaśnił:

- Ten dzentelmen nie jest głupi i ostrzegł, że jeśli broń nie będzie gotowa do odbioru w ustalonym czasie, zajmie się Billem.

- A co ty na to, Bili?

- Powiedziałem, że mogę to zrobić i obiecuję załatwić sprawę. Dał mi dziesięć fiksovych kół i niech mnie licho, jeśli nie są klawe. Powiedział, że będzie w czwartek i wyszedł.

- Co jeszcze?

- To wszystko.

Zapadła cisza. Przerwał ją wreszcie Harranby:

- Co o tym sądzisz, Bili?

- To na pewno gruby skok. To nie żaden partacz, ale hrabicz.

Policjant nerwowym ruchem potarł ucho.

- Co w Greenwich może być warte dużego skoku?

- Niech mnie licho, jeśli wiem - stwierdził właściciel lombardu.

- A co słyszałeś?

- Dobrze nadstawiam uszu, ale nic nie słyszałem o skoku w Greenwich, przysięgam.

Harranby zawahał się, aż wreszcie rzekł:

- Dostaniesz jeszcze gwineę, jeśli mi coś podsuniesz. Przez twarz Billa przemknął wyraz cierpienia.

- Chciałbym panu pomóc, ale o niczym nie słyszałem. Bóg mi świadkiem, sir.

- Jestem tego pewien - stwierdził Harranby. Poczekał jeszcze chwilę i odprawił właściciela lombardu, który porwał gwineę i zniknął.

Kiedy policjanci zostali sami, Harranby powtórzył:

- Co jest w tym Greenwich?

- Nie mam zielonego pojęcia - rzekł Sharp.

- Może ty też chcesz gwineę?

Asystent nie odpowiedział. Przywykł już do humorów szefa. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko je tolerować. Usiadł w kącie i przyglądał się przełożonemu, który palił papierosa i w zamyśleniu wydmuchiwał dym. Sam uważał papierosy za niewarte zainteresowania. Pojawiły się w Londynie rok temu i były szczególnie popularne wśród wojsk powracających z Krymu. Sharp lubił tylko dobre cygara.

- A więc zacznijmy od początku - Harranby. - Wiemy, że ten gość, Simms, pracuje nad czymś od miesięcy i że spryciarz z niego.

Sharp przytaknął.

- Wąż został zamordowany wczoraj. Czy to oznacza, że wiedzą, iż siedzimy im na ogonie?

- Może.

- Może, może - zirytował się szef. - Może nie wystarczy. Musimy się zdecydować, i to posługując się wyłącznie metodą dedukcji. W naszej pracy nie ma miejsca na zgadywanie. Polegajmy na faktach, dokądkolwiek miałyby nas zaprowadzić. Więc co jeszcze wiemy?

Pytanie było czysto retoryczne i asystent na nie nie odpowiedział.

- Wiemy - ciągnął Harranby - że ten Simms po miesiącach przygotowań w

przededniu grubego skoku potrzebuje jeszcze pięciu gnatów. Miał mnóstwo czasu na zdobycie ich po cichu, po jednym, bez zamieszania. Ale odkładał to do ostatniej chwili.

Dlaczego?

- Sądzi pan, że wodzi nas za nos?

- Musimy rozważyć i tę możliwość. Wszyscy wiedzą, że Bili to kapuś.

- Może.

- Do cholery z twoim może. Wiedzą czy nie?

- Z pewnością podejrzewają.

- Rzeczywiście. A jednak nasz spryciarz, Simms, wybiera właśnie jego, aby

zdobyć pięć gnatów. Mówię ci, że to śmierdzi podstępem. - Ponuro popatrzył na żarzący się koniec papierosa. - Ten Simms chce wywieść nas w pole, a my nie możemy dać się nabrać.

- Jestem pewny, że ma pan rację - rzekł Sharp, mając nadzieję na poprawę humoru szefa.

- Bez wątplenia. Jesteśmy wyprowadzani w pole. Zaległa cisza. Harranby stuknął palcami w blat biurka.

- Nie podoba mi się to. To chyba my jesteśmy zbyt sprytni. Przeceniamy tego Simmsa. Musimy założyć, że rzeczywiście planuje coś w Greenwich. Ale, na miłość boską, co można ukraść w Greenwich?

Asystent pokręcił głową. Greenwich było miastem portowym, jednak nie rozrosło się tak, jak większe porty Anglii. Swą sławę zawdzięczało morskemu obserwatorium, gdzie ustalono miarę czasu dla żeglarzy na całym świecie. Harranby zaczął otwierać szuflady w biurku w poszukiwaniu czegoś.

- Gdzie u licha to jest?

- Co, sir?

- Rozkład, rozkład. A, tutaj leży. - Wyjął małą książeczkę. - London & Greenwich Railway... czwartek... Ha! W czwartki pociąg z dworca London Bridge odjeżdża do Greenwich o jedenastej piętnaście. O czym więc to świadczy?

Oczy Sharpa rozszerzyły się nagle.

- Nasz dżentelmen potrzebuje swoich rewolwerów o dziesiątej, żeby mieć czas na dotarcie do dworca i odjazd tym pociągiem.

- O to chodzi. Logika nakazuje sądzić, że rzeczywiście jedzie w czwartek do Greenwich. Wiemy także, że nie może ruszyć później niż właśnie tego dnia.

- A co z rewolwerami? Kupuje pięć na raz - podsunął Sharp.

- No cóż - zaczął Harranby, ekscytując się coraz bardziej. - Widzisz, metodą dedukcji możemy stwierdzić, że bardzo potrzebuje tej broni, a odwlekanie do ostatniej chwili tak podejrzanego zakupu wypływa z jakiegoś logicznego powodu. Możemy rozpatrywać kilka. Jego plany zdobycia broni inną drogą mogły spalić na panewce. A może uważał jej zakup za niebezpieczny. Wszyscy przecie z wiedzą, że zwracamy baczną uwagę na informacje o handlu nratami, więc odkładał to do ostatniej chwili. Mogą być także inne powody, których nawet się nie domyślamy. Chodzi o to, że potrzebuje tych pukawek do jakiejś akcji w Greenwich.

- Brawo! - zawołał Sharp z entuzjazmem. Harranby spiorunował go wzrokiem.

- Nie bądź głupcem. Zrobiliśmy zaledwie mały krok do przodu. Wci aż nie mamy odpowiedzi na podstawowe pytanie. Co w Greenwich jest godne kradzieży?

Asystent zamilkł. Utkwił wzrok w czubkach butów. Usłyszał chrzęst zapalniczki na drasce, gdy szef przypalał kolejnego papierosa.

- Jeszcze nic straconego - rzekł Harranby. - Zasady dedukcji wci aż mogą okazać

się pomocne. Na przykład możemy wnioskować, że sżykuje się napad. Jeśli był planowany przez wiele miesięcy, musiał uwzględniać jakieś stałe sytuacje, które można przewidzieć na dłuższy czas naprzód. Nie ma tu żadnego przypadku.

Sharp nie spuszczał wzroku z butów.

-: Zdecydowanie nie ma w tym nic przypadkowego ciągnął szef. - Co więcej, możemy dedukować, że to długoplanowe przewidywanie miało zaowocować jakimś wielkim, poważnym przestępstwem, gwarantującym duży łup. W dodatku wiemy, że nasz Simms mówi akcentem marynarzy, ma więc coś wspólnego z morzem i portowymi kryminalistami. Musimy zatem sprowadzić nasze podejrzenia do tego, co znajduje się w Greenwich i pasuje...

Asystent zakaszłał.

Harranby spojrział na niego z dezaprobatą.

- Masz coś do powiedzenia?

- Pomyślałem tylko, że jeśli chodzi o Greenwich, to znajduje się ono już poza naszą jurysdykcją. Może powinniśmy zatelegrafować do lokalnej policji i ostrzec ich.

- Może i może. Kiedy wreszcie nauczysz się nie używać tego słowa? Gdybyśmy zatelegrafowali do nich, co byśmy powiedzieli? No co?

- Pomyślałem tylko...

- Dobry Boże - wykrzyknął szef, podrywając się zza biurka. - Oczywiście! Kabel!

- Kabel?

- Tak, oczywiście, kabel. Kabel jest właśnie w Greenwich.

- Czy chodzi panu o kabel atlantycki?

- Oczywiście - powiedział Harranby zacierając ręce. Pasuje doskonale. Doskonale!

Sharp nie był do końca przekonany. Wiedział, że transatlantycki kabel



telegraficzny jest wytwarzany w Greenwich. Projekt, realizowany od ponad roku, stanowił jedno z największych osiągnięć technologicznych tamtych czasów. Istniał już kabel biegnący przez kanał i łączący Anglię z kontynentem. Nie dało się go jednak porównać z dwoma i pół tysiącem mil kabla, który miał połączyć Anglię z Nowym Jorkiem.

- Ale po co ktoś miałby kraść kabel...

- Nie kabel. Wypłatę firmy. Jak ona się nazywa? Glass, Elliot & Company czy jakoś tak. Niezwykły projekt, więc płace muszą być proporcjonalne do wysiłków. Oto cel naszego Simmsa. A jeśli się spieszy, żeby wyjechać we czwartek, chce być na miejscu w piątek...

- Dzień wypłaty! - zawołał Sharp,

- No właśnie. To całkiem logiczne. Metoda dedukcji doprowadziła do wspaniałych wniosków.

- Moje gratulacje - rzekł roztropnie asystent.

- To drobnostka - stwierdził wciąż podekscytowany Harranby i z radością klasnął w dłonie. - Odważny facet z tego Simmsa. Kradzież pieniędzy na wypłatę - co za bezczelny skok! A my złapiemy go na gorącym uczynku. Chodźmy. Musimy pojechać do Greenwich i osobiście zorientować się w sytuacji.

ROZDZIAŁ 37

# DALSZE GRATULACJE

- I co potem? - zapytał Pierce. Miriam wzruszyła ramionami.
  - Wsiedli do pociągu.
  - Ilu ich było?
  - Czterech.
  - I wsiedli do pociągu do Greenwich? Miriam przytaknęła.
  - W wielkim pośpiechu. Przewodził im grubawy mężczyzna z bokobrodami, a jego podwładny był gładko ogolony. Pozostali dwaj mieli na sobie mundury.
- Pierce uśmiechnął się.
- To Harranby. Musi być z siebie bardzo dumny. To taki sprytny cz łowiek. - Zwrócił się do Agara. - A ty?
  - Fat Eye Lewis, ten knajak, dopytuje się o robotę w Greenwich. Mówi, że chce w nią wejść.
  - Więc już się wydało? Kasiarz przytaknął.
  - Podpuść ich jeszcze - polecił Pierce.
  - Kto ma w tym siedzieć?
  - Spring Heel Jack.
  - A co jeśli gliny go znajdą? - zapytał Agar.
  - Wątpię.
  - Wącha kwiatki od spodu, prawda?
  - Tak słyszałem.
  - Więc wspomnę o nim.
  - Niech Fat Eye zapłaci. To cenna informacja. Kasiarz uśmiechnął się.
  - Będzie go to drogo kosztować, obiecuję ci. Wyszedł i Pierce został sam z Miriam.

- Gratulacje - rzekła z uśmiechem. - Teraz wszystko musi się już powieść.

Usiadł obok. Na jego twarzy także jaśniał uśmiech.

- Zawsze coś może się nie udać - stwierdził.

- W ciągu czterech dni?

- Nawet w ciągu godziny.

Później, w zeznaniach, Pierce przyzna ł, że był zdumiony, jak proroctwo okaza ły się jego słowa. Wyłoniły się bowiem jeszcze poważne przeciwności, i to z zupełnie niespodziewanej strony.

ROZDZIAŁ 38

# SKRZYŃKA MADERY

Henry Mayhew, wielki obserwator i reformator społeczeństwa epoki wiktoriańskiej, a przy tym zawodowy sędzia, stworzył kiedyś listę typów przestępców angielskich. Zawierała pięć podstawowych kategorii i dwadzieścia podtypów, łącznie ponad sto pozycji. Dzisiaj budzi pewne zastrzeżenia, choćby dlatego, że Mayhew pominął małwersantów.

Oczywiście, przestępstwa takie istniały w tym okresie i znaleźć można wiele przykładów skandalicznych defraudacji, fałszerstw, niewłaściwego księgowania, manipulacji obligacjami i innych nielegalnych działań, które wyszły na światło dzienne. W roku 1850 urzędnik ubezpieczeniowy, Walter Watts, został złapany po defraudacji ponad 70000 funtów, a były i znacznie poważniejsze: Leopold Redpath, na przykład, dzięki fałszerstwom ograbił Great Northern Railway Company ze 150000 funtów, a Beaumont Smith zdobył 350000 funtów fałszując obligacje Ministerstwa Skarbu.

Wtedy, tak jak teraz, przywłaszczenia największych sum wykrywano bardzo rzadko, a kary były łagodne, jeśli w ogóle sprawcę udało się schwytać. Jednak Mayhew ignorował całkiem tę dziedzinę przestępczości. Jego zdaniem, a pogląd ten podzielała większość mu współczesnych, przestępczość stanowiła domenę "niebezpiecznych klas" i wywodziła się z biedy, niesprawiedliwości, uciemnienia i ciemnoty. Stąd już krok do stwierdzenia, że osoba nie pochodząca z tego środowiska nie może popełnić przestępstw. Osoby z wyższych klas po prostu "łamią prawo". Kilka czynników obiektywnych dało podstawę do różnego traktowania przedstawicieli tego samego społeczeństwa.

Po pierwsze we wczesnym kapitalizmie powstawało tysiące przedsiębiorstw, które nie dysponowały jeszcze ustalonymi z góry zasadami rzetelnej księgowości, a

stosowane w niej metody były jeszcze bardziej niepewne niż dziś. Człowiek, działając w dobrej wierze, mógł nie dostrzec różnicy między oszustwem a normalnymi praktykami biurowymi.

Po drugie, nowoczesny stróż wszystkich obowiązujących praw - rząd - nie był wyczulony na tego typu sprawy. Dochody osobiste poniżej 150 funtów rocznie nie podlegały opodatkowaniu, a większość społeczeństwa nie przekraczała tego limitu. Ci, którzy byli opodatkowani, jakoś sobie radzili i choć narzekali na konieczność utrzymywania rządu, nie szukali dróg do oszustw podatkowych (w roku 1870 podatki stanowiły 9 procent dochodu narodowego Anglii, a w 1961 było to już 38 procent). Co więcej, Anglicy akceptowali bez zastrzeżeń praktyki, które dzisiaj wydają się oburzające. Na przykład, kiedy sir John Hall, lekarz naczelny oddziałów krymskich, postanowił pozbyć się Florence Nightingale, polecił obciąć jej racje żywnościowe. Ów złośliwy postępek został przez wszystkich uznany za normalny. Panna Nightingale przewidziała to zresztą i przywiozła własne zapasy jedzenia. A Lytton Strachey, twardy zwolennik stosunków panujących w epoce wiktoriańskiej, określił ten incydent jako figiel. Jeśli to był tylko figiel, łatwo zrozumieć, dlaczego opinia publiczna tak rzadko nazywała różne niecne postęпки przestępstwami. A im winowajca stał wyżej w hierarchii społecznej, tym pobłażliwość w tym względzie była większa.

Rozważmy choćby sprawę sir Johna Aldersona i jego skrzynki wina.

Kapitan John Alderson otrzymał tytuł szlachecki po Waterloo, w roku 1815, potem żył w Londynie jako cieszący się poważaniem obywatel miasta. Był jednym z właścicieli South Eastern Railway od początku jej istnienia. Miał także znaczne udziały w kilku kopalniach węgla w Newcastle. Według relacji ten zgryźliwy dżentelmen, mimo tuszy, przez całe życie zachowywał wojskową postawę. Rzucił związane rozkazy w sposób, który

w miarę jak grubasowi przybywało kilogramów, coraz bardziej śmieszył.

Jedyną słabością Aldersona była nałogowa wprost gra w karty. Jako ekscentryk nie grał o pieniądze, ale stawiał różne przedmioty zamiast gotówki. Widocznie dzięki temu uważał grę w karty za rozrywkę godną dżentelmena, a nie nałóg, którym zaraził się w armii. Historia jego skrzynki wina, która zdarzyła się tuż przed Wielkim Skokiem na Pociąg, nie wyszła na światło dzienne aż do roku 1914, a więc dopiero w około czterdzieści lat po śmierci Aldersona. Wtedy to jego rodzina zleciła Williamowi Shawnowi napisanie prawdziwej biografii przodka. W biografii tej czytamy:

Sir John miał bardzo czułe sumienie i tylko raz miał sobie coś do zarzucenia i cierpiał z tego powodu. Pewnego wieczora wrócił z kart bardzo strapiony. Spytany o powód, odparł tylko: "Nie zniosę tego."

Wypytywano go dalej i okazało się, że grał w karty z, kilkoma znajomymi, także udziałowcami kolei. Na swoje nieszczęście przegrał skrzynkę dwunastoletniej madery, ale nie miał najmniejszej ochoty rozstać się z nią. Obiecał jednak załadować dług do pociągu do Folkestone i dostarczyć zwycięzcy, który mieszkał w tym nadmorskim mieście i nadzorował tam działalność firmy.

Sir John denerwował się przez trzy dni, klnąc zwycięzcę i głośno wyrażając podejrzenie, że go podstępnie oszukano. Z każdym dniem był bardziej przekonany o nieuczciwości partnera, chociaż nie istniał na to żaden dowód.

Wreszcie polecił służącemu załadować skrzynkę wina do wagonu bagażowego i dokonać czynności urzędowych związanych z wysyłką. Wino zostało ubezpieczone na wypadek, gdyby skrzynkę uszkodzono lub gdyby zaginęła podczas podróży.

Gdy pociąg dotarł do Folkestone, odkryto, że skrzynka jest pusta. Wino zapewne zostało skradzione. Wywołało to niemałe zamieszanie wśród pracowników kolei.

Strażnika wagonu bagażowego zwolniono z pracy, a w procedurze przewozu poczyniono szereg zmian. Sir John spłacił dług pieniędzmi otrzymanymi z ubezpieczenia.

Po latach przyznał się rodzinie, że do pociągu kazał załadować pustą skrzynkę, ponieważ, jak twierdził, nie mógł rozstać się ze swą cenną i ulubioną maderą. Dręczyły go jednak wyrzuty sumienia, szczególnie żałował zwolnionego pracownika, któremu przez wiele lat płacił pensję znacznie przewyższającą wartość wina.

Jednak do śmierci nie czuł się winny, że oszukał partnera, który wygrał, niejakiego Johna Banksa. Wprost przeciwnie. W ostatnich dniach pobytu na tej ziemi, gdy leżał w łóżku bredząc w gorączce, często słyszano, jak wykrzykiwał: "Z tego cholernego Banksa żaden dżentelmen i niech mnie licho, jeśli dostanie moją maderę, słyszycie?" Pan Banks nie żył już wtedy od kilku lat.

Mówiono, że wielu najbliższych znajomych sir Johna podejrzewało, iż sam maczał palce w tajemniczym zniknięciu wina, ale nikt nie ośmielił się go o to oskarżyć. Dokonano natomiast pewnych usprawnień w systemie zabezpieczeń przewożonych kolejną ładunków (przede wszystkim na życzenie agencji ubezpieczeniowej). A kiedy wkrótce potem z pociągu skradzione zostało złoto, wszyscy zapomnieli o sprawie wina sir Johna, z wyjątkiem jego samego, ponieważ sumienie gryzło go do ostatnich dni życia. Taka była siła charakteru tego człowieka.

## ROZDZIAŁ 39

### ZNOWU TRUDNOŚCI

Wieczorem 21 maja, na kilka godzin przed skokiem, Pierce jadł obiad z Miriam w domu na Mayfair. Tuż przed dziewiątą trzydzieści ich posiłek przerwało nagłe przybycie Agara, który sprawiał wrażenie bardzo przestraszonego. Wpadł do jadalni i nawet nie

przeprosił za najście.

- Co się stało? - zapytał spokojnie gospodarz.

- Burgess - wydusił kasiarz ostatkiem tchu. - Burgess jest na dole.

Pierce zmarszczył brwi.

- Przyprowadziłeś go tutaj?

- Musiałem. Poczekaj, aż usłyszysz.

Gospodarz wstał od stołu i zszedł na dół do palarni. Stał tam strażnik kolejowy i miętosił w dłoniach swą niebieską czapkę. Był tak samo zdenerwowany jak Agar.

- Jakies kłopoty?

- Chodzi o linię - odparł Burgess. - Zmienili wszystko, i to dziś, dokładnie wszystko.

- Co takiego zmienili? - zdziwił się Pierce. Strażnik zalał go potokiem słów:

- Dowiedziałem się o tym dziś rano, rozumie pan. Przyszedłem do pracy dokładnie o siódmej, patrzę, a w wagonie jakiś ślusarz tłucze i stuka. Był z nim kowal i jacyś mężczyźni, przyglądający się ich pracy. Tak się dowiedziałem, że zmienili wszystko, i to dzisiaj. Zmieniło się to, co uważaliśmy za pewne i nie wiem...

- Co dokładnie zmienili? Burgess zaczerpnął powietrza.

- Zabezpieczenia. Cały porządek, jaki znamy. Wszystko zmienione.

Pierce zaczął: się już niecierpliwić.

- Powiedz mi dokładnie, co zmienili - polecił. Strażnik ścisnął czapkę w dłoniach, aż zbieleły mu palce.

- Po pierwsze jest nowy strażnik, który dzisiaj zaczął pracę, i to młody.

- Jedzie z tobą w wagonie bagażowym? - Nie, sir. Pracuje tylko na dworcu.

Pierce rzucił spojrzenie Agarowi. To, że na peronie było więcej strażników, nie miało żadnego znaczenia. Mógł ich być i tuzin.



- Co z tego?

- Jest nowy przepis.

- Jaki przepis?

- Nikt nie jedzie ze mną w wagonie бага żowym. Właśnie taki przepis, a nowy strażnik jest za to odpowiedzialny.

- Rozumiem - rzekł Pierce.

To rzeczywiście stanowiło istotną zmianę.

- Jest jeszcze coś - oznajmił ponuro Agar.

- Tak? - zainteresował się gospodarz.

- Zakładają kłódkę na drzwi od wagonu. Można ją otworzyć tylko z zewnątrz.

Zamykają ją na dworcu London Bridge, a otwierają dopiero w Folkestone.

- Cholera - zaklął Pierce. Zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju. - A co z innymi postojami? Pociąg zatrzymuje się w Redhill i w...

- ...zmienili przepisy - przerwał strażnik. - Wagon nie jest otwierany aż do Folkestone.

Pierce spokojnie wypytywał dalej.

- Dlaczego zmienili dotychczasowe zasady?

- To z powodu popołudniowego pospiesznego - wyjaśnił Burgess. - Są dwa pospieszne: ranny i popołudniowy. Wygląda na to, że popołudniowy został w zeszłym tygodniu obrobiony. Pewnemu dżentelmenowi skradziono jakimś sposobem cenną paczkę z rzadkim winem, przynajmniej tak słyszałem. W każdym razie wniósł zażalenie czy COŚ takiego. Tamten strażnik został zwolniony, a w robocie jest piekło. Sam nadzorca ruchu wezwał mnie dziś rano, strasznie zbeształ i ostrzegł przed czającymi się wokół zagrożeniami. O mało co mnie nie pobił. A ten nowy strażnik na peronie to jego

siostrzeniec. To on zamyka mnie na London Bridge, tuż przed odjazdem pociągu.

- Rzadkie wina - powiedział Pierce. - Boże drogi, rzadkie wina. Czy Agar może dostać się do środka wagonu?

Kolejarz pokręcił głową.

- Jeśli będzie tak jak dzisiaj, to nie. Ten siostrzeniec, który nazywa się McPherson, to Szkot, na dodatek gorliwy i bardzo zależy mu na robocie. Kiedy mu się przyglądałem, kazał otwierać każdą paczkę i skrzynię, w której mógłby zmieścić się człowiek. Była nawet z tego powodu spora awantura. Straszny z niego pedant. Jest nowy i chce akuratnie wykonać robotę.

- Możemy odwrócić jego uwagę, żeby Agar wślizgnął się, kiedy nie będzie patrzeć?

- Nie będzie patrzeć? On ma bez przerwy oczy szeroko otwarte. Wygląda jak głodny szczur, szukający plasterka sera. Rozgląda się przez cały czas na wszystkie strony. A kiedy cały bagaż jest załadowany, wchodzi do środka, sprawdza po kątach, czy nikogo nie ma, wychodzi i zamyka drzwi.

Pierce wyjął z kieszeni zegarek. Była już dziesiąta. Do odjazdu porannego pociągu do Folkestone pozostało dziesięć godzin. Potrafiłby wymyślić wiele sprytnych sposobów na wykiwanie uważnego Szkota, ale trudno było zaaranżować coś w tak krótkim czasie.

Kasiarz, którego twarz wyrażała przygnębienie, musiał pomyśleć to samo. Bąknął:

- Czy nie powinniśmy odłożyć tego na następny miesiąc?

- Nie - Pierce'a już nurtował inny problem. - Jeśli chodzi o tę kłódkę założoną przy drzwiach. Czy można ją otworzyć od wewnątrz?

Burgess ponownie zaprzeczył.

- To kłódka, którą przekładają przez zasuwę i metalową kłamkę.

Pierce wciąż chodził po pokoju.

- Może zostać otwarta na jednym z postojów, powiedzmy w Redhill, i zamknięta w Tonbridge?

- Ryzykowne - o świadczył Burgess. - To potężna kłoda, duża jak pięść, więc mogą zauważyć.

Gospodarz nie zatrzymywał się nawet na moment. Przez dłuższy czas jego kroki na dywanie i cykanie zegara na kominku były jedynymi odgłosami w pokoju. Agar i Burgess obserwowali go bez słowa. Wreszcie rzekł:

- Jeśli drzwi wagonu są zamknięte, którędy dostaje się do środka powietrze?

Strażnik, nieco zmieszany, odparł:

- Jest tam wystarczająco dużo powietrza. Wagon jest zrobiony byle jak i kiedy pociąg się rozpędzi, wieje przez szpary i dziury z takim hałasem, że aż uszy bołą.

- Chodzi mi o to, czy w wagonie jest jakaś aparatura wentylacyjna?

- Cóż, w dachu są wywietrzniki...

- Gdzie dokładnie? - zapytał Pierce.

- Te wywietrzniki? No, prawdę mówiąc, to nie prawdziwe wywietrzniki, bo brakuje im zawiasów. Wiele razy marzyłem, żeby je miały, szczególnie kiedy padało, bo jak pada, w środku robią się kałuże wody...

- Jak wyglądają? - przerwał mu Pierce. - Nie ma czasu.

- Wywietrzniki? Zazwyczaj to kłapa w dachu na zawiasach, gdzieś na środku, a wewnątrz jest pręt, żeby było czym otwierać i zamykać. W wagonach są dwa wywietrzniki, takie prawdziwe, i otwiera się je na przeciwne strony. Żeby wiało tylko przez jeden. W innych oba wywietrzniki są na tę samą stronę, ale o to niech się martwią na bocznicach, bo wagon musi być przyczepiony zgodnie z kierunkiem jazdy i...

- A więc w wagonie bagażowym są też dwa takie wywietrzniki?

- Tak. Ale to nie są prawdziwe wywietrzniki, bo ci ągle są otwarte. Rozumie pan, nie ma tam zawiasów, więc kiedy pada deszcz, woda leci do środka...

- Można się przez nie dostać bezpośrednio do wnętrza wagonu?

- Można, prosto na dół. - Strażnik urwał na chwilę. Ale jeśli pan myśli, że facet się przez nie przecisnie, to co to, to nie.

- Nie myślę - rzekł Pierce. - Mówisz, że są dwa. Gdzie?

- Na dachu, jak mówiłem, na środku i...

- Gdzie w stosunku do długości wagonu?

To, że gospodarz ciągle chodzi i tak obcesowo o wszystko pyta, tak zdenerwowało Burgessa, który bardzo się starał pomóc, że pogubił się zupełnie.

- Gdzie... w stosunku... - powtórzył. Do rozmowy wtrącił się Agar:

- Nie wiem, o czym myślisz, ale boli mnie kolano, i to lewe, a to zawsze zły znak.

Mówię ci, rzuć tę całą robotę i już.

- Zamknij się - rzucił Pierce z takim gniewem, że kasiarz cofnął się o krok. Pierce zwrócił się znów do strażnika: - No, jeśli spojrzysz na wagon z boku, wygląda jak pudełko, duże pudełko. A na górze są wywietrzniki. Gdzie dokładnie się znajdują?

- To nie są prawdziwe wywietrzniki. Tamte są na obu końcach wagonu, żeby powietrze mogło przelecieć od jednego końca do drugiego. Tak jest podobno najlepiej...

- A gdzie są wywietrzniki w wagonie bagażowym? ponaglił go Pierce spoglądając na zegarek. - Obchodzi mnie tylko ten wagon.

- W tym cały problem. Są blisko środka, nie dalej od siebie niż trzy kroki. I nie mają zawiasów. Więc kiedy pada, w dół kapie woda, prosto na środek wagonu i robi się wielka kałuża.

- Mówisz, że wywietrzniki są od siebie oddalone o jakieś trzy kroki?

- Trzy, mo że cztery, coś koło tego. Nigdy nie sprawdza łem, ale wiem, że ich nie cierpię i dlatego...

- W porządku - uciął gospodarz. - Powiedziałaś mi to, co chciałem wiedzieć.

- Cieszę się - w głosie Burgessa zabrzmiała ulga. Ale przysięgam, nie ma sposobu, żeby człowiek wszedł przez tę dziurę, a kiedy mnie zamkną...

Pierce przerwał mu gestem dłoni i zwrócił się do Agara.

- Ta kłódka na zewnątrz... Trudno będzie ją otworzyć?

- Nie wiem. Ale kłódka to raczej fraszka. Zazwyczaj są mocne, lecz toporne. Można użyć małego palca jako agrafki i otworzyć w mig.

- A ja mógłbym? Kasiarz utkwiał w nim wzrok.

- Dość łatwo, może ci to jednak zaj ąć minutę lub dwie. - Zmarszczył brwi. -

Słyszałeś, co on mówił. Nie warto ryzykować na postojach, więc po co...

Pierce odwrócił się znowu do Burgessa.

- Ile wagonów drugiej klasy jest w porannym pociągu?

- Nie wiem dokładnie. Sześć, ale czasami mniej. Siedem bliżej weekendu.

Czasami w środku tygodnia podczepiają pięć, ale ostatnio sze ść. A jeśli chodzi o pierwszą klasę, to...

- Nie obchodzi mnie pierwsza klasa.

Strażnik zamilkł, znowu zmieszany. Pierce popatrzył na Agara, który domyślił się, w czym rzecz i pokręcił głową.

- Matko Boska, zg łupiałaś, jesteś zupełnie kulawy, to jasne jak s łońce. Co ty sobie wyobrażasz, że jesteś Coolidge?

Coolidge był powszechnie znanym alpinistą.

- Wiem, kim jestem - odparł flegmatycznie Pierce.

Jeszcze raz przeniósł wzrok na Burgessa, którego zmieszanie osiągnęło chyba szczyt, tak że teraz stał jak słup soli. Twarz miał nieruchomą i pozbawioną wszelkiego wyrazu.

- A więc nazywa się pan Coolidge? - zapytał. - Mówił pan, że Simms...

- Simms - wyjaśnił gospodarz. - Nasz przyjaciel żartuje sobie tylko. Chcę, żebyś poszedł teraz do domu, przespał się, wstał jutro i przyszedł do pracy jak zwykle. Rób wszystko tak jak zawsze, bez względu na to, co będzie się działo. Pracuj tylko normalnie i o nic się nie martw.

Burgess spoglądał to na Pierce'a, to na Agara.

- A więc robicie jutro skok?

- Tak. A teraz idź do domu i prześpij się.

Kiedy obaj współnicy zostali sami, Agar wybuchnął z furją.

- Niech mnie diabli, jeśli mamy chociaż cień szansy. Trzeba sobie po prostu odpuścić jutrzejszą robotę. Czy to nie oczywiste? - Kasiarz wyrzucił w górę ręce. - Skończ z tym, mówię ci. Może w przyszłym miesiącu.

Pierce przez chwilę nie reagował. Wreszcie odparł, cedząc słowa:

- Czekałem na to przez rok. I to będzie jutro.

- Jesteś nienormalny. Mówisz bez sensu.

- To musi zostać zrobione.

- Zrobione? - Agar znów wpadł we wściekłość. - Jak zrobione? Posłuchaj, mam cię za faceta z głową na karku, ale ja też nie jestem głupi i nie dam się robić w konia. Ta robota jest nie do ugryzienia. Cholernie szkoda, że buchnęli to wino, ale tak si ę stało i musimy się z tym pogodzić.

Kasiarz poczerwieniał na twarzy i wymachiwał rękoma w powietrzu. W

przeciwieństwie do niego Pierce był niemal nienaturalnie spokojny. Nie spuszczał oczu ze współnika.

- Ta robota jest do zrobienia - oświadczył.

- Na Boga, jak? - zapytał Agar przyglądając się Pierce'owi, który bez słowa podszedł do kredensu i nalał brandy do dwóch szklaneczek. - Nie uda ci się zamydlić mi oczu. Spójrz na to rozsądnie.

Uniósł rękę i na palcach zaczął wyliczać:

- Mówisz, że mam jechać w wagonie. Ale nie mogę się do niego dostać, bo jakiś gorliwy strażnik stoi tuż przy drzwiach. Sam przecież słyszałeś. Ale dobrze, wierzę, że uda mi się dostać do środka.

Zagiął drugi palec.

- Więc jestem w środku. Ten Szkot zamyka mnie od zewnątrz. Nie ma sposobu, aby dostać się do kłódki, więc nawet jeśli otworzę sejfy, to nie mogę otworzyć drzwi i wyrzucić złota. Jestem zamknięty przez całą drogę do Folkestone.

- Chyba że ja otworzę ci te drzwi - rzekł Pierce. Podał Agarowi brandy. Ten wypił ją jednym haustem.

- No proszę. Przechodzisz po dachach, zwieszasz się z boku wagonu jak Coolidge i otwierasz drzwi. Prędzej zobaczę Boga w niebie.

- Znam Coolidge'a. Kasiarz zamrugał oczami.

- Nie bujasz?

- Spotkałem go w zeszłym roku na kontynencie. Wspinałem się z nim w Szwajcarii, łącznie na trzy szczyty, i nauczyłem się tego, co on umie.

Agarowi odebrało mowę. Utkwił wzrok w twarzy współnika, podejrzewając podstęp. Wspinaczka była nowym sportem, który uprawiano od zaledwie trzech lub

czterech lat, lecz szybko zdobywa ła sobie popularno ść, a najwi ęksi angielscy alpiniści, tacy jak A. E. Coolidge, stali się już sławni.

- Nie bujasz? - powtórzył kasiarz.

- Mam nawet liny i cały sprzęt w szafce. Nie bujam.

- Nalej mi jeszcze - poprosił Agar, wyciągając pustą szklaneczkę.

Opróżnił ją, ledwie została napełniona.

- Więc dobrze. Przyjmijmy, że możesz poradzić sobie z zamknięciem wisząc na linie, otworzyć drzwi i zamknąć je później, i nikt tego nie zauważy. Jak ja mam się dostać do środka? Przejść obok tego Szkota?

- Jest pewien sposób. Nie jest przyjemny, ale jest. Agar nie wyglądał na przekonanego.

- Powiedzmy, że umieścisz mnie w jakiejś skrzyni. Otworzy ją, zajrzy do środka, a ja tam będę. Co wtedy?

- Chcę, żeby otworzył i cię zobaczył.

- Co?

- Pójdzie dość gładko, jeśli będziesz nieco śmierdział.

- Jak to śmierdział?

- Śmierdział zdechłym kotem lub psem - oświadczył Pierce. - Zdechłym przed kilku dniami. Myślisz, że to wytrzymasz?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Nalej mi jeszcze. I wyciągnął rękę ze szklaneczką.

- Wystarczy. Musisz coś zrobić. Idź do domu i wracaj ze swoim najlepszym garniturem, ale szybko.

Agar westchnął.



- Idź. I zaufaj mi.

Kiedy kasiarz wyszedł, Pierce posłał po Barlowa, swojego dorożkarza.

- Czy masz jakąś linę? - zapytał go.

- Linę, sir? Chodzi panu o konopną linę?

- Tak. Mamy jakąś w domu?

- Nie, sir. Może wystarczą rzemienie od cugli?

- Nie. - Zastanawia ł się przez chwil ę. - Zaprzęgaj i przygotuj si ę do nocnej pracy.

Musimy zdobyć parę rzeczy.

Barlow skinął głową i wyszedł. Pierce wróci ł do jadalni, gdzie spokojnie czeka ła na niego Miriam.

- Jakies kłopoty? - zapytała.

- Nic poważnego. Czy masz czarną suknię? Myślę o czymś byle jakim, co mogłaby nosić pokojówka.

- Chyba się znajdzie.

To dobrze. Przygotuj ją, bo jutro rano się w nią ubierzesz.

- I po cóż to? - zdziwiła się. Pierce uśmiechnął się.

- Aby okazać żalobę po zmarłym - oświadczył.

## ROZDZIAŁ 40

### FAŁSZYWY ALARM

Rankiem 22 maja, kiedy strażnik nazwiskiem McPherson przybył na dworzec

London Bridge, by zacząć pracę, przywitał go zupełnie niespodziewany widok. Obok wagonu bagażowego pociągu do Folkestone stała bardzo ładna kobieta w czerni.

Wyglądała na służącą i zanosila się płaczem.

Nietrudno było odgadnąć powód jej smutku, bowiem obok biednej dziewczyny, na

wózku bagażowym, znajdowała się prosta drewniana trumna. Wprawdzie tania i nie ozdobiona, ale w ściankach miała kilkanaście dziur, a na przykrywie zamontowano miniaturową dzwonnice z małym dzwonkiem, od którego biegł sznurek w dół do wnętrza. Chociaż widok ten był nieoczekiwany, nie budził zdziwienia McPhersona. Nie zaskoczyło go też, że kiedy podszedł do trumny, w nozdrza uderzył mu odór rozkładającego się ciała, znak, że trup leży już wewnątrz od jakiegoś czasu. To także było w pełni zrozumiałe.

W dziewiętnastym wieku, zarówno w Anglii jak i w Stanach Zjednoczonych, rozwinęła się dziwna fobia związana z przedwczesnym pochówkiem. Miała ona swe źródło w makabrycznych opowieściach Edgara Allana Poe'go i innych autorów, gdzie przedwczesny pochówek był częstym motywem. We współczesnym świecie traktuje się to jako dziwactwo. Dziś trudno zrozumieć paniczny lęk przed złożeniem do grobu żywcem, a przecież ów lęk odczuwali wówczas niemal wszyscy, od najprzesądniejszego robotnika po wykształconego szlachcica.

Ta szeroko rozpowszechniona obawa nie była tylko neurotyczną obsesją. Wprost przeciwnie. Istniało mnóstwo dowodów, pozwalających sądzić, że przedwczesne pochówki się zdarzają, a ustrzec się przed nimi można tylko zwlekając jak najdłużej z pogrzebem. W roku 1853 w Walii miał miejsce przypadek, który nabrał szerokiego rozgłosu. Utonął dziesięcioletni chłopiec. "Kiedy trumna spoczęła w otwartym grobie i rzucono na nią pierwsze łopaty ziemi, ze środka rozległy się krzyki i uderzenia w deski. Grabarze przerwali pracę i otworzyli wieko trumny, z której wyszedł chłopiec, wołając rodziców. Wiele godzin wcześniej doktor stwierdził, że chłopiec jest martwy, gdyż nie oddycha, brak wyczuwalnego pulsu, a skóra jest zimna i poszarzała. Na widok swego dziecka matka zemdląca i nie odzyskiwała przytomności przez dłuższy czas".

Większość tego rodzaju wypadków dotyczyła topielców i osób porażonych prądem, ale istniały i takie, że osoba zapadała w stan "pozornej śmierci lub wstrzymanego życia".

Właściwie nie umiano odpowiedzieć na pytanie, kiedy człowiek jest już martwy.

Zawsze istniały co do tego wątpliwości, podobnie jak sto lat później, gdy lekarze walczyli przeciw transplantacji organów. Warto jednak przypomnieć, że aż do 1950 roku nie zdawali oni sobie sprawy, iż zanik pracy serca jest odwracalny. W roku 1850 istniało zaś wiele powodów, by wątpić w jakikolwiek z objawów śmierci.

Społeczeństwo epoki wiktoriańskiej radziło sobie z tą niepewnością na dwa sposoby. Pierwszym było opóźnianie pogrzebu przez kilka dni (a tydzień nie był niczym nadzwyczajnym) i oczekiwanie na nieomylny odór, świadczący o rozkładzie organizmu. Niechęć do pogrzebu przybierała czasami skrajną formę. Kiedy w roku 1852 zmarł książę Wellington, odbyła się publiczna debata na temat przebiegu uroczystości pogrzebowych. Żelazny Książę musiał czekać, aż zostaną rozstrzygnięte wszystkie nieporozumienia, a doszło do tego przeszło dwa miesiące po jego śmierci.

Drugi sposób był natury technicznej. Wymyślono i zbudowano całą serię urządzeń ostrzegawczych i sygnalizacyjnych, pozwalających "trupowi" dać znać o powrocie do życia. Człowiek zamożny mógł zostać złożony w trumnie połączonej z powierzchnią ziemi metalową rurą, a zaufany służący czuwał dzień i noc na cmentarzu przez miesiąc albo dłużej, na wypadek gdyby nieboszczyk obudził się nagle i zaczął wołać o pomoc. Osoby chowane ponad poziomem gruntu, w kaplicach rodzinnych, były często umieszczane w opatentowanej trumnie ze sprężynami oraz ze skomplikowanym systemem drutów przymocowanych do rąk i nóg, tak by najmniejszy ruch ciała powodował otwarcie wieka. Wielu uważało tę metodę za najlepszą, ponieważ sądzono, że powracający do życia nie mogą mówić i są przez pewien czas częściowo sparaliżowani.

To, iż te sprężynowe trumny otwierały się po upływie miesięcy lub lat (zapewne w wyniku wewnętrznych wibracji i zepsucia się mechanizmu) tylko utwierdzało ludzi w przekonaniu, że nieboszczyk może długo sprawiać wrażenie martwego, nim powróci do życia, choćby na chwilę.

Większość urządzeń sygnalizacyjnych była kosztowna i tylko zamożni mogli sobie na nie pozwolić. Biedni ludzie przyjęli prostszą metodę: pochówek z łomem lub łopatą i nadzieją, że jeśli pochowany jeszcze żyje, sam wyzwoli się z grobu.

Istniał cały rynek niedrogich systemów alarmowych, a w roku 1852 George Bateson opatentował urządzenie alarmujące o powrocie do życia. Określono je jako "najekonomiczniejszy, pomysłowy i godny zaufania mechanizm, zbudowany z najtrwalszych materiałów, lepszy od wszelkich innych i zapewniający spokój ducha wszystkim osieroconym". A w dodatkowym komentarzu stwierdzono, że jest to "urządzenie o skuteczności dowiedzionej w niezliczonych wypadkach w kraju i za granicą".

"Dzwonnica Batesona", bo tak powszechnie nazywano ten sygnalizator, była metalowym dzwonkiem montowanym na wieku trumny, nad głową nieboszczyka, i połączonym sznurkiem lub drutem z jego ręką "tak, że najmniejsze drgnienie wywołuje dźwięk". Dzwonnica natychmiast zyskała popularność i po kilku latach znaczną część trumien wyposażono w nią od razu. W tym okresie w samym tylko Londynie codziennie umierały trzy tysiące osób, więc interes Batesona rozwijał się prężnie. Wkrótce stał się on bogatym człowiekiem, cieszącym się szacunkiem. W roku 1859 królowa Wiktorja odznaczyła go Orderem Imperium Brytyjskiego za wybitne osiągnięcia.

Na marginesie tej historii: sam Bateson żył wciąż w strachu, że pochowają go za życia, i w swym zakładzie tworzył coraz bardziej skomplikowane systemy alarmowe,

przeznaczone do zainstalowania we własnej trumnie. W roku 1867 ta obsesja doprowadziła go niemal do szaleństwa i zmienił testament, polecając rodzinie, aby jego zwłoki poddać kremacji. Mając jednak wątpliwości, czy wola ta zostanie spełniona, wiosną 1868 roku oblał się w warsztacie olejem lnianym, podpalił i zmarł w wyniku poparzeń.

Rankiem 22 maja McPherson miał na głowie ważniejsze rzeczy niż szlochająca służąca i trumna z dzwonnica, ponieważ wiedział, że dzisiaj, już za chwilę, do pociągu zostanie załadowany transport złota z Banku Huddleston & Bradford.

Przez otwarte drzwi wagonu ujrzał Burgessa. McPherson pomachał mu, na co tamten odpowiedział nerwowym, raczej pełnym rezerwy gestem powitania. Nowy strażnik wiedział, że wczoraj jego wuj odbył ostrą rozmowę z Burgessem, który teraz martwił się o zachowanie pracy, tym bardziej że zwolniono innego strażnika. McPherson doszedł do wniosku, że właśnie to jest przyczyną zdenerwowania Burgessa. Zresztą, może i przez tę płaczącą kobietę. Niekiedy takie żalosne kobiece lamenty sprawiały, że mężczyzna czuł się zbity z tropu. McPherson zwrócił się do dziewczyny, oferując jej swą chusteczkę.

- Spokojnie, panienko - rzekł. - Spokojnie... Wciągnął powietrze. Odór wydobywający się z otworów uderzył w niego niezwykłą siłą, ale to mu nie przeszkodziło zauważyć, iż dziewczyna, nawet pogrążona w smutku, była bardzo ładna.

- Proszę się uspokoić.

- Och, proszę, sir - wydusiła dziewczyna, przyjmując chusteczkę i wycierając w nią nos. - Och, proszę, czy może mi pan pomóc? Ten człowiek to bestia bez serca.

- Kto taki? - zapytał McPherson, czując, jak ogarnia go złość.

- Tamten strażnik, sir. Nie pozwolił mi umieścić mojego kochanego brata w

pociągu i mówi, że muszą poczekać na następnym. Och, jestem taka nieszczerliwa - jęknęła i znów zalała się łzami.

- Dlaczego ten nieczuły łajdak nie pozwala załadować trumny?

Szlochając dziewczyna powiedziała coś o przepisach.

- Przepisy? Do diabła z przepisami. Patrzył na jej piersi i powabną, cienką talię.

- Proszę pana, on się boi innego strażnika...

- Panienko, ja właśnie jestem drugim strażnikiem. Zajmę się tym, aby pani brat znalazł się w pociągu i proszę wybaczyć ten nietakt.

- Och, sir, będę pana dożywają dłużniczką - oświadczyła, zdobywając się na uśmiech przez łzy.

Pod McPhersonem aż ugięły się nogi. Był młodym mężczyzną, na dodatek trwał już wiosną, a dziewczyna była ładna i miała wobec niego dług wdzięczności.

Natychmiast poczuł dla niej ogromne współczucie.

- Proszę tylko poczekać - oznajmił.

Odwrócił się, by powiedzieć Burgessowi kilka słów na temat jego nadgorliwości w przestrzeganiu przepisów oraz braku ludzkich uczuć. Ale zanim zdążył się odezwać, ujrzał pierwszego spośród ubranych w szare mundury, uzbrojonych konwojentów z Banku Huddleston & Bradford, którzy eskortowali złoto.

Ładunek był jak zawsze dostarczany bardzo sprawnie. Najpierw na peronie pojawili się dwaj strażnicy, weszli do wagonu i dokonali szybkiego przeglądu wnętrza. Po chwili pojawiło się następnych ośmiu. Otaczali dwa wózki pełne zaplombowanych skrzynek, pchane przez spoconych bagażowych. Z wagonu spuszczone rampę.

Bagażowi wspólnym wysiłkiem kolejno wpełnęli po niej obciążone wózki i podjechali pod sejfy.

Teraz zjawił się przedstawiciel banku, sztywno ubrany dżentelmen, puszący się jak paw, z dwoma kluczami w dłoni. Wkrótce po nim przybył wuj McPhersona, nadzorca ruchu, także z parą kluczy. Obaj umieścili swoje klucze w zamkach i otworzyli sejfy.

Załadowano do nich skrzynki ze złotem, a drzwi zamknęły się z metalicznym szczękiem, który rozniósł się echem we wnętrzu wagonu. Przekręcono klucze w zamkach.

Złoty ładunek był już bezpieczny.

Przedstawiciel banku zabrał swe klucze i zniknął. Stary McPherson schował swoje do kieszeni i podszedł do siostrzeńca.

- Dzisiaj szczególnie uważaj w pracy - doradził mu. Otwórz każdą pakę i sprawdź, czy nie ma w niej jakiegoś łotra. Bez żadnych wyjątków. - Wciągnął głębiej powietrze. - Co to za nieznośny smród?

Strażnik wskazał głową na dziewczynę i na trumnę. Był to żalospny widok, ale jego wuj zmarszczył brwi bez śladu współczucia.

- Mają jechać porannym pociągiem?

- Tak, wuju.

- Zajrzyj do środka - polecił nadzorca ruchu i odwrócił się.

- Ale, wuju... - zaczął McPherson, zdając sobie sprawę, że jeśli będzie na to nalegać, utraci właśnie zdobyte względy dziewczyny.

Nadzorca zatrzymał się.

- Niedobrze ci? Mój Boże, aleś ty delikatny. - Popatrzył na wykrzywioną grymasem twarz siostrzeńca, biorąc to za oznakę obrzydzenia. - Więc już dobrze. Dla mnie to nic takiego. Sam zajrzę do środka.

Nadzorca ruchu ruszył więc w stronę płaczącej dziewczyny i trumny, a strażnik niechętnie podążył za nim.

W tej właśnie chwili usłyszeli elektryzujący, upiorny dźwięk, wydawany przez dzwonnice Batesona.

W późniejszych zeznaniach Pierce wyjaśnił podłoże psychologiczne tego planu.

"Każdy strażnik oczekuje jakiegoś zdarzenia, czegoś się w każdej chwili spodziewa.

Wiedziałem, że ten strażnik jest szczególnie uczulony na jakiś numer z

przeszmugłowaniem żywej osoby do środka wagonu. Czujny strażnik wie przecież, że w trumnie łatwo może się ktoś schować. Nie będzie więc zanadto podejrzliwy, gdy zobaczy trumnę, bo wygląda to na prymitywny numer. Postara się jednak upewnić, że w środku znajduje się rzeczywiście nieboszczyk. Jeśli jest czujny, zażąda otwarcia wieka i poświęci nieco czasu na oględziny zwłok. Może sprawdzić puls, ciepłość albo wbić szpilkę. Nikomu żywemu nie uda się przejść takiego badania, żeby się nie zdradzić.

Ale jakże zmienia się sytuacja, gdy wszyscy wierzą, że ciało nie jest martwe, tylko zamknięte przez pomyłkę! Zamiast podejrzeń pojawia się nadzieja, że ten ktoś w środku żyje. Zamiast poważnego i pełnego godności otwarcia wieka, odbija się je w pośpiechu. Biorą w tym udział najbliżsi, najlepszy dowód, że nie mają nic do ukrycia.

A gdy wieko zostaje uchylone, a zwłoki odsłonięte, jakże inna jest reakcja widzów!

Ich nadzieja momentalnie obraca się w gruzy. Okrutna prawda staje się oczywista już na pierwszy rzut oka. Nie trzeba dalszych badań. Najbliżsi są gorzko rozczarowani i jeszcze bardziej nieszczęśliwi. Wieko zostaje szybko zamknięte, a wszystko z powodu zawiedzionych nadziei. Taka jest ludzka natura, można to sprawdzić na każdym".

Na dźwięk dzwonka, który odezwał się tylko raz, i to krótko, szlochająca

dziewczyna krzyknęła. W tej samej chwili nadzorca ruchu i jego siostrzeniec zaczęli biec i szybko pokonali odległość dzielącą ich od trumny.

Siostra zmarłego znajdowała się w stanie hysterii. Ciągnęła za wieko nie bacząc, że



jej wysiłki są daremne.

- Och, mój drogi brat... Och, Richard, mój kochany Richard... och, Boże, on żyje...

Szarpała za drewnianą pokrywę, co rozkołysało trumnę, tak że dzwonek nie przestawał dzwonić.

Obu McPhersonom udzieliło się szaleństwo dziewczyny, ale oni działali rozsądniej. Wieko było zabezpieczone rzędem metalowych zatrzasków, zaczęli je więc otwierać jeden po drugim. Żaden nie zwrócił uwagi w gorączkowym pośpiechu, że ta trumna miała znacznie więcej zatrzasków niż jakakolwiek inna. A otwieranie przeciągało się, bo dziewczyna tylko im przeszkadzała.

Mężczyźni starali się jak najszybciej zdjąć wieko. Siostra zmarłego nie przestawała krzyczeć:

- Och, Richardzie... Dobry Boże, on żyje... Proszę, Boże, on żyje, chwała Ci...

A dzwonek na rozkołysanej trumnie nie przestawał dzwonić.

Na peronie zebrał się spory tłumek gapiów, którzy stali kilka kroków dalej, przyglądając się dziwnemu wydarzeniu.

- Och, szybciej, szybciej, żeby nie było za późno zawołała dziewczyna, a mężczyźni zdwoili swe wysiłki.

Zostały im jeszcze tylko dwa zatrzaski, gdy do uszu nadzorcy dotarły słowa płaczącej:

- Och, wiedziałam, że to nie cholera, jak mówił ten szarlatan. Och, wiedziałam...

Nadzorca oniemiał z ręką na wieku.

- Cholera?

- Pośpieszcie się! - wołała dziewczyna. - Czekałam całe pięć dni, aż usłyszę ten dzwonek...

- Powiedziała pani cholera? - powtórzył nadzorca ruchu. - Pięć dni?

Lecz jego siostrzeniec, który nie przerwał pracy, odkrył już wieko trumny.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła siostra nieboszczyka i pochyliła się w stronę leżącego ciała, jakby chciała uścisnąć brata.

Zatrzymała się jednak w pół ruchu, co w tej sytuacji było zupełnie zrozumiałe, bo ledwie podniesiono wieko, rozszedł się najobrzydliwszy odór gnicia, a jego źródło było oczywiste. Woń tę wydawało ciało leżące w trumnie, ubrane w najlepszy niedzielny strój, z rękoma złożonymi na piersi. Znajdowało się już w stanie daleko posuniętego rozkładu.

Odsłonięte zwłoki były opuchnięte na twarzy i rękach i odrażająco szarozielone.

Usta czarne, podobnie jak częściowo wystający język. Obaj mężczyźni nie mogli dłużej na to patrzeć, a biedna dziewczyna osunęła się na ziemię z krzykiem, który mógł złamać serce. Strażnik natychmiast skoczył jej na pomoc, a jego wuj nie mniej skwapliwie przyłożył wieko i zaczął zamykać zatrzaski jeszcze szybciej, niż je otwierał.

Tłum widzów usłyszawszy, że przyczyną śmierci była cholera, rozproszył się w popłochu. Po chwili peron niemal opustoszał.

Dziewczyna odzyskała wreszcie przytomność, ale wciąż była bardzo roztrzęsiona.

Powtarzała miękko głosem:

- Jakże to możliwe? Przecież słyszałam dzwonek. A wy go nie słyszeliście?

Słyszałam wyraźnie, a panowie nie? Przecież zadzwonił.

Strażnik starał się, jak mógł, by ją przekonać, że dźwięk wywołał wstrząs ziemi lub gwałtowny podmuch wiatru.

Nadzorca ruchu, widząc, iż jego siostrzeniec zajął się pocieszaniem biednej kobiety, sam wziął na swoje barki dopilnowanie załadunku bagaży. Czuł się jednak nieswojo po tak przykrym doświadczeniu. Dwie dobrze ubrane damy miały duże kufry i

pomimo ich protestów, zostały one otwarte i sprawdzone. Miał miejsce jeszcze tylko jeden drobny incydent, gdy pewien wyniosły dżentelmen umieścił w wagonie bagażowym papugę czy innego kolorowego ptaka, i zażądał, by pozwolono jego słudze towarzyszyć stworzeniu i troszczyć się o jego potrzeby podczas podróży. Nadzorca odmówił, tłumacząc się regulaminem. Dżentelmen stał się niesympatyczny, po czym zaproponował "rozsądny napiwek", ale McPherson, który popatrzył na oferowane dziesięć szylingów z zainteresowaniem, zdał sobie sprawę, że jest obserwowany przez Burgessa, którego tak zrugał zaledwie wczoraj. Nie miał więc innego wyjścia, jak tylko odmówić łapówki, z czego i on, i ów dżentelmen nie byli zadowoleni. Właściciel ptaka odszedł mrużąc pod nosem litanię zjadliwych przekleństw.

Wydarzenia te ani trochę nie poprawiły nastroju nadzorcy i kiedy w końcu cuchnąca trumna została załadowana do wagonu, sprawiło mu wiele przyjemności ostrzeżenie skierowane do Burgessa: udając głęboki niepokój o zdrowie pracownika, przypomniał strażnikowi, że jego towarzysz podróży padł ofiarą cholery.

Burgess wcale na to nie zareagował. Sprawiał tylko wrażenie zdenerwowanego i zmieszanego, ale wyglądał tak od chwili przyjścia do pracy. Z uczuciem nieokreślonej niechęci nadzorca rzucił jeszcze polecenie swemu siostrzeńcowi, żeby zajął się pracą, po czym sam zamknął wagon i wrócił do biura.

Później zeznał z zakłopotaniem, że nie przypomina sobie, by widział tego dnia na stacji rudobrodego dżentelmena.

## ROZDZIAŁ 41

### KOŃCOWE KŁOPOTY

W rzeczywistości Pierce stał w tłumie obserwującym otwieranie trumny. Stwierdził, że wszystko odbyło się dokładnie tak jak zaplanował, i Agar ze swym szkaradnym

"makiżajem" nie został zdemaskowany.

Gdy tłum się rozprzecznił, Pierce wraz z Barlowem powędrował w stronę wagonu bagażowego. Dorozkarz ciągnął na wózku dość dziwny bagaż i Pierce zaniepokoił się przez chwilę, widząc nadzorcę ruchu osobiście zajętego załadunkiem. Gdyby bowiem ktoś zwrócił na niego baczniejszą uwagę, mógłby nabrać podejrzeń.

Sam sprawiał wrażenie zamożnego dżentelmena. Jego bagaż jednak był co najmniej niezwykły. Składało się nań pięć jednakowych skórzanych toreb, które zupełnie nie pasowały do osoby właściciela. Wykonane z nędznej skóry i wyraźnie niedbale zszyte służyły do transportu ciężkich przedmiotów. W dodatku doskonale mogły pomieścić się na półce w przedziale osobowym. To, że trudno było z niego korzystać, było pewną niewygodą: strata czasu zarówno przy odjeździe, jak i po dotarciu do celu podróży.

Wreszcie służący sam, ponieważ nie zatrudnił bagażowego, po kolei załadował torby do wagonu. Chociaż sprawiał wrażenie krzepkiego, widać było, jak ugiął się pod ich ciężarem.

Dociekliwy obserwator mógłby się zastanawiać, dlaczego tak dystyngowany dżentelmen podróżuje z pięcioma jednakowymi niedużymi, obskurnymi i niezwykle ciężkimi torbami. Pierce podczas załadunku przyglądał się nadzorcy. Jednak nieco później McPherson wcale nie zwrócił na niego uwagi, a z otępienia wyrwała go dopiero scena z dżentelmenem z papugą.

Pierce oddalił się, ale nie wsiadł jeszcze do pociągu. Pozostał na końcu peronu, udając zainteresowanego dziewczyną, która po omdleniu doszła już do siebie. Tak naprawdę miał nadzieję, że zdoła obejrzeć kłódkę na drzwiach wagonu bagażowego.

Kiedy nadzorca ruchu odszedł, ostro upomniawszy McPhersona, siostra zmarłego

skierowała się w stronę przedziałów osobowych. Dżentelmen zrobił krok w jej kierunku.

- Czy już czuje się pani lepiej? - zapytał.

- Chyba tak, dziękuję panu.

Wtopili się w tłum wsiadających. Pierce zaproponował:

- Może zechce pani skorzystać na czas podróży z mojego przedziału?

- Bardzo pan miły - odparła dziewczyna z lekkim skinieniem głowy.

- Pozbądź się go - szepnął. - Nieważne jak. Zrób to. Miriam przez chwilę wyglądała na zmieszaną. W tym momencie rozległ się czyjś tubalny głos:

- Edwardzie! Edwardzie, drogi przyjacielu! Elegancki mężczyzna przepychał się przez tłum w ich stronę.

Pierce pomachał mu na przywitanie.

- Henry - odkrzyknął. - Henry Fowler, cóż za niespodzianka.

Dyrektor generalny banku uściskał dłoń przyjaciela.

- Cóż za spotkanie. Jedziesz tym pociągiem? Tak? Ja także, jeśli chodzi o ścisłość...

Urwał, gdy zauważył kobietę u boku Pierce'a. Wydawał się nieco zakłopotany, ponieważ nie wiedział, co o tym sądzić. Oto jego przyjaciel, elegancki i wytworny jak zwykle, stoi z dziewczyną wprawdzie dość ładną, ale wyraźnie pospolicie ubraną.

Pierce był kawalerem i mógł otwarcie podróżować z kochanką na wypoczynek nad morze, ale jego wybranka nosiłaby się jak dama, a nie tak jak ta tutaj. A mo że to służąca?

Ale wobec tego po co zabiera ją ze sobą, bez ważnego po temu powodu. Fowlerowi trudno było dociec, co to może być, nic nie przychodziło mu na myśl.

Zauważył także, iż dziewczyna wcześniej płakała. Jej oczy były czerwone, a na policzkach miała ślady łez. Bardzo go to zaintrygowało.

Pierce sam rozwiązał zagadkę.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł, zwracając się do dziewczyny. - Powiniennem panią przedstawić, ale nie znam pani nazwiska. To pan Henry Fowler.

Siostra zmarłego posłała przybyszowi skromny uśmiech, mówiąc:

- Jestem Brigid Lawson. Miło mi pana poznać.

Fowler odpowiedział niewyraźnie, usiłując przybrać postawę właściwą wobec służącej, która nie mogła być mu równa, a jednocześnie wobec zrozpaczonej kobiety, zasługującej na to, aby ją traktować po dżentelmeńsku. Pierce wyjaśnił mu pokrótce sytuację.

- Panna, hm, Lawson miała właśnie ciężkie przejścia. Jedzie, by towarzyszyć swemu zmarłemu bratu, który teraz znajduje się w wagonie bagażowym. Kilka minut temu zadzwonił dzwonek, jakby nieboszczyk wrócił do życia. Otwarto wieko trumny, ale...

- Rozumiem - odrzekł Fowler. - To bardzo smutne... -...ale to był fałszywy alarm - dokończył Pierce.

- A więc zapewne tym bardziej bolesny.

- Zaproponowałem jej swe towarzystwo w podróży.

- I ja uczyniłbym to samo na twoim miejscu - oświadczył dyrektor banku. -\*

Właściwie... - zawahał się. - Czy nietaktem będzie, jeśli dołączę do państwa?

- Ależ skąd - odparł bez zwłoki Pierce. - To znaczy, jeśli panna Lawson...

- Obaj panowie jesteście niezwykle mili - oświadczyła dziewczyna z uśmiechem pełnym wdzięczności.

- A więc ustalone - rzekł Fowler także się uśmiechając. Pierce dostrzegł, że przygląda się przyszłej towarzyszce podróży z wyraźnym zainteresowaniem.

- Proszę zatem ze mną. Mój przedział jest niedaleko. Wskazał rząd wagonów

pierwszej klasy. Pierce zamierzał oczywiście usiąść w ostatnim z nich. Stamtąd miałyby najkrótszą drogę po dachach drugiej klasy do wagonu bagażowego jadącego na samym końcu składu.

- Właściwie mam własny przedział, o tam. - Wskazał tył pociągu. - Moje torby już tam są.

- Mój drogi Edwardzie, po cóż ulokowałeś się aż tak daleko? - zdziwił się Fowler. - Im bliżej początku, tym lepiej, bo mniejszy hałas. Chodź. Zapewniam cię, że znajdę jakiś przedział z przodu, który będzie ci odpowiadał, zwłaszcza, że panna Lawson nie czuje się najlepiej...

Wzruszył ramionami, jakby wszystko było oczywiste.

- Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej, ale prawdę mówiąc wybrałem dla siebie przedział za radą mojego lekarza, doświadczywszy pewnych nieprzyjemności podczas wcześniejszych podróży koleją. Wytłumaczył to efektem drgań pochodzących od lokomotywy i zalecił siadać jak najdalej od ich źródła. - Roześmiał się. - Powiedział nawet, że powinienem siedzieć w drugiej klasie, ale to mi już zupełnie nie odpowiada.

- Nie przesadzaj - rzekł dyrektor. - Kierowanie się względami zdrowotnymi musi mieć też swoje granice, chociaż nie można oczekiwać, aby lekarz o tym wiedział. Mój poradził mi kiedyś, żebym rzucił wino. Możesz sobie wyobrazić taką zuchwałość? Zatem dobrze, jedźmy więc wszyscy w twoim przedziale.

- Może panna Lawson, podobnie jak ty, uważa, że lepiej będzie podróżować z przodu.

Zanim dziewczyna zdołała się odezwać, wyręczył ją Fowler:

- Co? Ukraść ci ją i zostawić samego na całą podróż? Nawet by mi to nie przyszło do głowy. Chodźcie, bo pociąg zaraz odjeżdża. Gdzie jest ten twój przedział?

Ruszyli wzdłuż pociągu. Fowler był w doskonałym humorze, więc żartował na temat lekarzy i ich słabostek. Weszli do przedziału i zamknęli za sobą drzwi. Pierce rzucił okiem na zegarek. Była za sześć ósma. Pociąg nie zawsze ruszał według rozkładu, ale i tak nie miał dużo czasu.

Musiał pozbyć się Fowlera. Nie mógł przejść stąd na dach w obecności obcych, szczególnie w obecności pracownika banku. Ale musiał się go pozbyć w taki sposób, aby nie nabrał podejrzeń, ponieważ po odkryciu kradzieży zapewne będzie on analizował sytuację i zostanie dokładnie przesłuchany.

Dyrektor nie przestawał mówić, ale całą uwagę skupił na dziewczynie, która wyglądała na oczarowaną nowym znajomym.

- To jakieś zrządzenie losu, że wpadłem dzisiaj na Edwarda. Edwardzie, często podróżujesz tą trasą? Ja sam nie robię tego częściej niż raz w miesiącu. A pani, panno Lawson?

- Byłam już w pociągu - odparła dziewczyna - ale nigdy nie jechałam pierwszą klasą. Tylko dzięki mojej pani, która kupiła mi bilet, widząc jak...

- Och, tak, tak - przerwał jej Fowler serdecznym tonem. - Trzeba sobie pomagać w trudnych chwilach. Muszę przyznać, że sam się nieco dziś denerwuję. Edward zapewne odgadnie powód mojej podróży i zdenerwowania. Co, Edwardzie? Wiesz, o co chodzi?

Pierce nie słuchał go. Patrzył przez okno i dumał, jak pozbyć się znajomego, bo czasu było coraz mniej. Przeniósł wzrok na Fowlera.

- Czy sądzisz, że twoje bagaże są bezpieczne? - zapytał.

- Moje bagaże? Aaa, w moim przedziale? Nie mam żadnych toreb, Edwardzie. Nie zabieram ze sobą żadnego bagażu, bo zostaję w Folkestone tylko przez dwie godziny. Mam zaledwie czas na zjedzenie posiłku, chwilę odpoczynku czy wypalenie cygara.



Wsiadam do pociągu, i z powrotem do domu.

Podsunęło to Pierce'owi myśl o zapaleniu cygara. Oczywiście. Sięgnął do kieszeni surduta, wyjął długie cygaro i zapalił.

- A więc, nasz przyjaciel Edward z pewnością domyśla się powodu mojej podróży, ale pani zapewne nie.

Dziewczyna wpatrywała się w Fowlera.

- Prawdę mówiąc, to nie jest zwykły pociąg, a ja nie jestem jego zwykłym pasażerem. Wprost przeciwnie. Jestem dyrektorem generalnym Banku Huddleston & Bradford z Westminsteru, a dzisiaj w tym właśnie pociągu, nie dalej niż dwieście kroków od tego miejsca, moja firma złożyła mnóstwo złota, które wysyłamy dla naszych dzielnych oddziałów. Czy może sobie pani wyobrazić ile? Nie? A więc jest ono warte, moja droga, dwanaście tysięcy funtów.

- Och! - wydusiła z siebie dziewczyna. - I to pan jest za nie odpowiedzialny?

- Zgadza się.

Henry Fowler wyglądał na zadowolonego z siebie i miał po temu powody.

Najwyraźniej jego słowa zrobiły ogromne wrażenie na prostej dziewczynie, która teraz przyglądała się mu z podziwem. A mo że czymś więcej? Wyglądało na to, że zupełnie zapomniała o drugim towarzyszu podróży.

To znaczy aż do chwili, gdy dym pochodzący z jego cygara nie rozszedł się szarą chmurą po całym przedziale. Dziewczyna zakaszłała w delikatny, wymowny sposób, na pewno podpatrzony u swojej pani. Pierce wyglądał przez okno i zdawał się tego nie zauważać.

Kobieta zakaszłała znowu, tym razem wymowniej. Gdy dżentelmen wciąż nie reagował, sprawą zajął się Fowler.

- Czy czuje się pani dobrze? -zapytał.

- Słabo mi...

Dziewczyna uczyniła niewyraźny gest wskazując na dym.

- Edwardzie, wydaje mi się, że twoje cygaro źle wpływa na pannę Lawson - oświadczył bankier.

Pierce przeniósł na niego wzrok.

- Co mówiłeś?

- Mówiłem, że jeśli mógłbyś... - zaczął Fowler. Panna Lawson pochyliła się do przodu i wydusiła:

- Obawiam się, że za chwilę zemdleję.

Mówiąc to wyciągnęła rękę w stronę drzwi, jakby chciała je otworzyć.

- Zobacz, co zrobiłeś - rzekł Fowler do przyjaciela. Otworzył drzwi i pomógł dziewczynie, która dość ciężko wsparła się na jego ramieniu.

- Nie miałem pojęcia - tłumaczył się Pierce. - Wierz mi, gdybym tylko wiedział...

- Mogłeś zapytać, zanim zapaliłeś ten diabelski wynalazek - zrobił mu wymówkę bankier.

Panna Lawson wsparła się mocniej na Fowlerzę, tak że poczuł jej piersi.

- Jest mi niezmiernie przykro - oświadczył sprawca zajścia i wstał, aby udać się po pomoc.

Lecz pomoc była ostatnią rzeczą, jakiej dyrektor banku życzył sobie w tym momencie.

- W ogóle nie powinieneś palić. I ty słuchasz lekarza, który mówi ci, że pociągi są niebezpieczne dla zdrowia? Chodźmy, moja droga - zwrócił się do dziewczyny. -

Pójdziemy do mojego przedziału. Tam będziemy mogli kontynuować rozmowę i nie

będzie nam zagrażał żaden szkodliwy dym.

Panna Lawson przystała na to z ochotą.

- Bardzo mi przykro - powtórzył Pierce, ale żadne z nich nawet się nie odwróciło.

Po chwili rozległ się gwizdek i sapanie lokomotywy. Pierce zamknął na klucz drzwi przedziału i przyglądał się, jak dworzec London Bridge znika za oknem, gdy pociąg do Folkestone zaczynał nabierać prędkości.

CZEŚĆ IV

# WIELKI SKOK

NA POCIĄG maj 1855

ROZDZIAŁ 42

NIEZWYKŁE

# ZMARTWYCHWSTANIE

Burgess, zamknięty w wagonie bez okien, orientował się jednak, którędy jedzie pociąg, dzięki dobiegającym do niego odgłosom. Najpierw słyszał cichy klekot kół na równych torach dworca. Zmiana tonu wskazywała, że pociąg jedzie przez Bermondsey po kilkunastomilowym podejździe. Później dźwięki stały się jeszcze bardziej głuche, co oznaczało, że są już poza Londynem, na trasie na południe.

Strażnik nie znał szczegółów planu Pierce'a i był bardzo zdziwiony, gdy dzwonek na trumnie znów zaczął dzwonić. Uznał, że przyczyną tego są wstrząsy pociągu, ale po kilku chwilach ze środka dobiegło go stukanie i zduszony głos. Aż odebrało mu mowę, ale zdobył się na odwagę i zbliżył do trumny.

- Otwieraj, do cholery! - polecił głos.

- Czy pan wrócił do życia? - zapytał Burgess ze zdumieniem.

- To ja, Agar, idioto.

Strażnik w pośpiechu zaczął odpinać zatrzaski trzymające wieko. Wkrótce ze środka wyłonił się kasiarz, którego pokrywała obrzydliwa, zielona maź i śmierdział, ale poza tym wyglądał jak normalny, żywy człowiek.

- Muszę się spieszyć. Przynies mi tamte torby. Wskazał na pięć skórzanych toreb w kącie wagonu. Burgess czym prędzej się tym zajął.

- Ale wagon jest zamknięty - rzekł. - Jak się z niego wydostać?

- Nasz przyjaciel jest alpinistą.

Agar otworzył sejfy i wyciągał ze środka jedną z skrzynek. Złamał pieczęć i zaczął wyjmować złote sztabki oznaczone głową królowej i inicjałami H & B. Zastąpił je workami ze śrutem, wydobytymi z toreb.

Strażnik przyglądał się temu w milczeniu. Pociąg jechał teraz niemal prosto na

południe. Minał już Crystal Palace i kierowa ł się w stronę Croydon i Redhill. Stamt ąd miał skręcić na wschód, do Folkestone.

- Alpinistą? - zapytał wreszcie.

- Tak. Przejdzie po dachach wagonów i otworzy te drzwi.

- Kiedy?

- Za Redhill, żeby wrócić do przedziału przed Ashford. Tam przy torach są tylko pola. Małe prawdopodobieństwo, że ktoś go zauważy.

- Między Redhill a Ashford? Ale to przecież najszybsza część trasy.

- Chyba masz rację - zgodził się kasiarz.

- W takim razie ten człowiek jest szalony.

## ROZDZIAŁ 43

### ŹRÓDŁO ODWAGI

Podczas procesu Pierce'a w pewnej chwili oskarżyciel wyraził mu szczerzy podziw.

- A więc to nieprawda, że miał pan doświadczenie we wspinaczce? - zapytał.

- Nie miałem żadnego - przyznał Pierce. - Powiedziałem to tylko dlatego, by uspokoić Agara.

- Nie spotkał pan Coolidge'a, nic nie czyta ł na ten temat i nie posiada ł żadnego sprzętu potrzebnego do uprawiania alpinistyki?

- Nie.

- Może miał pan przynajmniej jakieś doświadczenia sportowe, które pozwoliłyby panu wierzyć w możliwość zrealizowania tych zamiarów?

- Żadnych.

- No cóż. Muszę zapytać, chociażby ze zwykłej ciekawo<ści, co u licha pozwoli ło panu sądzić, że bez żadnego treningu, wiedzy i wyposażenia uda si ę panu tak

niebezpieczne, jeśli nie samobójcze, przedsięwzięcie jak przejście po dachach wagonów pędzącego pociągu? Skąd taka odwaga i determinacja?

W sprawozdaniach dziennikarskich wspomniano, że w tym miejscu oskarżony się uśmiechnął.

- Wiedziałem, że będzie to trudne - oświadczył. Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale kilkakrotnie czytałem w prasie o zjawisku zwanym kolejowym kołysaniem. Czytałem także jego wytłumaczenie, przedstawione przez inżynierów, twierdzących, że siły te wywołuje szybki ruch powietrza, co wykazał w swych badaniach Włoch o nazwisku Baroni. W rezultacie byłem przekonany, że ów pęd powietrza przycisnie mnie do powierzchni dachu, zapewniając pełne bezpieczeństwo.

Oskarżyciel poprosił o dokładniejsze wyjaśnienia, które jednak okazały się dość mętne. Podsumowanie tej części procesu, zamieszczone w "Timesie" było jeszcze mniej zrozumiałe. Ogólnie rzecz biorąc chodziło o to, iż Pierce, teraz niemal czczony w prasie jako kryminalista-geniusz, posiadał pewną wiedzę o podstawowych prawach fizyki, która mogła mu pomóc, dając choćby poczucie bezpieczeństwa.

Tak naprawdę jednak Pierce, dumny ze swej erudycji, przedsięwziął przechadzkę po dachach wagonów zupełnie bez uzasadnienia, uznając ją za bezpieczną. Sytuacja przedstawiała się bowiem następująco:

Poczynając od roku 1848, gdy pociągi zaczęły osiągać prędkość pięćdziesięciu, a nawet siedemdziesięciu mil na godzinę, zaobserwowano dziwne i niewytłumaczalne zjawisko. Zawsze, kiedy jadący ze znaczną prędkością pociąg mijał drugi, nawet stojący na stacji, wagony obojczy miały tendencję do zbliżania się ku sobie, czemu nadano nazwę kolejowego kołysania. Niekiedy wychylały się one tak bardzo, że ocierały się o siebie, a pasażerowie wpadali w panikę.

Inżynierowie kolejowi, po wielu nieudanych próbach wytłumaczenia tego zjawiska, przyznali wreszcie, że przerasta to ich siły. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, skąd bierze się kolejowe kołysanie i co należy uczynić, aby mu zaradzić. Trzeba pamiętać, że pociągi były wtedy najszybciej poruszającymi się pojazdami w historii ludzkości i podejrzewano, iż zachowaniem ich rządzą nie odkryte jeszcze prawa fizyki. W sto lat później, kiedy to inżynierowie lotniczy poznali fenomen przekroczenia bariery dźwięku, a zjawiska z nim związane były również niepojęte i tylko domyślano się ich przyczyn, sytuacja była podobna.

Jednak w roku 1851 większość specjalistów z zakresu techniki uznała, że kolejowe kołysanie można wytłumaczyć na podstawie prawa Bemoullego. Ten szwajcarski matematyk, żyjący w poprzednim wieku, stwierdził, że ciśnienie szybko poruszającej się strugi powietrza jest mniejsze niż powietrza ją otaczającego. Oznaczało to, że dwa poruszające się pociągi, jeśli znajdują się wystarczająco blisko siebie, są ku sobie zasysane dzięki wytwarzającemu się między nimi podciśnieniu. Rozwiązanie tego problemu było proste i wkrótce wprowadzono je w życie. Równoległe położone tory zostały od siebie odsunięte i kolejowe kołysanie zniknęło.

Prawo Bemoullego tłumaczy takie zjawiska, jak lot piłki baseballowej, możliwość poruszania się żaglówką pod wiatr czy też lot samolotu. Lecz wtedy, podobnie jak i teraz, większość ludzi nie rozumiała mechanizmu takich zjawisk. Passażerowie samolotu odrzutowego byłiby zdziwieni, gdyby dowiedzieli się, że ich podróż jest możliwa dzięki zjawisku polegającemu na tym, iż samolot jest dosłownie zasysany w górę przez podciśnienie wytwarzające się nad górną powierzchnią skrzydeł. Głównym zadaniem silników jest natomiast nadać skrzydłom odpowiednią prędkość, by stworzyć strumień powietrza potrzebny do wytworzenia koniecznego podciśnienia.



Co więcej, fizyk uznałby nawet takie tłumaczenie za niezupełnie prawdziwe, twierdząc, że naukowa teoria daleko odbiega od "zdroworozsądkowego" podejścia do tego zjawiska.

Pierce zatem wyciągnął błędny wniosek z tego, co wyjaśnił Bernoulli.

Najwidoczniej wierzył, że pęd powietrza wokół poruszającego się wagonu (co jego zdaniem stwierdził "Baroni") spowoduje jakby przyssanie stóp do dachu, co pozwoli bezpieczniej stawiać kroki.

W rzeczywistości prawo Bernoullego nie miało tu żadnego zastosowania. Ciało Pierce'a było wystawione na podmuch powietrza, poruszającego się z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę, który mógł go w każdej chwili zdmuchnąć z dachu.

Ten brak wiedzy był jednak korzystny dla samego przedsięwzięcia. Dzięki temu, iż było ono absolutną nowością zarówno dla Pierce'a, jak i jego współników, nie zdawali sobie oni sprawy z niebezpieczeństwa.

Co prawda Pierce widział, jak Spring Heel Jack zginął wyrzucony z wagonu, nie traktował jednak tej śmierci jako czegoś nieuniknionego. Nie miał pojęcia, że nie można obejść praw fizyki. W tym czasie przypuszczano tylko, iż wypaść z pędzącego pociągu to rzecz niebezpieczna; im większa prędkość, tym większe niebezpieczeństwo. Uważano, że wszystko zależy od tego, jak się upadnie. Szczęśliwiec mógł się pozbierać zaledwie z kilkoma zadrapaniami, pechowiec natomiast natychmiast skręcał kark. Krótko mówiąc upadek z pociągu był porównywany do upadku z konia.

U zarania historii kolei istniał nawet pewien diabelnie niebezpieczny sport - skoki z pociągu, uprawiany przez młodych ludzi, zwłaszcza przez studentów.

Polegało to na wyskakiwaniu z jadącego dość wolno wagonu i lądowaniu na ziemi. Choć urzędnicy państwowi potępiali te praktyki, a właściciele kolei zabronili ich,

skoki z pociągu były popularne w latach 1830-1835. Przeważnie obrażenia spowodowały się do kilku siniaków. W najgorszym wypadku śmiałek łamał sobie rękę lub nogę. Zabawa ta wkrótce straciła popularność, ale dzięki niej właśnie ludzie byli przekonani, iż wypadnięcie z pociągu niekoniecznie musi się kończyć śmiercią.

W latach trzydziestych zresztą większość pociągów poruszała się ze średnią prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę. Lecz w roku 1850, kiedy ta szybkość się podwoiła, konsekwencji takich wyczynów nie można było porównać do tych sprzed dwudziestu lat. Nie wszyscy jednak zauważyli tę różnicę, o czym świadczą zeznania Pierce'a.

Oskarżyciel zapytał:

- Czy zastosował pan jakieś zabezpieczenia przed skutkami upadku?

- Owszem - przyznał Pierce. - I muszę przyznać, że były one bardzo niewygodne.

Pod ubraniem miałem bowiem dwie warstwy grubej, bawełnianej bielizny, tak i z pociełem się straszliwie. Uznałem jednak, że to konieczne.

Tak więc, zupełnie nie przygotowany, nie mając pojęcia o prawach fizyki, Edward Pierce przewiesił przez ramię zwój liny, otworzył drzwi przedziału i wdrapał się na dach mknącego wagonu. Jego jedynym prawdziwym zabezpieczeniem i źródłem odwagi był kompletny brak świadomości grożącego niebezpieczeństwa.

Wiatr uderzył go jak pięść ogromnych rozmiarów, wył w uszach, kłuł w oczy, wypełniał usta i szarpał policzki. Pierce nie zdjął długiego surduta, który teraz trzepotał na wszystkie strony, a poły uderzały o nogi "tak mocno, że aż bolało".

Przez kilka chwil był zupełnie zdezorientowany niespodziewaną furią gwizdzącego wichru. Przykucnął, trzymając się kurczowo drewnianej powierzchni dachu i zaczął analizować sytuację. Stwierdził, że nie może nawet patrzeć przed siebie, bo drobiny

sadzy niesione z komina oślepiają go. W mgnieniu oka był pokryty czarną warstwą. Pod nim zaś wagon kołysał się i trząsał alarmująco.

W pierwszej chwili chciał zrezygnować, ale gdy szok minął, postanowił nie poddawać się. Na łokciach i kolanach przeczołgał się na kraniec dachu i zatrzymał nad połączeniem z następnym wagonem. Przed nim była przerwa szeroka na około pięć stóp.

Minęło nieco czasu, zanim opanował nerwy i zdobył się na skok. Udało się.

Z trudnością parł dalej. W pewnym momencie wiatr uniósł połę surduta: zasłoniły mu twarz i ramiona oraz ograniczyły ruchy. Po chwili walki udało mu się zdjąć niewygodną część stroju, która porwana przez pęd powietrza wylądowała na torowisku.

Wirujący surdut przypominał człowieka i Pierce potraktował to jako ostrzeżenie: taki będzie jego los, gdy popełni choćby najmniejszy błąd.

Teraz mógł poruszać się szybciej. Skakał z jednego wagonu na drugi z coraz większą pewnością, aż po jakimś czasie, który wydawał mu się wiecznością, dotarł na dach wagonu bagażowego (później jednak doszedł do wniosku, iż droga ta nie zajęła mu więcej niż pięć, dziesięć minut).

Trzymając się krawędzi wywietrznika, rozwinął linę. Jeden koniec opuścił w dół i po chwili poczuł szarpnięcie, gdy sznur złapał znajdujący się w środku Agar.

Następnie przesunął się do drugiego otworu. Czekał tam, kuląc się pod naporem wiatru, aż wyłoniła się zielona dłoń kasiarza podająca koniec liny. Chwycił go i ręka zniknęła.

Lina już była przełożona przez wywietrzniki. Zawiązał oba końce wokół pasa i opuścił się na niej w dół, aż znalazł się na poziomie kłódki.

W tej pozycji, zawieszony luźno, bez żadnego oparcia, przez kilka minut usiłował dopasować któryś z wytrychów do kłódki. Próbował jeden po drugim, jak później

stwierdził, "z precyzją, na jaką pozwalały okoliczności". Sprawdził kilkanaście i zaczynał już wątpić, czy którykolwiek otworzy mechanizm, gdy usłyszał gwizd parowozu. Spojrzał do przodu i ujrzał tunel Cuckseys. Za moment znalazł się w zupełnej ciemności i nieznośnym hałasie. Tunel miał pół mili długości. Nie pozostawało nic innego, jak czekać. Gdy pociąg wypadł na otwartą przestrzeń, ponownie zajął się kłódką. Ku jego zdumieniu, o dziwo, niemal natychmiast mechanizm zaskoczył i kłódka się otworzyła.

Teraz pozostało tylko zdjąć ją, odsunąć skobel i pchnąć stopą drzwi, aby się rozsunęły, w czym pomagał mu zresztą Burgess. Pociąg przejechał przez opustoszałe Godstone i nikt nie zauważył mężczyzny wiszącego na linie, który opuścił się do środka wagonu. Skrajnie wyczerpany upadł na podłogę.

ROZDZIAŁ 44

# PROBLEM Z UBRANIEM

Agar zeznał, że gdy Pierce znalazł się w wagonie bagażowym, w pierwszej chwili ani on, ani Burgess nie poznali go.

- Kiedy kiknąłem, dałbym sobie łeb uciąć, że to jakiś wstrętny Indianiec czy czarnuch, taki był usmolony. A ciuchy miał całe podarte, jakby go gdzieś skubnęli.

Zczaiłem, że wziął do roboty jakiegoś nowego knajaka. A tu patrzę, a to on sam...

Z pewnością wszyscy trzej mężczyźni przedstawiali dziwny widok: Burgess - schludny w czystym, niebieskim mundurze kolejowym, Agar ubrany w najlepszy garnitur, z twarzą i rękoma umazanymi zieloną mazią oraz Pierce, chwiejący się na nogach, w podartym ubraniu, od stóp do głów umazany sadzami.

Pozbierali się jednak szybko i zaczęli działać jak prawdziwi profesjonaliści. Agar zakończył zamianę. Sejfy z nową zawartością skrzyń - workami z ołowianym śrutem - zostały zamknięte. Natomiast pięć skórzanych toreb, wypełnionych teraz sztabkami złota, leżało równym rzędem przy drzwiach wagonu.

Pierce stanął na nogi i wyjął z kamizelki zegarek, nienaturalnie czysty i błyszczący złotem na końcu okopconej dewizki. Otworzył kopertę. Była godzina ósma trzydzieści siedem.

- Pięć minut - stwierdził.

Agar skinął głową. Za pięć minut mieli przejeżdżać przez całkowite odludzie, gdzie czekał Barlow, aby zebrać wyrzucone torby. Pierce usiadł i patrzył przez otwarte drzwi na przesuający się krajobraz.

- Dobrze się czujesz? - zagadnął kasiarz.

- Nieźle, ale nie uśmiecha mi się droga powrotna.

- Tak, wyglądasz jak łazęga. Przebierzesz się, kiedy wrócisz do przedziału?

Minęło nieco czasu zanim Pierce, oddychając ciężko, zrozumiał sens tych słów.

- Przebiorę się?

- Tak, zrzucisz te łachy. - Agar się uśmiechnął. Wyjdiesz w Folkestone taki jak teraz i wszyscy się ciebie przestraszą.

Pierce utkwiał wzrok w zielonych wzgórzach umykających do tyłu i słuchał stukotu kół. Oto stanął przed nim problem, którego nie przewidział, a więc i nie zaplanował jego rozwiązania. Agar miał jednak rację. Nie mógł wyjść z pociągu w Folkestone jak obszarpany kominiarz, zwłaszcza że prawie na pewno będzie go szukać Fowler, by się pożegnać.

- Nie mam ubrania na zmianę - oświadczył cicho.

- Co mówisz? - zapytał kasiarz, ponieważ hałas wiatru gwizdającego przez otwarte drzwi zagłuszył słowa.

- Nie mam w co się przebrać - powtórzył Pierce. Nigdy nie podejrzewałem... - zaczął, ale urwał.

Agar zaśmiał się.

- Więc będziesz odgrywał obdartusa, tak jak ja grałem truposza. - Klepnął się w udo. - Wreszcie będzie sprawiedliwie.

- Nie ma w tym nic śmiesznego - warknął Pierce. W pociągu jest mój znajomy, który z pewnością zwróci uwagę na mój wygląd.

Dobry nastrój kasiarza zniknął momentalnie. Poskrobał się w głowę zieloną ręką.

- I ten znajomy zwróci uwagę, jeśli nie będzie cię na stacji?

Pierce przytaknął.

- W takim razie to diabelna pułapka - uznał Agar. Rozejrzał się po wagonie, różnych pakunkach i bagażach.

- Daj mi ten pęczekagrafek, to otworzę jakieś walizy i znajdziemy coś

odpowiedniego dla ciebie.

Wyciągnął rękę po wytrychy, ale Pierce spoglądał na zegarek. Zostały jeszcze dwie minuty do chwili, kiedy wyrzucą złoto. Trzydzieści minut później powinien się zatrzymać w Ashford, a do tego czasu on musi zniknąć z wagonu bagażowego i wrócić do swego przedziału.

- Nie ma na to czasu.

- To jedyna szansa... - zaczął Agar, ale urwał. Wspólnik przyglądał mu się badawczo. - Nie, do cholery, nie!

- Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu i postury - stwierdził Pierce. - Pośpiesz się.

Odwrócił się, a kasiarz ściągnął z siebie ubranie, mrużąc przekleństwa. Wyjrzał na zewnątrz. Byli już blisko, więc przesunął torby ku drzwiom.

Przy torach ujrzał drzewo, od dawna ustalony znak orientacyjny. Następny miał być kamienny mur... Oto i on... A później stary, zardzewiały wózek, który rzeczywiście pojawił się w polu jego widzenia.

Nieco później ujrzał szczyt wzgórza i Barlowa obok powozu.

- Teraz! - zawołał i z wysiłkiem po kolei wypychał torby.

Ujrzał, jak toczą się obijając po ziemi i pędzącego do nich zaufanego sługę. Nic więcej nie udało się dostrzec, ponieważ widok zasłonił mu zakręt.

Obejrzał się na Agara, który rozebrał się do bielizny i wręczył mu swój strój.

- Trzymaj i niech cię licho porwie.

Pierce odebrał od niego ubranie, zrolował je najciaśniej jak mógł i okrył

łumoczek paskiem. Bez słowa chwycił linę i wy dostał się na zewnątrz. Burgess zamknął

za nim drzwi, a kilka sekund później rozległ się trzask przesuwanego rygla i zamykanej kłódki. Do dwójki mężczyzn wewnątrz wagonu dobiegł stukot stóp Pierce'a, który wyszedł z powrotem na dach. Lina przełożona przez oba wywietrzniki zniknęła. Jeszcze raz usłyszeli odgłos kroków i wszystko ucichło.

- Cholera, zimno mi - rzekł kasiarz. - Lepiej zrobisz, jak zamkniesz mnie z powrotem.

I położył się w trumnie.

Ledwie Pierce znalazł się na dachu, zdał sobie sprawę, że w swych planach popełnił kolejny błąd. Założył bowiem, iż przejście z przedziału do wagonu bagażowego zajmie mu tyle samo czasu co droga powrotna. Niemal natychmiast stwierdził, jak bardzo się mylił.

Droga, tym razem pod wiatr, musiała trwać znacznie dłużej. Przeszkadzała mu też paczka z ubraniem Agara, którą przyciskał do piersi. Wolną ręką czepiał się dachu, pełzną w kierunku czoła pociągu wolno jak ślimak. Po kilku minutach zorientował się, iż wciąż będzie znajdował się na dachu, gdy pociąg dojedzie do Ashford, zobaczy go i cała sprawa wyjdzie na jaw.

Na moment ogarnęła go straszna wściekłość. Jedyłą rzeczą, która się nie powiedzie, będzie ostatni element kunsztownego planu. To, iż błąd ten był wyłącznie jego winą, jeszcze spotęgowało furję. Trzymając się rozkołysanego dachu zaklął, ale podmuch powietrza był tak silny, że nie słyszał nawet własnego głosu.

Wiedział oczywiście, co musi robić. Odrzucił myśl o porażce i pełził przed siebie najszybciej, jak mógł. Znajdował się w połowie czwartego z siedmiu wagonów drugiej klasy, gdy poczuł, że pociąg zaczyna zwalniać. Dobiegł go świst lokomotywy.

Spojrzał przed siebie i ujrzał stację w Ashford: maleńki czerwony prostokąt z



szarym dachem. Nie mógł rozróżnić żadnych szczegółów, ale był pewien, że za niecałą minutę pociąg znajdzie się na tyle blisko dworca, iż pasażerowie na peronie zauważą go. Przez głowę przemknęła mu myśl, jak też zareagują na jego widok. Zerwał się i pobiegł przed siebie, skacząc bez wahania z jednego wagonu na drugi, na wpół oślepiony dymem buchającym z komina lokomotywy.

Jakimś zadziwiającym sposobem dotarł bezpiecznie do wagonów pierwszej klasy, opuścił się w dół, wpadł do przedziału i natychmiast zasłonił okno. Pociąg jechał już bardzo powoli i kiedy Pierce opadł na siedzenie, usłyszał zgrzyt hamulców i okrzyk konduktora:

- Stacja Ashford... Ashford... Ashford...

Pierce odetchnął. Udało się.

## ROZDZIAŁ 45

### KONIEC PODRÓŻY

Dwadzieścia siedem minut później pociąg dojechał do Folkestone, stacji końcowej South Eastern, i wszyscy pasażerowie wysiedli. Pierce także opuścił swój przedział, jak powiedział, "w stanie znacznie lepszym niż mógłbym wyglądać, ale mówiąc oględnie, dalekim od normalności".

Chociaż starał się jak mógł oczyścić twarz i ręce za pomocą chusteczki i śliny, zadanie znacznie trudniej było usunąć, niż przypuszczał. Nie miał lusterka, więc mógł się tylko domyślać barwy swej twarzy, sądząc po bladoszarych, pomimo wysiłków, rękach. Co więcej, podejrzewał, że włosy ma znacznie ciemniejsze niż zwykle i jedyną pociechą było to, że prawie wszystkie przykryje cylindrem.

Ale poza nakryciem głowy, strój wyglądał żałośnie. Nie noszono wprawdzie wówczas ubrań dokładnie dopasowanych do sylwetki, lecz Pierce czuł się jak

przebieraniec. W spodniach niemal dwa cale za krótkich, w tak skrojonym choć dość eleganckim surducie, każdy prawdziwy dżentelmen mógł go wziąć za nuworysza, a nie człowieka równego sobie. I oczywiście cały cuchnął zdechłym kotem.

Tak więc Pierce stanął na peronie w Folkestone przerażony. Wiedział, że większość obserwatorów uzna go za pozera, który ubierając się w używane ubrania, stara się udawać dżentelmena. Lecz zdawał sobie sprawę, iż Henry Fowler, przywiązujący wagę do niuansów statusu społecznego, od razu zauważy jego dziwny wygląd i będzie rozmyślał, co się z nim stało. Zmienione z jakiegoś powodu ubranie, może w rezultacie wzbudzić jego podejrzenia.

Pierce postanowił trzymać się z daleka od dyrektora generalnego. Planował, o ile się to uda, pomachać mu tylko na pożegnanie, że niby pilne sprawy nie pozwalają mu już choćby na chwilę pogawędki. Fowler z pewnością zrozumie człowieka, który przede wszystkim troszczy się o interesy. A ze znacznej odległości, w tłumie, dziwny strój Pierce'a nie rzuci mu się może w oczy.

I ten plan spalił na panewce, ponieważ dyrektor zaczął się przepychać w jego stronę, zanim Pierce go zauważył. U boku Fowlera, który nie wyglądał na zadowolonego, szła siostra nieboszczyka z wagonu bagażowego.

- Edwardzie, będę twoim dłużnikiem, jeśli... - urwał i aż otworzył usta.

Dobry Boże, to już koniec - przemknęło przez głowę Pierce'a.

- Edwardzie - powtórzył przyjaciel, przypatrując mu się ze zdziwieniem.

Umysł złodzieja pracował gorączkowo, gdy usiłował wymyślić jakieś rozsądne odpowiedzi na spodziewane pytania, a jego ciało oblał pot.

- Edwardzie, mój drogi, wyglądasz okropnie.

- Wiem, widzisz...

- Wyglądasz upiornie niby sama śmierć. Jesteś szary jak trup. Kiedy mówi łoś, że jazda pociągiem ci szkodzi, nie myślałem... Nic ci nie jest?

- Chyba nie - odrzekł Pierce ze szczerym westchnieniem. - S ądzę, że poczuję się lepiej po lunchu.

- Po lunchu? Tak, oczywiście, natychmiast musisz coś zjeść i wypić nieco brandy. Z tego co widzę, masz zwolnione krążenie. Powinienem ci towarzyszyć, ale, hm, widzę, że właśnie rozładowują złoto, za które jestem przecie ż odpowiedzialny. Edwardzie, wybaczysz mi? Naprawdę nie potrzebujesz pomocy?

- Jestem ci niezwykle wdzięczny za troskę i... - zaczął Pierce.

- Może ja będę panu pomocna - zaproponowała dziewczyna.

- Och, to świetny pomysł - podchwycił Fowler. Naprawd ę wyśmienity. Ona jest taka czarująca... Pozostawiam ją w twoich rękach.

Przy tych słowach rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie i popędził w stronę wagonu bagażowego. Jeszcze raz obejrzał się i zawołał:

- Pamiętaj, mocna brandy postawi ci ę na nogi... Pierce wyda ł z siebie pełne ulgi westchnienie i zwrócił się ku dziewczynie.

- Jakże mógł: nie zauważyć mojego ubrania?

- Powinieneś zobaczyć swoją twarz. Wyglądasz strasznie. - Zlustrowa ła go od stóp do głów. - Widzę, że masz na sobie strój naszego trupa.

- Mój podarł się na wietrze.

- A więc skok się udał?

Pierce w odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

Opuścił stację przed dwunastą. Panna Brigid Lawson pozosta ła dłużej, by zaj ąć się trumną. Ku irytacji dorożkarzy zrezygnowała z ich usług twierdząc, iż ma już zamówiony

własny transport.

Pojazd zajechał jednak na dworzec dopiero po pierwszej po południu. Woźnica, niesympatyczny osiłek ze szramą biegnącą przez czoło, pomógł w załadunku, zaciął konie i odjechał galopem. Nikt nie zauważył, iż powóz zatrzymał się u wylotu ulicy i wsiadł do niego jeszcze jeden pasażer dziwnie blady dżentelmen w nie dopasowanym ubraniu. Dorożka ruszyła i zniknęła w uliczkach.

Do południa skrzynie Banku Huddleston & Bradford pod strażą zostały przewiezione ze stacji kolejowej Folkestone na parowiec, który za cztery godziny odpływał do Ostendy. Jeśli uwzględnić zmianę czasu w stosunku do kontynentu, była piąta po południu, kiedy francuscy celnicy podpisali wymagane dokumenty i przejęli ładunek. Został on przetransportowany, oczywiście pod strażą, na dworzec kolejowy w Ostendzie, skąd następnego ranka miał odjechać do Paryża.

Rankiem 23 maja przedstawiciele Banku Louis Bonnard et Fils przybyli na dworzec, aby sprawdzić zawartość skrzynek przed umieszczeniem ich w pociągu odjeżdżającym o dziewiątej do stolicy Francji.

Tak więc o godzinie ósmej piętnaście stwierdzono, iż skrzynki zawierają ołowiany śrut, a po złocie nie ma nawet śladu.

To zdumiewające odkrycie zostało natychmiast przekazane telegrafem do Londynu i wiadomość dotarła do biur Banku Huddleston & Bradford w Westminsterze tuż po dziesiątej. Wywołało to największą konsternację w krótkiej, acz chwalebnej historii firmy.

## ROZDZIAŁ 46

### KRÓTKA HISTORIA

Jak można się było spodziewać, pierwszą reakcją w banku były wątpliwości, iż

cokolwiek zginęło. Telegram z Francji napisany po angielsku brzmiał: NIE MA ZŁOTA GDZIE JEST, VERNIER, OSTEND.

W obliczu tak lakonicznej wiadomości pan Huddleston oświadczył, iż z pewnością to jakieś głupie niedopatrzenie francuskich celników i uznał, że cała sprawa wyjaśni się do podwieczorku. Pan Bradford, który na co dzień nie ukrywał swej niechęci do Francji i Francuzów, stwierdził, że te wstrętne żabojady zamieniły złoto i teraz starają się obarczyć za to winą Anglików. Henry Fowler, eskortujący ładunek do Folkestone, który widział, jak znalazł się on bezpiecznie na parowcu, zwrócił uwagę, iż podpisujący się pod telegramem Vernier nie jest mu znany, i podejrzewał jakiś żart. Był to przecież czas wciąż pogarszających się stosunków między Anglikami i ich aliantami - Francuzami.

Kablem telegraficznym pod kanałem przesyłano w obie strony prośby, żądania i wyjaśnienia. W południe wyglądało na to, że parowiec z Dover do Ostendy zatonął, a złoto zaginęło w tym tragicznym wypadku. Wczesnym popołudniem jednak wyjaśniło się, że statek pokonał trasę bez przeszkód, lecz cała reszta pozostała całkowicie niejasna.

Rozpętała się wymiana telegramów między paryskim bankiem, francuskimi kolejami, angielską linią parowców, brytyjskimi kolejami i londyńskim bankiem. Kiedy dzień dobiegał końca, ton wiadomości stał się bardziej cierpki, a ich treść bardziej absurdalna. Cały ten galimatias osiągnął szczyt, gdy dyrektor South Eastern Railway zatelegrafował do dyrektora Britannic Steam Packer Company z Folkestone z zapytaniem:

# QUIEST

VERNIER.

Na

to

nadeszła

odpowiedź:

PAŃSKI

NIEPRZEMYŚLANY ZARZUT NIE UJDZIE PANU PŁAZEM.

W porze herbaty na biurkach szefów Banku Huddleston & Bradford piętrzyły się telegramy, a gońcy zostali wysłani do domów obu dżentelmenów, by poinformować żony, iż mężowie nie wrócą na kolację, ponieważ mają na głowie ważne problemy. Atmosferę niezachwianego spokoju i pogardy dla nieodpowiedzialności Francuzów zastępował rosnący niepokój, iż rzeczywiście coś się stało ze złotem. Widać było, że Francuzi są zmartwieni co najmniej tak samo jak Anglicy. Sam Bonnard udał się na wybrzeże popołudniowym pociągiem, aby zbadać sytuację w Ostendzie. Był znanym odludkiem i jego decyzja o tej wyprawie została uznana za najlepszy dowód, że sytuacja jest poważna.

O siódmej wieczorem, kiedy większość urzędników bankowych udała się już do domów, wśród szefów banku panował nastrój zdecydowanie pesymistyczny. Sir Edgar był rozdrażniony, od Bradforda czuć było ginem, Fowler był blady jak ściana, a Trentowi trzęsły się ręce. Na krótką chwilę zapanowało podniecenie, gdy około siódmej trzydzieści do banku dostarczono papiery z odprawy celnej z Ostendy, podpisane poprzedniego dnia przez Francuzów. Stwierdzano w nich, iż o godzinie piątej wieczorem 22 maja wyznaczony do tego przedstawiciel Bonnard et Fils, ów Raymond Vernier, poświadczył

odbiór dziewiętnastu zapieczętowanych skrzynek wysłanych przez Bank Huddleston & Bradford, zawierających dwanaście tysięcy funtów szterlingów w złocie.

- No, mamy wreszcie ten cholerny dowód w ręku stwierdził sir Edgar, wymachując w powietrzu papierem. Jeśli cokolwiek się zdarzyło, to niech się o to martwią Francuzi.

Przesadził nieco określając sytuację prawną i zdawał sobie z tego sprawę.

Wkrótce otrzymał długi telegram z Ostendy:

PAŃSKA WYSYŁKA DZIEWIĘTNASTU (19) SKRZYNEK DOTARŁA DO OSTENDY

WCZORAJ 22 MAJA

O PIĄTEJ WIECZOREM NA STATKU "ARLINGTON" PRZESYŁKA PRZYJĘTA

PRZEZ NASZEGO PRZEDSTAWICIELA BEZ ŁAMANIA PIECZĘCI WYGLĄDAJĄCYCH

NA NIE NARUSZONE PRZESYŁKA UMIESZCZONA W SEJFIE W OSTENDZIE POD

STRAŻĄ W NOCY 22 MAJA PRZED ODPRAWĄ BRAK ŚLADÓW WŁAMANIA

STRAŻNIK ZAUFANY RANO MAJA PRZEDSTAWICIEL ŁAMIE PIECZĘCIE PRZESYŁKA

ZAWIERA OŁOWIANY ŚRUT BRAK ZŁOTA WSTĘPNE OGLEDZINY STWIERDZAJĄ

**ANGIELSKIE**

**POCHODZENIE**



**ŚRUTU**

**ZERWANE**

# PLOMBY

SUGERUJĄ

WCZEŚNIEJSZE USZKODZENIE

I UMIEJĘTNE PONOWNE ZAPLOMBOWANIE NIE WZBUDZAJĄCE PODEJRZEŃ

PRZY ZWYKŁYCH OGLEDZINACH NATYCHMIASTOWE POWIADOMIENIE POLICJI I

RZĄDU W PARYŻU PROSZĘ POWIADOMIĆ WŁADZE ANGIELSKIE CZEKAM NA

ROZWIĄZANIE TEJ ZAGADKI

LOUIS BONNARD, PREZES BONNARD ETFILS, PARYŻ NADANE Z OSTENDY

Sir Edgar zareagował na ten telegram, jak to określono, "z podnieceniem i

zdeenerwowaniem, spowodowanym stresem i późną godziną". Nie przebierał w słowach

mówiąc o sąsiadach zza kanału, ich kulturze oraz przyzwyczajeniach. Pan Bradford,

krzycząc jeszcze głośniej, wyraził własny sąd o nienaturalnym upodobaniu Francuzów do

zażyłości ze zwierzętami domowymi. Pan Fowler sprawiał wrażenie pijanego, a pan Trent

przeżywał ostry atak bólu w piersiach.

Była niemal dwudziesta druga, gdy bankierzy uspokoili się na tyle, że sir Edgar

rzekł do Bradforda:

- Ja powiadomię ministra, a ty skontaktuj się ze Scotland Yardem.

Wydarzenia następnych dni były łatwe do przewidzenia. Anglicy podejrzewali

Francuzów, a Francuzi Anglików. Wszyscy podejrzewali angielskie koleje, które

podejrzewały, że wszystko to wina linii żeglugowej, a ta z kolei podejrzewała francuskich

celników.

Angielscy policjanci we Francji i francuscy w Anglii współzawodniczyli w śledztwie

z prywatnymi detektywami, wynajętymi przez banki i linie przewozowe. Wszyscy

proponowali nagrodę za informację, która by pomogła ująć sprawców, więc informatorzy

po obu stronach kanału szybko odpowiedzieli sprzecznymi ze sobą donosami.

Zrodziło się mnóstwo teorii na temat zaginięcia złota, poczynając od wykorzystania przypadkowej sposobności przez angielskich lub francuskich łotrzyków, a kończąc na spisku najwyższych urzędników obu rządów, którego celem były osobiste korzyści, a jednocześnie popsucie stosunków z sojusznikami. Sam lord Cardigan, wielki bohater wojenny, wyraził opinię, że "musi to być sprytna kombinacja skąpstwa i polityki".

Jednak najpowszechniejsze po obu stronach kanału było przekonanie, iż sprawcy kradzieży kryją się wewnątrz zainteresowanych instytucji. Za tą teorią przemawiały fakty: przestępcy posiadali informacje szczegółowe, kradzież była również idealnie zaplanowana i dokonana. Trudno było sobie wyobrazić, aby sprawcy nie mieli współników w firmach realizujących wypłatę złota. Tak więc każdego, kto nawet w najmniejszym stopniu był z nimi związany, wzięto pod obserwację i przesłuchano. Zapół policji w zbieraniu informacji prowadziła do paradoksalnych sytuacji. Na przykład dziesięcioletni wnuk komendanta portu w Folkestone był przez kilkanaście dni śledzony przez tajniaków z powodów, których później nie udało się nawet ustalić. Takie incydenty zwiększały tylko ogólne zamieszanie, a przesłuchania wlokły się miesiącami. Każdą nową wskazówkę lub choćby przypuszczenie natychmiast rozważała i komentowała cała prasa, pochłonięta tą sprawą bez reszty.

Do dnia 17 czerwca, czyli niemal miesiąc po skoku, nie zrobiono żadnego postępu w śledztwie. Wtedy to, na żądanie władz francuskich, sejfy z Ostendy, z parowca i z pociągu linii South Eastern zostały zwrócone ich wytwórcom w Paryżu, Hamburgu i Londynie w celu zbadania zamków. Odkryto wówczas, że wewnątrz zamków sejfów Chubba znajdują się opiłki żelaza, ślady smaru oraz wosku. W innych sejfach żadnych podejrzanych śladów nie stwierdzono.

Odkrycie to skupiło uwagę na strażniku wagonu bagażowego nazwiskiem

Burgess, którego przesłuchiowano już wcześniej i zwolniono. Dnia 19 czerwca Scotland Yard wydał nakaz aresztowania Burgessa, lecz zniknął on wraz z całą rodziną bez śladu. Następane tygodnie poszukiwań nie przyniosły efektu.

Przypomniano sobie wtedy, że na linii South Eastern miała już miejsce kradzież, zaledwie tydzień przed zniknięciem złota. Powiązano ten fakt z wynikami badań sejfów, co jednoznacznie ukierunkowało dochodzenie potwierdzając podejrzenia, iż kradzież miała miejsce w pociągu przewożącym ładunek na trasie Londyn-Folkestone. A kiedy South Eastern Railway zatrudniła detektywów, aby udowodnić, że kradzież została dokonana przez Francuzów, podejrzenia zamieniły się w pewność. Prasa zaś zaczęła określać ten rabunek jako Wielki Skok na Pociąg.

Przez cały lipiec i sierpień Wielki Skok na Pociąg był głównym tematem zarówno w prasie, jak i w rozmowach. Choć nikt nie był w stanie dokładnie opisać, w jaki sposób go dokonano, z faktu że został przygotowany tak precyzyjnie i brawurowo wkrótce wyciągnięto wniosek, że mógł być dziełem jedynie Anglików. Francuzi zostali uznani za zbyt ograniczonych i tchórzliwych, by choć wyobrazić sobie tak śmiałe przedsięwzięcie, nie mówiąc już o jego realizacji.

Kiedy pod koniec sierpnia nowojorska policja ogłosiła, iż ujęła złodziei i są oni Amerykanami, angielska prasa zareagowała pełnym pogardy powątpiewaniem. I rzeczywiście, za kilka tygodni okazało się, iż tamtejsza policja myliła się, a ich podejrzani o kradzież nigdy nie postawili stopy na angielskiej ziemi. Domniemani sprawcy należeli, według słów korespondenta, "do tego rodzaju dziwaków, którzy gotowi są przyznać się do wszystkiego, aby zyskać sławę i powszechne zainteresowanie i zaspokoić żądę znalezienia się choć na chwilę w centrum uwagi".

W angielskich gazetach drukowano każdą plotkę, pogłoskę i podejrzenie dotyczące skoku, doszukując się jego wpływu na inne wydarzenia. Na przykład kiedy królowa Wiktorja udała się w sierpniu do Paryża, prasa si ę zastanawiała, w jakim stopniu kradzież będzie rzutować na jej przyjęcie (w istocie nie miało to najmniejszego znaczenia). Było jednak oczywiste, że przez całe lato śledztwo nie posunęło się ani o krok i zainteresowanie sprawą znacznie osłabło. Wyobraźnia ludzi karmi ła się nią już od czterech miesięcy. Zaczęło się od wrogiego stanowiska wobec Francuzów, którzy najwyraźniej ukradli złoto. Potem przysły podejrzenia skierowane przeciw angielskim potentatom finansowym i przemysłowym, którym zarzucano całkowitą nieodpowiedzialność, a nawet dokonanie samej kradzieży. Wreszcie nastąpiło coś w rodzaju podziwu dla pomysłowości i odwagi przestępców, którzy na dodatek nie dawali się złapać.

Jednak z braku świeżych doniesień Wielki Skok na Pociąg stawał się coraz mniej atrakcyjnym tematem i w końcu opinia publiczna straciła dla niego zainteresowanie. Ludzie, którzy mieli do śc antyfrancuskich nawo ływań, uznania dla przestępców przy równoczesnym wieszaniu psów na bankierach, kolejarzach, dyplomatach i policji, byli gotowi w końcu przywrócić im dawne miejsca. Krótko mówiąc chcieli, aby złodzieje zostali złapani i to szybko.

Ale nic nie wskazywa ło na to, że zostaną złapani. O "nowych mo żliwościach rozwoju sprawy" wspomiano z coraz mniejszym przekonaniem. W ko ńcu września pojawiła się plotka, według której pan Harranby ze Scotland Yardu wiedział o mającym nastąpić skoku, ale nie zdołał mu zapobiec. Policjant energicznie zaprzeczał tym pogłoskom, ale odezwało się kilka głosów żądających jego dymisji. Firma bankierska Huddleston & Bradford, która latem zanotowała niewielki wzrost obrotów, teraz cierpiała na pewien zastój. Gazety, nadal rozpisujące się o skoku, zaczęły sprzedawać się gorzej. W październiku 1855 roku Wielki Skok na Pociąg nie interesował w Anglii już nikogo. Zatoczony został pełen krąg, od bezgranicznej fascynacji tematem do zakłopotania bezradnością, która kazała jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie.

## CZEŚĆ V

ARESZTOWANIE listopad 1856 - sierpień 1857

ROZDZIAŁ 47

# SZANSA DLA GOLACZKI

Od roku 1605 obchodzone w Anglii 5 listopada narodowe święto, zwane Dniem Spisku Prochowego lub Dniem Guy Fawkesa. Te obchody w roku 1856 "News" opisa ły: "podobnie jak w ostatnich latach, mia ły na celu dobroczynno ść i zwykłą zabawę. Oto chwalebny przykład: w ńrodowy wieczór zorganizowano wielki pokaz sztucznych ogni na terenie Merchant Seamerfs Orphan Asylum przy Bow-road, aby zdoby ć ńrodki finansowe na pomoc dla tego sierocińca. Teren zosta ły oświetlony i zaangażowano nawet zespół muzyczny. Na ty łyach zabudowań ustawiono szubienicę, na której wisia ły kukła papieży, a wokół rozmieszczono kilkana ńcie beczek z dziegciem, które we w łyaciwym czasie zap łyone ły wysokim płomieniem. Na pokazie zjawi ły si ę mnóstwo ludzi, co gwarantowa ły uzyskanie znacznych funduszy".

Wszędzie tam gdzie zbiera ły si ę tłum i dzia ły si ę co ń absorbuj ący uwagę ludzi, aż roi ły si ę od kieszonkowców i innych złodziei. Tego wieczora policja mia ły na terenie sierocińca pełne ręce roboty. Zatrzymano co najmniej trzynastu "w łyóczegów i drobnych łyotrzyków". W ńród nich znajdowa ły si ę kobieta oskarżona o okradzenie pijanego mężczyzny. Aresztowa ły ją policjant nazwiskiem Johnson, a sposób w jaki si ę to odby łyo, wymaga opisanie.

Dwudziestotrzyletni policjant patrolowa ły teren przytułku, gdy przy ńwietle wybuchaj ących nad głową fajerwerków zauważy ły kobietę przykucni ętą przy mężczyźnie, który leża ły twarzą ku ziemi. S ącyżąc, że ma przed sobą chorego, policjant pospieszył, aby zaproponowa ć pomoc. Gdy si ę zbliży ły, dziewczyna wzię łya nogi za pas. Popędzi ły więc za nią, dogoni ły ją i powali ły na ziemię, chwytaj ący za spódnicę.

Przygl ący si ę jej z bliska, stwierdzi ły, iż jest to "kobieta lubieźnego wygl ącydu", i od razu domyśli ły si ę rzeczywistych powodów zainteresowania mężczyzną. Okrada łya go, gdy

nie czuł nic w alkoholowym upojeniu, była zatem przestępczynią najniższej kategorii, tak zwaną golaczką. Johnson postanowił ją aresztować.

Dziewczyna wzięła się pod boki i popatrzyła na niego prowokacyjnie.

- Nic na mnie nie ma - o świadczyła. Policjant zawahał się. Stał przed poważnym dylematem. W epoce wiktoriańskiej mężczyzna był zobligowany do traktowania wszystkich kobiet, nawet tych z dołów społecznych, z delikatnością, przynależną ich naturze. Ta kobieca natura, jak było zapisane w policyjnym podręczniku, oznaczała "święte źródło uczuć, uszlachetniające bogactwo macierzyństwa, czułość, głęboką delikatność itd. Wszystkie te cechy składające się na istotę kobiecego charakteru mają swe źródło w biologii i fizjologii, które decydują o różnicach pomiędzy płciami. Tak więc funkcjonariusz musi pamiętać o owej istocie kobiecego charakteru, i to bez względu na pozory jej braku, i należycie ją szanować".

Przekonanie, iż osobowości mężczyzny i kobiety determinują różnice biologiczne, było, przynajmniej w pewnym stopniu, niemal powszechne, pomimo dowodów na bezpodstawność takiego twierdzenia. Na przykład człowiek interesu wychodził co dzień do pracy, pozostawiając swej "bezrozumnej" żonie zarządzanie gospodarstwem, co niejednokrotnie było trudniejsze od jego w łasnych obowiązków zawodowych. Nigdy jednak nie oceniał jej pracy w sposób obiektywny.

Wobec takich absurdów policjanci mieli nie lada kłopoty. Z wrodzoną kobiecą delikatnością istotnie trudno było sobie poradzić, gdy się miało do czynienia z przestępczyniami. W efekcie kryminaliści czerpali korzyści z tej sytuacji, zatrudniając często kobiety jako współpracownice. Policja nie kwapiła się, by je aresztować.

Johnson, stojąc przed tą obdartą dziewczyną wieczorem listopada, doskonale zdawał sobie sprawę z sytuacji. Kobieta utrzymywała, że nie ma przy sobie żadnych



skradzionych przedmiotów, a jeśli to prawda, nic nie można jej zrobić, nawet gdyby zeznał, że widział, jak okradała pijanego. Bez dowodu w postaci zegarka czy innego przedmiotu niewątpliwie należącego do ofiary ujdzie jej to na sucho.

Nie mógł jej jednak przeszukać. Dotknięcie kobiecego ciała przez policjanta było nie do pomyślenia. Jedyne wyjście to odprowadzić podejrzaną na komisariat, gdzie do przeszukania wzywano pielęgniarkę. Godzina była jednak późna i trzeba by ją zerwać z łóżka. Komisariat zaś znajdował się o dobre kilka przecznic, więc w drodze przez ciemne ulice aresztowana będzie miała mnóstwo sposobności do pozbycia się obciążających ją przedmiotów.

Co więcej, jeśli Johnson przyprowadzi ją na komisariat, wezwie pielęgniarkę i narobi zamieszania, a okaże się, że dziewczyna jest czysta, wyjdzie na durnia i narazi się na ostrą reprymendę. Wiedział o tym tak samo dobrze jak golaczka stojąca przed nim w postawie bezczelnej i prowokującej.

Sprawa nie była warta ryzyka i policjant był skłonny puścić dziewczynę wolno.

Przełożeni zwracali mu jednak uwagę, że jego rejestr aresztowań jest za krótki i zalecili większą aktywność w tępieniu przestępczości. A to oznaczało, że jego praca wisi na włosku.

W rezultacie Johnson, oświetlany od czasu do czasu wybuchami fajerwerków, niechętnie postanowił zabrać golaczkę do komisariatu, ku jej wyraźnemu zdziwieniu.

Sierżant Dalby był w kiepskim nastroju, ponieważ wezwano go na służbę w świąteczny wieczór, a na dodatek musiał sam siedzieć w komisariacie.

Rzucił piorunujące spojrzenie Johnsonowi i kobiecie u jego boku, która przedstawiła się jako Alice Nelson, a swój wiek określiła na lat "osiemnaście albo coś koło tego". Dalby westchnął i sennie potarł czoło, wypełniając formularz. Wysłał

Johnsona po pielęgniarkę, a dziewczynie polecił usiąść w kącie. Komisariat był opuszczony i cichy, tylko z dala dochodziły odgłosy wybuchów i gwizdy fajerwerków.

Sierżant nosił w kieszeni butelczynę i nocą często z niej pociągał. Ale teraz to ladaco siedziało tutaj i cokolwiek przeskrobało, on nie mógł sobie łyknąć. Wraz z upływem czasu coraz bardziej prześladowała go myśl o tym łyku. Ilekroć nie mógł sięgnąć po piersiówkę, najbardziej mu się chciało po nią sięgnąć.

Po pewnym czasie dziewczyna przemówiła:

- Jak pan myśli, że mam coś pod ubraniem, niech sam sprawdzi.

Powiedziała to zachęcającym tonem i na potwierdzenie swoich słów zaczęła przesuwać dłońią po udzie.

Na pewno znajdzie pan wszystko, co pan zechce dodała.

Sierżant westchnął.

Dziewczyna nie zaprzestała go zachęcać.

- Wiem czego panu potrzeba i może pan na mnie liczyć, Bóg mi świadkiem.

- I złapać syfa. Znam takie jak ty, złotko.

- Ależ co pan - zaprotestowała ostro. - Nie ma pan prawa tak gadać. Jestem zdrowa i zawsze byłam.

- Tak, tak - przyznał Dalby zmęczonym głosem, znów myśląc o butelce. - Zawsze jesteście zdrowe, co?

Dziewczyna zamilkła. Zaprzestała lubieżnych gestów i usiadła prosto na krześle.

- Ubijmy interes, a zapewniam, że będzie pan zadowolony - zaproponowała w końcu.

- Złotko, nie ma mowy o żadnym interesie - oświadczył sierżant nie zwracając uwagi na aresztantkę.

Znał ten nudny schemat, obserwował takie sceny niemal każdego dnia. Zaczynało się od niedwuznacznej propozycji popartej gestami, a jeśli to nie przyniosło oczekiwanych rezultatów, nadchodziła pora na rozmowę o łapówce.

Zawsze było tak samo.

- Niech mnie pan puści, to dam panu złotą gwineę zaproponowała.

Dalby westchnął i pokręcił głową. Jeśli ta istota miała przy sobie złotą gwineę, stanowiło to pewny dowód, że była gołaczką, tak jak twierdził młody Johnson.

- A więc dobrze, dostanie pan dziesięć. W jej głosie pobrzmiwał teraz strach.

- Dziesięć gwinei? - zapytał sierżant.

To było coś nowego. Nigdy dotąd nie zaproponowano mu aż dziesięciu gwinei.

Uznał, że muszą być fałszywe.

- Obiecuję, że dostanie pan dziesięć.

Dalby zawahał się. Miał się za człowieka twardych zasad, który działa w imieniu prawa. Lecz jego tygodniowe zarobki wynosiły tylko piętnaście szylingów i nieźle trzeba się było na nie napocić. Dziesięć gwinei to bez wątpienia było coś. Pozwolił sobie pomarzyć.

- Dobrze... - zaczęła i wahała się przez chwilę, zanim dokończyła: - niech będzie sto! Sto złotych gwinei!

Policjant roześmiał się. Tak abstrakcyjna propozycja sprowadziła go na ziemię. W twarde dziewczyna wymyśla zapewne niestworzone rzeczy. Sto gwinei! Absurd.

- Nie wierzy mi pan?

- Uspokój się - polecił.

W myślach znów ujrzał tkwiącą w kieszeni piersiówkę. Zapadła cisza, tylko aresztantka gryzła wargi. Wreszcie rzekła:

- Wiem coś niecoś.

Dalby utkwiał wzrok w suficie. By ło to tak łatwe do przewidzenia. Nie uda ło si ę z łapówk ą, teraz wi ęc nadszedł czas na ofert ę informacji o jakimś przest ępstwie. Zawsze to samo. Zapewne g ównie z nudów zapytał:

- Jakie coś niecoś?

- Prawdziwy gruby skok, nie bujam.

- A co mianowicie?

- Wiem, kto zrobił skok na pociąg.

- Matko Boska, ależ z ciebie spryciara. Skąd u licha wiesz, że właśnie to chcemy usłyszeć, i to od takiej obdartuski, dziwki i golaczki jak ty? Każdy, kto tu trafia, zna jakąś historię wartą opowiedzenia. Słyszałem już setki kapusiów.

Uśmiechnął się lekko. W rzeczywistości odczuwał coś w rodzaju współczucia do dziewczyny. Była golaczką przestępczynią najpodlejszego gatunku - i nie potrafiła nawet wymyślić żadnej rozsądnej łapówki. Obecnie rzadko oferowano informacje na temat skoku na pociąg. Była to stara sprawa i nikt ju ż nie zwracał na to uwagi. Istniało mnóstwo świeższych przestępstw, o których można było zakapować.

- Mówię, że nie bujam - starała się go przekonać dziewczyna. - Znam faceta, który zrobił ten skok i mogę pomóc wam szybko go złapać.

- Tak, tak.

- Przysięgam - zarzekała się coraz bardziej zdesperowana złodziejka. -

Przysięgam.

- Wi ęc kto to?

- Nie powiem.

- Dobrze, ale mam nadzieję, że znajdziesz dla nas tego cz łowieka, jeśli puścimy

cię wolno i pozwolimy ci go szukać, prawda?

Dalby pokręcił głową i spojrzał na aresztantkę, która sprawiała wrażenie zdziwionej. Takie zawsze były zdziwione, gdy gliniarz za nie kończył nieudolną historyjkę. Dlaczego wszystkie musiały brać policjanta za skończonego idiotę?

Ale to sierżant poczuł się nagle zaskoczony, ponieważ dziewczyna odrzekła cicho:

- Nie.
- Nie?
- Nie - powtórzyła. - Wiem dokładnie, gdzie go można znaleźć.
- Ale musisz nas do niego zaprowadzić.
- Nie.
- Nie? - Dalby zawahał się. - A więc gdzie można go znaleźć?
- W Newgate.

Jej słowa dotarły do policjanta ze znacznym opóźnieniem.

- W Newgate? Dziewczyna przytaknęła.
- A jak się nazywa? Uśmiechnęła się.

Wkrótce sierżant wysłał gońca do Scotland Yardu, aby powiadomić o sprawie biuro pana Harranby'ego. Ta historia była tak dziwna, że mogła mieć w sobie coś z prawdy.

Do świtu władze znały już sytuację w ogólnym zarysie. Kobieta, Alice Nelson, była kochanką Roberta Agara, ostatnio aresztowanego pod zarzutem fałszerstwa banknotów pięciofuntowych. Oczywiście upierał się przy swej niewinności, lecz został osadzony w Newgate i oczekiwał na proces.

Dziewczyna, która była na utrzymaniu, chwyciła się różnego rodzaju występków, aby przeżyć, i ujęto ją, gdy okradała pijanego mężczyznę. Późniejsze raporty mówią, że

okazała "ogromne opory w obliczu zamknięcia w areszcie", co mo że oznaczać, iż cierpiała na klaustrofobię. W każdym razie sypnęła swego kochanka. Powiedziała wszystko, co wiedziała. Nie było tego wiele, ale wystarczy ło Harranby'emu, aby posłać po Agara.

## ROZDZIAŁ 48

# POLOWANIE NA KANGURY

"Dogłębne zrozumienie błędzącego umysłu kryminalisty/ jest podstawą podczas policyjnego przesłuchania" - napisał Edward Harranby w swych wspomnieniach. On sam z pewnością miał to "zrozumienie", lecz musiał przyznać, że siedzący przed nim mężczyzna przedstawiał szczególnie trudny przypadek. Mijała już druga godzina wypytywania, a Robert Agar wciąż zaprzeczał wszystkiemu.

Podczas przesłuchań Harranby stosował metodę polegającą na wyprowadzaniu oskarżonych z równowagi. Agar zdawał się jednak łatwo radzić sobie z tą taktyką.

- Panie Agar - rzekł Harranby. - Kto to jest John Simms?

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Kto to jest Edward Pierce?

- Nigdy o nim nie słyszałem. Mówię panu. Przesłuchiwany zakaszał w chusteczkę, zaoferowaną przez Sharpa.

- Czy ten Pierce nie jest sławnym złodziejem?

- Nie wiem.

- Nie wiesz.

Policjant westchnął. Był pewien, że Agar kłamie. Jego postawa, spuszczone wzrok, gesty rąk - wszystko wskazywało na oszustwo.

- A więc, panie Agar, od jak dawna fałszuje pan pieniądze?

- Nie miałem fajansu - zaprotestował kasiarz. - Przysięgam, że to nie byłem ja.

Byłem na dole w pubie i miałem przy sobie tylko kilka szylingów. Przysięgam.

- Jesteś więc niewinny.

- Tak, jestem.

Harranby milczał przez chwilę.

- Kłamiesz - rzekł wreszcie.
- Mówię prawdę, jak mi Bóg miły.
- Wylądujesz w pudle na wiele lat. Nie ma wątpliwości.
- Jestem zupełnie niewinny - rzucił Agar ze wzburzeniem.
- Kłamstwa, wszystko kłamstwa. Jesteś fałszerzem, to jasne i proste.
- Przysięgam. Nie zajmuję się robotą na fryko. To nie ma sensu...

Nagle urwał.

W pokoju zapanowała cisza, zakłócana tylko cykaniem ściennego zegara.

Harranby zakupił go właśnie ze względu na wydawane przezeń odgłosy, na tyle głośne, że denerwowały przesłuchiwanego.

- Dlaczego to nie ma sensu? - zapytał miękko.
- Dlatego że jestem uczciwy - wyjaśnił Agar, patrząc w podłogę.
- A jaką uczciwą pracą się zajmujesz?
- Robię tu i tam.

Była to wymówka, ale nie dało się jej obalić. W tym czasie w Londynie było niemal pół miliona niewykwalifikowanych robotników, którzy korzystali z każdej okazji, aby zarobić parę szylingów.

- Gdzie?
- No więc pracowałem przez dzień w gazowni w Millbank, dwa dni w Chenworth przy przewozie cegieł. Tydzień robiłem dla pana Barnhama przy sprzątnięciu piwnicy.

Łapię, co się da.

- Ci pracodawcy pamiętaliby cię? Przesłuchiwany uśmiechnął się.
- Może.

Harranby zapędził się w kolejną ślepią uliczkę. Pracodawcy często nie pamiętali



zatrudnianych na jakiś czas lub mylili ich. W każdym razie nic to nie dawało.

Policjant przyjrzał się dłoniom Agara, które spoczywały na jego udach. Zauważył dłuższy od innych paznokieć u małego palca. Został wprawdzie obgryziony, dla niepoznaki, ale i tak się wyróżniał.

Taki paznokieć mógł jednak wiele znaczyć. Żeglarze "zapuszczali je" na szczęście, szczególnie greccy, urzędnicy posługiwali się takim paznokciem, aby odklejać pieczęcie od gorącego wosku. Ale on...

- Od jak dawna jesteś kasiarzem? - zapytał Harranby.

- Co? - zdziwił się Agar z niewinną miną. - Kasiarzem?

- Nie udawaj, wiesz dobrze, o co pytam.

- Kiedyś pracowałem jako tracz. Spędziłem rok na północy i robiłem w tartaku.

Policjant nie dał się zbić z tropu.

- Dorabiałeś klucze do sejfów?

- Klucze? Jakie klucze? Harranby westchnął.

- Nie masz przed sobą przyszłości jako aktor.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi. O jakich kluczach pan mówi?

- Kluczach do skoku na pociąg. Agar zaśmiał się.

- Jezu, myśli pan, że gdybym robił w tym skoku, to teraz bawiłbym się w jakieś fałszerstwa? Tak pan myśli? To bez sensu.

Oblicze policjanta pozostało bez wyrazu, ale zdał sobie sprawę, że przesłuchiwany ma rację. Złodziej, który uczestniczył w zrabowaniu dwunastu tysięcy funtów nie zajmowałby się podrabianiem pięciofuntówek.

- Nie ma sensu udawać - rzekł jednak. - Wiemy, że Simms cię wykiwał. Nie obchodzi go twój los, więc po co go ochraniaasz?

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Zaprowadź nas do niego, a otrzymasz odpowiednią nagrodę za te kłopoty.

- Nigdy o nim nie słyszałem - powtórzył Agar. - Czy pan nie może tego zrozumieć?

Policjant umilkł i przyjrzał się przesłuchiwanemu, który siedział spokojnie, tylko od czasu do czasu łapał go atak kaszlu. Rzucił okiem na siedzącego w kącie Sharpa.

Nadszedł czas na zmianę taktyki.

Wziął z biurka kartkę papieru i włożył na nos okulary.

- A więc... oto twoja kartoteka. Nie ma w niej nic dobrego.

- Kartoteka? - Teraz jego zdziwienie było szczere. Ja nie mam kartoteki.

- A jednak masz - stwierdził Harranby przesuwając palcem po tekście. - Robert

Agar... hm... dwadzieścia sześć lat... hm... urodzony w Bethnal Green... hm... Tak, o tutaj.

Sześć miesięcy w więzieniu w Bridewell w 1849 roku za włóczęgostwo...

- To nieprawda! - wybuchnął przesłuchiwany.

- ...i w Coldbath, rok i osiem miesięcy w 1852 roku za kradzież.

- To nieprawda, przysięgam, że to nieprawda! Harranby spojrział na więźnia spod okularów.

- Tak jest napisane w kartotece. Sądzę, że zainteresuje to sędziego. Jak myślisz, Sharp, ile dostanie?

- Zesłanie na co najmniej czternaście lat - zawyrokował zapytany, głęboko się najpierw zastanowiwszy.

- Hm, tak, czternaście lat w Australii, mnie też się tak wydaje.

- W Australii? - powtórzył Agar cicho.

- Tak sądzą.

Przesłuchiwany milczał.

Harranby wiedział, że choć zesłanie miało opinię strasznej kary, sami kryminaliści traktowali banicję w Australii spokojnie, widząc w niej nawet szansę na poprawę swego losu. Wielu przestępców uznawało, że można to przeżyć, a "polowanie na kangury" było bez wątpienia ciekawsze od pobytu w angielskim więzieniu.

Istotnie Sydney w Nowej Południowej Walii było w tamtym czasie rozwijającym się, pięknym portem zamieszkanym przez trzydzieści tysięcy ludzi. Co więcej, było to miejsce, gdzie "przeszłość się nie liczy, a wspomnienia i ciekawość są szczególnie niepożądane..."

Życie tam, choć nie pozbawione brutalności - na przykład tamtejsi rzeźnicy uwielbiali obdzierać z piór żywy jeszcze drób - było jednak także przyjemne. Latarnie gazowe, eleganckie rezydencje, kobiety obsypane klejnotami i kolonialna pretensjonalność... Człowiek taki jak Agar mógł więc uznać zesłanie jako swego rodzaju błogosławieństwo.

On jednak był wstrząśnięty. Nie wyobrażał sobie po prostu, że można opuścić Anglię. Widząc to, Harranby poczuł się pewniej. Wstał.

- Na dzisiaj starczy - oświadczył. - Jeśli w najbliższych dniach przypomnisz sobie, że jest coś, o czym chcesz mi powiedzieć, zawiadom strażników w Newgate.

Agar został wyprowadzony z pokoju. Harranby z powrotem zasiadł za biurkiem.

Sharp podszedł do niego.

- Co pan czytał? - zapytał. Policjant wziął kartkę do ręki.

- Prośbę od komitetu budowlanego, żeby powozów nie stawiać na dziedzińcu.

Po trzech dniach Agar poinformował strażnika, że chciałby spotkać się z panem

Harranbym. Dnia 13 listopada opowiedział mu wszystko, co wiedział, o skoku w zamian za obietnicę łagodniejszego traktowania i niezobowiązujące zapewnienie, że chociaż jedna z zainteresowanych instytucji - bank, kolej, czy nawet sam rząd - da mu wciąż nie

przyznaną nagrodę.

Agar nie wiedział, gdzie było przechowywane złoto. Powiedział, że Pierce wypłacał mu co miesiąc udział w banknotach. Wcześniej umówili się, że podzielą się łupem w dwa lata po skoku, w maju 1857 roku.

Kasiarz znał jednak adres Pierce'a. Wieczorem 13 listopada policja otoczyła dom Edwarda Pierce'a czy Johna Simmsa i weszła do środka z bronią gotową do strzału. Właściciela jednak nie zastali. Przerażeni służący wyjaśnili, że wyjechał na walkę pięściarską, która miała się odbyć następnego dnia w Manchesterze.

ROZDZIAŁ 49

# MECZ BOKSERSKI

Walki na pięści teoretycznie były w Anglii zabronione, ale odbywały się przez cały dziewiętnasty wiek i cieszyły ogromnym powodzeniem. Z obawy przed władzami, ważne spotkanie mogło być przeniesione z jednego miasta do innego w ostatniej chwili, ale i tak zawsze walczone w obecności ogromnego tłumu kibiców.

Walka wyznaczona na 19 listopada, pomiędzy Smashing Timem Reversem -

Walczącym Kwakrem - i Neddym Singletonem, została przeniesiona z Liverpoolu do miasteczka Eagle Welles, a następnie do Warrington, niedaleko Manchesteru. Zjawilo się na niej ponad dwadzieścia tysięcy widzów, którzy po zakończeniu uznali to widowisko za niezbyt ciekawe.

W boksie obowiązywały wówczas zasady zupełnie inne niż obecnie. Walczono na gołe pięści, a zawodnicy uważali podczas zadawania ciosów, by nie uszkodzić sobie dłoni ani przedramion. Bokser, który złamał kłykiec lub nadgarstek na początku spotkania, był niemal automatycznie skazany na porażkę. Czas trwania rund był różny, i z góry określano, ile ich będzie. A bywało nawet pięćdziesiąt lub osiemdziesiąt rund, więc pojedynek ciągnął się przez prawie cały dzień. Celem tego sportu było powoli, metodycznie bić i ranić przeciwnika. Praktycznie nie widziało się nokautów, a zwycięzca zmuszał po prostu przeciwnika do poddania się.

Od samego początku Neddy Singleton był zdecydowanie słabszy od Smashing Tima. W pierwszej fazie walki Neddy przyjął taktykę przyklęknięcia na jedno kolano po każdym celnym ciosie przeciwnika, aby mieć czas na odzyskanie oddechu. Widzowie gwizdali i wyli, widząc takie sztuczki, ale nie można było im zapobiec. Sędzia, zobowiązany liczyć do dziesięciu, robił to tak wolno, iż jasne było, że został opłacony przez popleczników Neddy'ego. Oburzenie publiczności osłabło jednak, gdy

uświadomiła sobie, iż pozwoli to przedłużyć krwawe widowisko.

Wśród tysięcy widzów aż roiło się od najgorszych zbirów, policjanci więc starali się nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Agar, z lufą rewolweru wbitą w bok, z daleka wskazał Pierce'a i towarzyszącego mu Burgessa. Obaj mężczyźni zostali aresztowani niezwykle dyskretnie. Im także przystawiono ukryte lufy do pleców i szeptem poradzono iść spokojnie, jeśli nie chcą, żeby ich nafaszerować ołowiem.

Pierce uprzejmie powitał kasiarza.

- Zakapowałeś, co? - zapytał ze śmiechem. Agar nie był w stanie spojrzeć mu w oczy.

- Nieważne - uznał dżentelmen. - To także przewidziałem.

- Nie miałem wyboru - tłumaczył się kasiarz.

- Stracisz swoją działkę - poinformował go Pierce. Został wyprowadzony z tłumu widzów i stanął przed Harranbym ze Scotland Yardu.

- Czy nazywa się pan Edward Pierce, znany także jako John Simms?

- Tak.

- Jest pan aresztowany pod zarzutem kradzieży.

- Nie uda się wam mnie zatrzymać - oświadczył na to dżentelmen.

- To zabawne, ale nam się uda, sir - spokojnie odparł policjant.

Przed zapadnięciem zmroku 19 listopada Pierce oraz Burgess, a wraz z nimi

Agar, znaleźli się w więzieniu Newgate. Harranby dyskretnie poinformował władze o

swym sukcesie, a wieści o nim zatajono przed prasą. Policjant chciał bowiem aresztować

kobietę znaną jako Miriam i Barlowa, którzy wciąż znajdowali się na wolności. Chciał także odzyskać łup.

## ZMIĘKCZANIE

Dnia 22 listopada Harranby po raz pierwszy przesłuchał Pierce'a. Jonathan Sharp, jego asystent, zapisał w swoim dzienniku "H. przybył wcześniej do biura, wystrojony i świetnie wyglądający. Wypił filiżankę kawy zamiast zwykłej herbaty. Zaczął głośno rozważać, jak najlepiej poradzić sobie z Pierce'em. Podejrzewa ł, że niczego z niego nie wydobędzie, zanim go nie zmiękczy".

W rzeczywistości przesłuchanie było bardzo krótkie. o dziewiątej rano Pierce został wprowadzony do biura i poproszony o zajęcie miejsca na krześle pośrodku pokoju. Harranby zza biurka rzucił pierwsze pytanie ze zwykłą sobie obcesowością:

- Czy zna pan człowieka o nazwisku Barlow?

- Tak.

- Gdzie on teraz jest?

- Nie wiem.

- Gdzie jest kobieta o imieniu Miriam?

- Nie wiem.

- Gdzie jest złoto?

Nie wiem.

- Wygląda na to, że wielu rzeczy pan nie wie.

- To prawda.

Harranby przyglądał się przez chwile przesłuchiwanemu, a w pokoju zapanowała cisza.

- Może jakiś czas w Steel poprawi panu pamięć - rzekł wreszcie policjant.

- Wątpię - oświadczył Pierce bez śladu jakichkolwiek emocji.

Wkrótce potem został wyprowadzony.

Gdy więzień wyszedł, Harranby powiedział do Sharpa:

- Złamię go, możesz być tego pewny.

Tego samego dnia Harranby polecił przenieść Pierce'a z Newgate do Coldbath

Fields, więzienia zwanego także Bastylią lub Steel. Nie było to zwykłe miejsce dla kryminalistów oczekujących na proces. Policja często wysyłała tam oskarżonych, jeśli jakieś informacje musiały być z nich wyduszone przed rozprawą.

Steel było najstraszniejszym ze wszystkich angielskich więzień. Po wizycie w

1853 roku, Henry Mayhew opisał uprawiane w nim "zabawy". Jedną z głównych atrakcji

był tor przeszkód - dwadzieścia cztery wąskie pudła, "wyglądające jak klozety w miejskim szalecie", ustawione w koło, w pewnych odległościach od siebie. Więźniowie chodzili po nich przez piętnaście minut. Strażnik wyjaśnił skuteczność toru w następujący

sposób: "człowiek nie może iść po nich pewnie, bo uciekają mu spod stóp, a to bardzo męczący. A że pomieszczenie jest małe i powietrze szybko się w nim bardzo nagrzewa, pod koniec kwadransa nie ma już czym oddychać".

Jeszcze mniej przyjemna była musztra kulą, ćwiczenie tak wyczerpujące, że

wszyscy powyżej czterdziestego piątego roku życia byli z niego zwolnieni. Więźniowie

formowali krąg, każdy w odległości trzech kroków od sąsiada. Na sygnał trzeba było

dźwignąć dwudziestoczwartofuntową kulę armatnią i przenieść ją na miejsce w pobliżu,

położyć i wrócić po następną kulę, która już czekała. Taka zabawa trwała przez godzinę.

Najbardziej jednak przerażająca była korba, bęben wypełniony piaskiem i

obracany korbą. Ćwiczenie to zarezerwowano jako specjalną karę dla

niezdyscyplinowanych więźniów.

Regulamin w Coldbath Fields był tak pomyślany, że już po sześciomiesięcznym

pobycie wielu wychodzących więźniów nie miało ochoty do życia. Stanowili ludzkie wraki,



całkowicie niezdolni do popełniania jakichkolwiek dalszych przestępstw.

Jako więzień oczekujący na proces Pierce nie mógł być poddawany zwykłym ćwiczeniom. Musiał jednak przestrzegać więziennego regulaminu i je śli złamał, na przykład, przepis nakazujący ciszę, mógł zostać za to ukarany ćwiczeniem na korbie. Tak więc strażnicy często oskarżali go o naruszanie ciszy i wówczas można go było ćwiczyć, żeby zmiękł.

Po czterech tygodniach pobytu w Steel, 19 grudnia Pierce znalazł się ponownie w biurze Harranby'ego. Ten oświadczył Sharpowi, iż "teraz dowiemy się tego i owego", lecz drugie przesłuchanie okazało się równie krótkie jak poprzednie.

- Gdzie jest mężczyzna o nazwisku Barlow?

- Nie wiem.

- Gdzie jest kobieta o imieniu Miriam?

- Nie wiem.

- Gdzie jest złoto?

- Nie wiem.

Harranby spurpurowiał, żyły na czole mu nabrzmiały. Z wściekłością w głosie odprawił Pierce'a, który odchodząc złożył mu najlepsze życzenia z okazji świąt Bożego Narodzenia.

"Tupet tego człowieka był wprost niewyobrażalny" napisał później Harranby.

Na Harranby'ego naciskano wtedy z wielu stron jednocześnie. Bank Huddleston & Bradford chciał odzyskać pieniądze i domagał się tego poprzez samego premiera, lorda Palmerstona. "Stary Pam" zażądał wyjaśnień i Harranby musiał się przyznać, że umieścił Pierce'a w Coldbath Fields, co nie zostało potraktowane ze zrozumieniem.

Palmerston wyraził opinię, iż jest to "nieco wbrew przepisom", lecz Harranby

uznał, że premier, który farbuję sobie bokobrody, nie ma prawa nikogo besztać za nieuczciwe postępowanie.

Pierce pozostał w Coldbath aż do 6 lutego, kiedy to ponownie stanął przed Harranbym.

- Gdzie jest mężczyzna o nazwisku Barlow?

- Nie wiem.

- Gdzie jest kobieta o imieniu Miriam?

- Nie wiem.

- Gdzie jest złoto?

- W krypcie, w Saint John's Wood - odrzekł Pierce. Policjant wyciągnął szyję.

- Słucham?

- Są ukryte w krypcie Johna Simmsa, na cmentarzu Martin Lane, w Saint John's Wood.

Harranby zastukał palcami w blat biurka.

- Dlaczego nie powiedział pan nam tego wcześniej?

- Nie chciałem.

Policjant polecił odesłać go z powrotem do Coldbath Fields.

Dnia 7 lutego odszukano kryptę i otwarto ją. Harranby, w towarzystwie przedstawiciela banku Henry'ego Fowlera, wszedł do grobowca dokładnie w południe.

Nie znalazł tam ani trumny, ani złota. Dokładnie zbadano drzwi i okazało się, że ostatnio ktoś sforsował zamek.

Fowler był bardzo zły, a Harranby zakłopotany. Następnego dnia Pierce został sprowadzony na policję i poinformowany o wyniku poszukiwań.

- Cóż, ten łotr musiał mnie okraść - oświadczył Pierce. Jego głos i zachowanie nie świadczyły, iż jest zmartwiony.

Harranby wytknął mu to.

- Zawsze wiedziałem, że Barlowowi nie można ufać.

- A więc uważa pan, że to on zabrał złoto?

- A ktoś inny mógł to zrobić?

Zapadła cisza. Policjant zasłuchał się w tykanie zegara.

Po raz pierwszy irytowało go ono bardziej niż przesłuchiwanego, który sprawiał wrażenie odprężonego.

- Nie obchodzi pana, że współnik postąpił w taki sposób?

- Mam po prostu pecha - odparł cicho Pierce. - I pan te ż - dodał z lekkim uśmiechem.

"Jego opanowanie i prowokująca galanteria upewniły mnie, że sfabrykował tę historyjkę, by nas zwieść" - napisał Harranby. "Dalsze próby ustalenia prawdy zostały mi jednak uniemożliwione, ponieważ 1 marca roku 1857 reporter «Timesa» dowiedział się o aresztowaniu Pierce'a, którego nie można było nadal trzymać w więzieniu."

Według Sharpa, jego przełożony otrzymawszy gazetę z artykułem o ujęciu Pierce'a, "zareagował potokiem przekleństw i okrzyków". Harranby zażądał od prasy wyjaśnienia, w jaki sposób zdobyła tę wiadomość. "Times" odmówił jednak ujawnienia swego źródła. Podejrzanego o sprzedanie informacji strażnika z Coldbath zwolniono, ale jego wina nie była całkiem pewna. Rozgłoszono nawet plotki, iż źródłem tym było biuro Palmerstona.

Tak czy inaczej proces Burgessa, Agara i Pierce'a miał rozpocząć się 12 lipca 1857 roku.

ROZDZIAŁ 51

# PROCES IMPERIUM

Rozprawa przeciwko uczestnikom Wielkiego Skoku na Pociąg została uznana za taką samą sensację jak samo przestępstwo. Oskarżyciele, którzy zdawali sobie sprawę, z jak wielką uwagą społeczeństwo śledzi to wydarzenie, zadbali o jego właściwy dramatyzm. Jako pierwszy przed sądem stanął Burgess, najmniej liczący się wśród sprawców. To, iż był on wtajemniczony tylko w część planu, jedynie zaostrzyło apetyt na dalsze szczegóły.

Następnie przesłuchiowano Agara, który dostarczył więcej informacji. Lecz Agar, podobnie jak Burgess, był człowiekiem wyraźnie ograniczonym i jego zeznania przyczyniły się tylko do skupienia uwagi na osobowości samego Pierce'a, którego prasa określała jako "mistrza wśród przestępców" i "genialną, złośliwą siłę stojącą za całym czynem".

Pierce wciąż był przetrzymywany w Coldbath Fields i prasa ani publiczność jeszcze go nie widziała. Obdarzeni bujną wyobraźnią reporterzy mogli więc swobodnie snuć różnorakie opowieści o jego wyglądzie, zachowaniu oraz stylu życia. Prawie wszystkie, zwłaszcza napisane w pierwszych tygodniach lipca, były oczywiście wysrane z palca. Według nich Pierce mieszkał pod jednym dachem z trzema kochankami i to mu nie starczało, stał za wielkim szwindlem czekowym z roku 1852, był nieślubnym synem Napoleona I, zażywał kokainę i opium, był mężem niemieckiej hrabiny, którą zamordował w 1848 roku w Hamburgu. Nie istnieje najmniejszy dowód, iż którakolwiek z tych sensacji była prawdziwa, lecz wszystkie one doprowadziły ciekawość ludzką do granic wytrzymałości.

Nawet sama królowa Wiktoria nie oparła się fascynacji "tym zuchwałym i nikczemnym łotrem, któremu powinniśmy się przyjrzeć". Wyraziła także chęć obejrzenia

jego egzekucji. Zapewne nie była świadoma, iż w roku 1857 w Anglii kara śmierci nie obejmowała złodziei.

Przez całe tygodnie wokół Coldbath Fields zbierały się tłumy w nadziei, że ujrzą mistrza przestępców. Do domu Pierce'a w Mayfair trzy razy się włamywano, zapewne w poszukiwaniu przedmiotów związanych z jego osobą. Pewna "dobrze urodzona kobieta", o której nie wiadomo nic więcej, została aresztowana podczas ucieczki stamtąd z męską chustką do nosa w dłoni. Bez śladu zakłopotania wyjaśniła, że chciała tylko zdobyć jakąś pamiątkę po Piersie.

"Times" zwrócił uwagę, że ta fascynacja kryminalistą jest "nieprzyzwoita, a nawet dekadencja" i posunął się aż do sugestii, iż zachowanie społeczeństwa jest wywołane, jakąś straszną skazą w umyśle każdego Anglika".

A jednak dziwnym zrzędzeniem losu, w czasie gdy rozpoczęły się zeznania Pierce'a, 29 maja, powszechne zainteresowanie skierowało się w zupełnie inną stronę. Niespodziewanie bowiem Anglia stanęła przed nowym nieszczęściem narodowym - gwałtownym i krwawym powstaniem w Indiach.

Rozwój Imperium Brytyjskiego w poprzednich dziesięcioleciach został dwukrotnie poważnie zahamowany. W czasie pierwszego powstania w Kabulu w Afganistanie w ciągu sześciu dni zginęło 16 500 brytyjskich żołnierzy, kobiet i dzieci. Drugą przeszkodą była wojna krymska, która ujawniła konieczność zreformowania armii. Presja opinii publicznej była tak silna, że lord Cardigan, niedawny bohater narodowy, teraz został zdyskredytowany. Oskarżono go nawet o nieobecność podczas szarży Lekkiej Brygady (niesłusznie), a małżeństwo z zapaloną amatorką jazdy konnej, Adeline Horsey de Horsey, jeszcze bardziej zszargało jego dobre imię.

Obecne powstanie sipajów stało się trzecią przeszkodą na drodze do supremacji

Anglii nad światem i ciosem dla angielskiej pewności siebie. O tej pewności najlepiej świadczy fakt, iż w Indiach stacjonowało zaledwie 34 000 wojskowych z Europy.

Dowodzili oni dwustupięćdziesięcioma tysiącami miejscowych żołnierzy, nazywanych sipajami, którzy nie byli zbyt lojalni wobec swych angielskich zwierzchników.

Od lat czterdziestych Anglicy poczynali sobie w koloniach z coraz większą bezwzględnością. Nowa protestancka moralność była narzucana tubylcom przy użyciu wszelkich możliwych środków. W Indiach zakazano na przykład palenia wdowy wraz ze zmarłym mężem, co wywołało wśród Hindusów opór wobec obcych, zmieniających ich odwieczne zasady religijne.

Gdy Anglicy wprowadzili w roku 1857 nowe strzelby Enfielda, naboje dostarczane z fabryki były zabezpieczone smarem. Przed załadowaniem broni należało je nadgryźć (chodziło o dostęp do prochu). W oddziałach sipajów wybuchła pogłoska, iż smar jest wytwarzany ze świń i bydła, a nowa broń to wybieg, który ma na celu pokonać Hindusów i naruszyć system kastowy.

Władze angielskie szybko na to zareagowały.

W styczniu 1857 roku rozkazano, by ten rodzaj naboju dostarczać tylko Anglikom, sipajom zaś do konserwacji polecić olej roślinny. To rozsądne rozporządzenie zostało jednak wydane za późno, aby zapobiec buntowi. W marcu w kilku incydentach zginęli pierwsi Anglicy. W maju wybuchło prawdziwe powstanie.

Najbardziej

znany

jego

epizod

miał

miejsce

w

Kanpurze

stupięcdziesiątysięcznym mieście nad brzegiem Gangesu. Tam podczas oblężenia

ujawniły się rzeczywiste cechy charakteru Anglików epoki wiktoriańskiej. Tysiąc

Brytyjczyków,

w tym trzysta kobiet i dzieci, znajdowało się pod ostrzałem przez osiemnaście dni

w warunkach "urągającym wszelkim dobrym obyczajom oraz w ogóle egzystencji".

Jednak w pierwszych dniach oblężenia życie toczyło się tu "z niezwykłą w tych

okolicznościach normalnością". Żołnierze popijali szampana i jedli śledzie z puszek,

dzieci zaś biegały wokół armat. Urodziło się kilkoro nowych Anglików i odbył się nawet

ślub, pomimo dzień i noc padającego deszczu pocisków.

Później posiłki zostały ograniczone do jednego dziennie, a wkrótce jedzono już

tylko koninę, "choć niektóre damy nie mogły pogodzić się z tak niezwykłym jedzeniem".

Kobiety oddawały swą bieliznę na przybitkę do strzelb: "damy z Cawnpore pozbyły się

najskrytszych części swego stroju, aby poprawić skuteczność broni..."

Sytuacja wciąż się pogarszała. Brak było wody, bo studnia znajdowała się poza

obozowiskiem i wszyscy, którzy próbowali do niej dotrzeć, ginęli. Temperatura w dzień

sięgała 138 stopni Fahrenheita. Kilku mężczyzn zmarło z udaru słonecznego. Wyschnięta

studnia w obozie została wykorzystana jako zbiorowy grób.

Dnia 12 czerwca jeden z dwóch budynków zapalił się i spłonął doszczętnie.

Zniszczeniu uległ cały zapas medykamentów. Anglicy trzymali się jednak, odpierając

każdy atak.

Dnia 25 czerwca sipajowie zaproponowali rozejm i bezpieczny transport drogą

morską do Allahabadu, miasta położonego sto mil w dół rzeki. Anglicy przystali na te warunki.

Ewakuacja rozpoczęła się o świcie 27 czerwca. Pod bacznym okiem uzbrojonych Hindusów obrońcy załadowali się na czterdzieści łodzi. Gdy tylko znalazł się na nich ostatni z Europejczyków, miejscowi żeglarze powyskakiwali do wody, a Sipajowie otworzyli ogień do łodzi, wciąż przywiązanych na brzegu. Wkrótce większość stanęła w płomieniach, a rzeka zapełniła się trupami. Hinduscy kawalerzyści szablami wycięli na płyciźnie tych, którzy przeżyli. Zginęli wszyscy mężczyźni.

Pozostałe przy życiu kobiety i dzieci umieszczono w lepiance na brzegu i przetrzymywano tam w duszącym skwarze przez kilka dni. 15 lipca kilkunastu mężczyzn, w tym kilku rzeźników, wpadło do lepianki i wymordowało wszystkich obecnych szablami i nożami. Okaleczone ciała, włącznie z niedobitymi, zostały wrzucone do pobliskiej studni i podobno wypełniły ją całą.

Anglicy w rodzinnym kraju, głęboko pobożni chrześcijanie, zażądali krwawej zemsty. Nawet "Times" z furią nawoływał, by "na każdym drzewie i występie zawisło martwe ciało buntownika". Lord Palmerston oświadczył, że hinduscy rebelianci zachowali się jak "demony wyłaniające się z największych głębin piekieł".

W takiej chwili rozprawa przestępcy, za czyn popełniony dwa lata wczesniej, musiała spotkać się z niewielkim zainteresowaniem. Na dalszych stronach dzienników znalazły się jednak artykuły dotyczące tej sprawy, a ich zawartość odsłaniała tajemnice Edwarda Pierce'a.

Po raz pierwszy stanął przed sądem 29 lipca: "przystojny, czarujący, opanowany, elegancki i łobuzerski". Składał zeznania spokojnym, cichym głosem, ale ich treść była niezwykle ekscytująca. Nazywał Fowlera "syfilistycznym głupcem", a Trenta określał



mianem "starej ciamajdy". Zapewne te komentarze zachęciły oskarżyciela do pytania, co Pierce sądzi o Harranbym, człowieku, który go aresztował. "Nadęty dandys z umysłem uczeniaka" - odrzekł oskarżony, a w sali usłyszano głośne westchnienie, ponieważ policjant znajdował się na galerii jako obserwator. Widziano jak Harranby poczerwieniał, a na czoło wystąpiły mu żyły.

Zachowanie Pierce'a było jeszcze bardziej zadziwiająca niż jego słowa:

"spokojne, pełne dumy, bez śladu skruchy czy wyrzutów sumienia za swój nieczyny czyn".

Wprost przeciwnie, zdawał się pysznić własnym sprytem, gdy omawiał dokładnie poszczególne fazy swego planu.

"Zachwycał się wprost własnymi działaniami, co jest zupełnie niewytłumaczalne" - napisano w "Evening Standard".

Równocześnie krytycznie opisywano słabostki świadków, które oni sami woleli przemilczeć. Trent kręcił jak mógł, denerwował się i był zakłopotany ("a miał po temu powody" - skonstatował jeden z obserwatorów) tym, co musiał zrelacjonować. Fowler zaś zeznawał tak cichym głosem, że oskarżyciel wciąż prosił, aby zechciał mówić głośniej.

Podczas zeznań Pierce'a zdarzały się szokujące momenty. Trzeciego dnia na przykład miała miejsce następująca wymiana zdań:

- Panie Pierce, czy zna pan dorożkarza o nazwisku Barlow?

- Znam.

- Czy może nam pan powiedzieć, gdzie teraz przebywa?

- Nie.

- A czy może nam pan powiedzieć, kiedy ostatnio pan go widział?

- Mogę.

- Proszę więc być tak dobrym.

- Widziałem się z nim sześć dni temu, gdy odwiedził mnie w Coldbath Fields.

W tym miejscu na sali wybuchła wrzawa i sędzia musiał prosić o spokój.

- Panie Pierce, dlaczego nie powiedział pan o tym wcześniej?

- Nie pytano mnie o to.

- Jaka była treść pańskiej rozmowy z tym Barlowem?

- Omawialiśmy moją ucieczkę.

- Rozumiem więc, że zamierza pan uciec z pomocą tego człowieka?

- Właściwie to miała być niespodzianka - oświadczył Pierce spokojnie.

Na sali zapanowała konsternacja, a prasa poczuła się obrażona. "Pozbawiony wdzięku i skrupułów, ohydny, fanatyczny łotr" - napisano o Piersie w "Evening Standard".

Żądano dla niego możliwie najwyższego wymiaru kary.

Jednak jego spokój pozostał nie zachwiany. Nie zaprzestał także wygłaszać skandalicznych opinii, 1 sierpnia Pierce powiedział o Fowlerze, iż „Jest tak wielkim głupcem jak Brudenell”.

Oskarżyciel nie puścił tych słów mimo uszu. Szybko zapytał:

- Czy ma pan na myśli lorda Cardigana?

- Mam na myśli Jamesa Brudenella.

- Czyli lorda Cardigana, prawda?

- Może go pan nazywać jak pan chce, ale dla mnie to tylko Brudenell.

-, Zniesławia pan inspektora generalnego kawalerii. -; Nie można zniesławiać idioty - odparł oskarżony ze zwykłym sobie spokojem.

- Sir, przypominam panu, że jest pan oskarżony o okropne przestępstwo.

- Nikogo nie zabiłem, ale gdybym poprzez niekompetencję spowodował śmierć pięciuset Anglików, powinienem natychmiast zostać powieszony.

Ta część zeznań nie została omówiona w prasie z obawy, i że lord Cardigan wystąpi z oskarżeniem o zniesławienie. Istniał jednak jeszcze inny motyw - Pierce w swoich wystąpieniach atakował podstawy porządku społecznego podważane już z wielu stron. Szybko więc fascynacja nim minęła.

W każdym razie proces Pierce'a nie dało się porównać do opowieści o dzikookich czarnuchach, bo tak nazywano sipajów, szarżujących na kobiety i dzieci, gwałcących i mordujących, nadziewających na szable noworodki i "upajających się atawistycznym spektaklem, który ścinał krew w żyłach".

## ROZDZIAŁ 52

### ZAKOŃCZENIE

Pierce zakończył zeznania 2 sierpnia. W tym dniu oskarżyciel, świadomy reakcji społecznej wywołanej pewnością siebie przestępcy i brakiem poczucia winy z jego strony, zdecydował się przejść do decydującego uderzenia.

- Panie Pierce - zaczął, wstając - panie Pierce, zapytam bezpośrednio: czy nigdy nie myślał pan, że jego postępowanie było niewłaściwe i niezgodne z prawem? Nie odczuwał pan żadnego moralnego niepokoju, dokonując tych wszystkich przestępczych aktów?

- Nie pojmuję pańskiego pytania - odparł Pierce. Oskarżyciel podobno się roześmiał.

- Tak, widzę. Ma pan to wypisane na twarzy.

W tym miejscu Jego Lordowska Mość chrząknął znacząco i wygłosił następującą mowę:

- Sir, wiadomo, iż prawa są tworzone przez ludzi, i to cywilizowanych, a mają one ponad dwutysiącletnią tradycję. Ludzie są zgodni co do tego, że należy ich przestrzegać

dla dobra całego społeczeństwa. Tylko bowiem dzięki prawu każda cywilizacja utrzymuje się ponad bezładnym plugastwem barbarzyństwa. Świadczy o tym cała historia człowieka i wiedzę o tym przekazujemy w procesie edukacji wszystkim obywatelom. Zapytuję więc pana o motyw. Dlaczego wpadł pan na pomysł tego nikczemnego i szokującego przestępstwa, zaplanował je i przeprowadził?

Pierce wzruszył ramionami.

- Chciałem tych pieniędzy - odparł.

Po złożeniu zeznań Pierce został zakuty w kajdany i wyprowadzony z sali sądowej przez dwóch tęgich, uzbrojonych strażników. Kiedy wychodził, mijał Harranby'ego.

- Dzień dobry, panie Pierce - zagadnął policjant.

- Żegnam pana - odrzekł Pierce.

Został wyprowadzony na tyły sądu, gdzie czekał na niego policyjny powóz, który miał go odwieźć do Coldbath Fields. Przed budynkiem zebrał się pokaźny tłum. Strażnicy musieli torować sobie drogę przez zbiegowisko, z którego wykrzykiwano pozdrowienia i życzenia dla Pierce'a. Pewna obrzydliwa stara prostytutka rzuciła się do przodu i zdołała pocałować oskarżonego prosto w usta, zanim strażnicy ją odepchnęli.

Przypuszcza się, iż w rzeczywistości była to owa aktorka, panna Miriam, a podczas pocałunku przekazała więźniowi klucz do kajdan, ale nie jest to pewne. Pewne jest natomiast, że obaj strażnicy zostali znalezieni w rynsztoku na Bow Street i po odzyskaniu przytomności nie byli w stanie odtworzyć szczegółów dotyczących ucieczki Pierce'a.

Przypominali sobie tylko, że widzieli brutala z jasną szramą biegnącą przez czoło.

Policyjny powóz odnaleziono później na polach Hampstead. Ani Pierce ani

Barlow nie zostali nigdy aresztowani. Artykuły opisujące ucieczkę były mętne i świadczą, iż władze nie chciały ujawniać żadnych szczegółów.

We wrześniu Anglicy odbili Cawnpore. Nie wzięli żadnych jeńców, tylko spalili, powiesili i wypatroszyli wszystkich pochwyconych. Kiedy znaleźli lepiankę, w której zamordowano kobiety i dzieci, zmusili tubylców do wylizania zbrukanej krwią podłogi, zanim ich powiesili. Nie zatrzymując się, przemierzali całe Indie w "szatańskim wichrze". Maszerowali po sześćdziesiąt mil dziennie, palili całe wsie, mordując wszystkich mieszkańców, przywiązywali buntowników do luf armat i rozrywali ich na strzępy. Powstanie sipajów upadło przed końcem roku.

W sierpniu roku 1857 Burgess, strażnik kolejowy, zeznał że był załamany chorobą syna, co wypaczyło jego moralność tak bardzo, iż podjął się współpracy z kryminalistami. Skazano go za ledwie na dwa lata w więzieniu Marshalsea, gdzie zmarł jeszcze tej samej zimy na cholera.

Kasjarz Robert Agar został za swój udział w Wielkim Skoku na Pociąg skazany na zesłanie do Australii. Zmarł jako bogacz w Sydney w 1902 roku. Jego wnuk, Henry L. Agar, był burmistrzem tego miasta w latach 1938-1941.

Harranby opuścił świat w roku 1879, gdy chłostał konia, który kopnął go w głowę. Jego asystent, Sharp, stanął na czele Scotland Yardu i doczekawszy prawników zmarł w roku. Powiedział podobno, iż jest dumny z tego, że żadne z jego dzieci nie jest policjantem.

Trent zmarł na serce w 1857 roku. Jego córka Elizabeth wyszła za Sir Percivala Harlowa w rok później i miała z nim czworo dzieci. Żona Trenta zachowywała się po zgonie męża skandalicznie. Zmarła na zapalenie płuc w roku 1884, mając, jak powiedziała, "więcej kochanków niż ta Bernhardt".

Henry Fowler odszedł z tego świata "z niewyjaśnionych przyczyn" w 1858 roku. South Eastern Railway, niezadowolona z położenia London Bridge Terminus,

zbudowała dla siebie dwa nowe dworce.

Pierce, Barlow oraz tajemnicza panna Miriam nigdy już nie dali o sobie znaku życia. W roku 1862 doniesiono, że mieszkają w Paryżu. W roku 1868 podobno obracali się w "znamienitych kołach" Nowego Jorku. Żadna z tych pogłosek nie została jednak potwierdzona.

Łupu z Wielkiego Skoku na Pociąg nigdy nie odzyskano.

Koniec